

MAGGIE SHAYNE

Nieznajomy

ROZDZIAŁ PIERWSZY

4 sierpnia 1897

Sześćoletni Benjamin Bolton oparł się o stos poduszek. Sypialnia, w której spędzał większość czasu, mieściła się na piętrze, za pierwszymi drzwiami na lewo. Chłopiec rzadko opuszczał łóżko, a kiedy wstawał, zawsze robił to z pomocą ojca. Żeby choć trochę uprzyjemnić synowi życie, ojciec ustawił jego łóżko przodem do okna, a zasłony odciągnął na bok. W ten sposób Ben mógł przynajmniej podziwiać fantazyjne kształty chmur.

Dziś, patrząc na rozgwieżdżone nocne niebo, zobaczył spadającą gwiazdę, po chwili zaś drugą i trzecią. Mknęły po przestworzach, pozostawiając za sobą świetlne ślady.

- Trzy spadające gwiazdy to trzy życzenia - szepnął z przejęciem. Choć nie wierzył w takie rzeczy, zamknął oczy i zamyślił się. - Po pierwsze, chciałbym znów być zdrowy, żebym mógł biegać, bawić się na dworze, jeździć na kucyku. Wszyscy myślą, że niedługo umrę; nie mówią tego na głos, ale widzę to po ich oczach. Więc chciałbym, żeby się mylili. Żebym żył i odzyskał zdrowie.

Z trudem wciągnął powietrze, wydając przy tym rzęzący świst. Bolała go głowa. Właściwie wszystko go bo-

łało. Był bardzo zmęczony i bardzo osłabiony. Zmusił się, aby otworzyć oczy. Bał się, że z zamkniętymi może zasnąć, a przecież pozostały mu jeszcze dwa życzenia. Kiedy już wiedział, o co zamierza prosić, ponownie zamknął oczy.

- Po drugie, chciałbym mieć mamę. Prawdziwą mamę, która by mnie kochała i czytała mi bajki. I która w przeciwieństwie do pani Haversham nie bałaby się żab.

Uśmiechnął się do swych myśli. O mamie marzył od niepamiętnych czasów. Oblizwał wargi i po chwili wypowiedział trzecie życzenie, też takie, o którym marzył od lat:

- A po trzecie, chciałbym mieć starszego brata. Najlepiej żeby był taki jak tata: mądry, odważny, silny. Nie kłóciłbym się z nim, nie bił. A nawet pozwoliłbym mu jeździć na moim kucu.

Podniósł powieki i wyjrzał przez okno. Po gwiazdach nie było już śladu. Ale na pewno mu się nie przyśniły. Wyraźnie je widział. I gdy tak leżał wpatrzony w niebo, ogarnęła go dziwna błogość. Czuł, że wszystko będzie dobrze.

4 sierpnia 1997

Cody Fortune podniósł głowę znad laptopa, który mama podarowała mu z okazji dziesiątych urodzin, i wyjrzał na zewnątrz przez boczną szybę samochodu akurat w chwili, gdy po niebie mknęły trzy spadające gwiazdy.

- O rany! - zawołał, obracając głowę. Była to najbardziej niesamowita rzecz od chwili wyjazdu z Minne-

soty. Trzy spadające gwiazdy! W dodatku trzy naraz! To się prawie nie zdarzało. - Widziałaś, mamusiu?

Matka chłopca, Jane, skupiona na prowadzeniu auta, wpatrywała się w pustą, wąską drogę. Kilka godzin temu przekroczyli granicę stanu Maine; powoli zbliżali się do kresu podróży - do wybrzeża, gdzie stał ich nowy dom.

- Co?

- Trzy spadające gwiazdy! Leciały jedna za drugą!

Na moment przeniosła wzrok z szosy na syna i uśmiechnęła się.

- Pomyśl trzy życzenia. Szybko, bączku! Choćby dla zabawy.

Cody był zbyt inteligentnym dzieckiem, aby wierzyć w to, że takie życzenia się spełniają. Wiedział jednak, że mama nie lubi, kiedy on zbyt poważnie traktuje życie. Postanowiwszy sprawić jej przyjemność, zamknął oczy i wyszeptał swoje trzy najskrytsze marzenia.

- Chciałbym mieć tatusia. A także młodszego brata, bo potwornie nudno jest być jedynakiem. Moglibyśmy kapitalnie razem spędzać czas. Chciałbym też... - Czubkiem języka oblizał wargi. Po chwili otworzył oczy i popatrzył w niebo. Czując, jak łzy wzbierają mu pod powiekami, czym prędzej wziął się w garść. - Chciałbym, żeby moja mamusia była szczęśliwa - dokończył. - Taka naprawdę szczęśliwa. Bo wiem, że nie jest. I nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była szczęśliwa.

Opuścił głowę. Jane oderwała rękę od kierownicy i poczochrąła syna po włosach.

- Ależ, głuptasku, co ty opowiadasz? Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Mam przecież ciebie; będziemy mie-

szkąć w nowym domu z dala od zgiełku wielkiego miasta. Czego mi jeszcze trzeba?

Chłopiec uśmiechnął się w wymuszony sposób. Doskonale się orientował, że matka robi dobrą minę do złej gry. Trudno, pomyślał; niech jej będzie.

- Zdajesz sobie sprawę, że spadająca gwiazda to tylko kawałek żarzącego się kamulca? - spytał.

- To nieważne. Ważne jest to, że całe jedno życzenie przeznaczyłeś na mnie.

Cody wzruszył ramionami i ponownie utkwiał oczy w komputerze. Przez moment dał się ponieść marzeniom. I dobrze, dzieci mają do tego prawo. Jak stale powtarzała jego matka, był dzieckiem, mimo że takiego umysłu, jakim obdarzyła go natura, nie powstydziliby się fizyk jądrowy.

- Powiedz, mamusiu. Myślałaś o tym, co ci mówiłem? Jane uniosła ze zdziwieniem brwi.

- O czym, kochanie?

Cody westchnął. Podczas weekendu u dziadków przypadkiem odkrył coś ważnego, ale matki - jak zwykle - nie obchodziły rodzinne interesy.

- O tym, co niechcący usłyszałem, kiedy dziadek zabrał mnie z sobą do pracy. Nie pamiętasz? Była tam ta wiedźma Monica...

- Cody! Niezbyt jesteś miły.

- Co z tego? Ona też nie jest zbyt miła. Zachowywała się okropnie wobec cioci Tracey. Zagroziła, że jeśli ciocia i jej narzeczony... jak mu tam? Wayne, tak? Więc zagroziła, że jeśli ciocia z Wayne'em nie wyjadą, to ona, Monica, zdradzi jakąś tajemnicę.

- Nie przejmuj się, synku. Wszyscy wiedzą, że Mo-

nica chce zawładnąć Fortune Cosmetics. Uważa ciocię Tracey za swoją konkurentkę i stąd jej pogroźki.

- No tak, ale ciocia dopiero niedawno dowiedziała się, że należy do naszej rodziny.

- Jeżeli w jej żyłach rzeczywiście płynie krew Fortune'ów, to bez trudu poradzi sobie z Monicą Malone.

- Jane zerknęła na siedzącego obok syna. - To kolejny powód, dlaczego nie chcę mieć nic wspólnego z rodzinnym interesem. Nie bawią mnie te plotki, podchody, ta walka o władzę. - Popatrzyła na widoczny za oknem urwisty brzeg. - Tu nam będzie znacznie lepiej.

Chłopiec miał świadomość, że nie warto się spierać, bo i tak mamy nie przekona. Wbił wzrok w ciemny ocean oznaczony białymi grzywami fal. Po chwili doszedł do wniosku, że może mama ma rację. Może istotnie będzie im tu znacznie lepiej?

- Kiedy dojedziemy na miejsce? - spytał.

- Chyba... O mój Boże, Cody! Chyba właśnie dojechaliśmy!

W światłach reflektorów, kiedy skręcili w zwirowy podjazd, ukazał się wielki, stary dom.

- Wygląda tak, jakby był żywcem przeniesiony z powieści Stephena Kinga - mruknął Cody.

- Prawda? Ależ jest wspaniały!

Chłopiec skrzywił się, słysząc entuzjazm w głosie matki. Kilka sekund później podjechali niemal pod same drzwi. Jane zaciągnęła hamulec i zgasiła silnik.

- Myślałam, że lubisz powieści Kinga.

- Bo lubię, co nie znaczy, że chcę w którejś z nich zamieszkać.

Odwzajemnił uśmiech matki i ponownie skierował spojrzenie na dom. Nagłe zastygł bez ruchu. Kątem oka dostrzegł w oknie na piętrze dziwny blask, jakby wewnątrz przecięła błyskawica. Kiedy matka otworzyła drzwi, by wysiąść z samochodu, czym prędzej chwycił ją za łokieć.

- Chyba... chyba ktoś tam jest - szepnął.

- Gdzie? - Popatrzyła w okno, na które wskazywał.
- Nikogo nie widzę.

- Może mi się przywidziało - mruknął, choć sam w to nie wierzył.

Zamknawszy laptopa, odstawił go na tylne siedzenie, po czym wyciągnął z kieszeni latarkę. Nigdzie się bez niej nie ruszał. Oczywiście, nie bardzo się nadawała do obrony przed bandytą, ale, pomyślał, przynajmniej zło-czyńca nie zaatakuje go zniecka.

- Poczekaj w samochodzie, mamusiu. Wejść pierwszy.

Pogłaskała go po głowie.

- Mój ty bohaterze.

Widział, że nie boi się puścić go na przeszpiegi do wielkiego, ciemnego domu. Chyba zwariowała, pomyślał.

Nagle w samochodzie zrobiło się jasno. Obejrawszy się za siebie, Cody zobaczył zbliżające się podjazdem auto z błyskającym migaczem na dachu. Już miał zamiar zawołać: „Policja! Dzięki Bogu!”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Wciąż jednak odczuwał lekkie zdenerwowanie. Wprawdzie w powieściach Stephena Kinga szeryfowie z małych miasteczek zawsze byli porządnymi ludźmi, tyle że szybko odpadali z gry, zabici przez bandytów. Po ich śmierci biedna matka - i jej syn, który

od początku wiedział, że coś jest nie tak, lecz nikt nie chciał go słuchać - musiała radzić sobie sama.

Po chwili drzwi policyjnego wozu otworzyły się i ze środka wysiadł chudy jak szczapa facet w szarym mundurze i z przypiętą do piersi lśniąca gwiazdą szeryfa.

- Pani Fortune? - upewnił się, podchodząc do Jane, która również wysiadła z auta. - Co za niezwykła, że tak powiem, punktualność! Jestem Quigly O'Donnell.

Mówił z identycznym akcentem co gość mieszkający po drugiej stronie ulicy od głównych bohaterów Smentarzyska. Cody'emu przeszedł po plecach dreszcz.

- Miło mi - rzekła Jane, podając szeryfowi rękę. - A to jest mój syn, Cody.

Chłopiec skinął głową, ale w przeciwieństwie do matki nie wyciągnął na powitanie ręki - był zbyt zajęty obserwacją domu.

- Wydawało mi się, że coś się tam rusza - powiedział, wskazując okno na piętrze. Miał nadzieję, iż szeryf oznajmi, że trzeba to sprawdzić, że wejdzie pierwszy do domu, a po paru minutach wyłoni się cały i zdrowy.

- Nie masz się czego obawiać, chłopcze. Pewnie widziałeś ducha, i to wszystko.

- Ducha?

- Tak. Niektórzy twierdzą, że duch Zachariaha Boltona wciąż krąży po chałupie. Ja osobiście nie daję temu, że tak powiem, wiary, ale starsi mieszkańcy miasteczka upierają się, że to prawda. No cóż, przynajmniej mają o czym rozmawiać, kiedy spotykają się na partyjkę warcabów.

- Na partyjkę warcabów? - Cody popatrzył znacząco

na matkę. - Pewnie nawet nie wiedziałaś, że trafisz do jaskini hazardu, co?

Jane posłała synowi karcące spojrzenie, po czym zwróciła się do O'Donnella:

- Szeryfie, jeśli przywiózł pan klucz, to...

- Tak, już go pani daję. - Wydobył z kieszeni wielki klucz na wielkim mosiężnym kółku.

Zdaniem chłopca, podobnymi otwierano kraty więzienia na westernach. I drzwi lochów na horrorach. Nie była to dobra wróżba.

- Pomogę pani z rzeczami - kontynuował szeryf. - Dom jest wysprzątny, elektryczność włączona. Powinna być pani, że tak powiem, usatysfakcjonowana.

- Dziękuję, szeryfie. I przepraszam za kłopot.

- Żaden kłopot. Pani babcia była wyjątkową kobietą. Kiedy wyjeżdżając stąd poprosiła, abym zaopiekowałem się jej domem, chętnie się zgodziłem. Szkoda, że już jej z nami nie ma.

Jane pokiwała smutno głową.

- Tak, wielka szkoda. Bardzo za nią tęsknię. - Otoczyła syna ramieniem. - Oboje tęsknimy.

Nastała cisza, którą po chwili przerwał szeryf.

- Wejźmy do środka. Pokażę pani, gdzie co jest, a przy okazji opowiem o naszym najślawniejszym obywatelu, Zachu Boltonie, który był, że tak powiem, pierwszym właścicielem tego domu i którego duch, jak twierdzą niektórzy, nadal tu straszy.

Jane z Codym ruszyli za szeryfem po szerokich schodach. Weszli na ganek. Po przejściu kolejnych paru kroków stanęli przed ciemnymi, wysokimi drzwiami. Cody

zerknął na nie okiem i z miejsca uznał, że dom ma w sobie coś lekko zatrważającego. Kiedy Quigly O'Donnell przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi na oścież, Cody stwierdził, że się pomylił. Ten dom ma w sobie coś nie lekko, ale bardzo zatrważającego.

Szeryf zapalił światło.

Fantastycznie! Jane dosłownie oniemiała z zachwytu. Dom był dokładnie taki, o jakim marzyła całe życie. Rodzina, a przynajmniej jej większość, uważała ją za beznadziejną romantyczkę uwielbiającą tradycję i wszystko, co stare oraz niegdysiejsze. I rzeczywiście, nie przepadała za współczesnym światem, jego wartościami i zasadami, a raczej brakiem zasad. Właśnie ten brak zasad sprawił, że dziesięć lat temu, kiedy zaszła w ciążę, została porzucona przez ojca swojego nie narodzonego dziecka.

Szok, jaki wtedy przeżyła, pomógł jej opracować własny, może nieco staromodny, kodeks etyczny.

W każdym razie dom odziedziczony po Kate Fortune stanowił spełnienie jej marzeń. Właśnie w takim miejscu chciała wychowywać swojego syna i razem z nim wieść proste, szczęśliwe życie. Do pełni szczęścia może brakowało jej męża, ale trudno. Wiedziała, że da sobie radę; przecież od początku była dla Cody'ego i ojcem, i matką.

Wszyscy twierdzili, że nie udźwignie ciężaru samotnego macierzyństwa, w dodatku z dala od rodziny, ale mylili się. Zamierzała udźwignąć ten ciężar. Bez pomocy rodziny i rodzinnych pieniędzy. Nie chciała mieć nic wspólnego z jakimikolwiek przedsiębiorstwami, mająt-

kiem, walką o władzę. Nie interesował jej świat biznesu, w którym każdy próbował zdobyć jak najwięcej, często kosztem innych.

Dom w małym miasteczku, spokojne życie - tak, o tym marzyła.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że babcia Kate, taka właściwie nowoczesna, potrafi odgadnąć moje najskrytsze pragnienia - powiedziała cicho, wchodząc za szeryfem do ogromnego salonu o wysokim suficie i wspaniałej drewnianej podłodze. Pozakrywane białymi prześcieradłami meble wyglądały jak zgraja stojących nieruchomo duchów. - Ale odgadła. Musiała odgadnąć, skoro zostawiła mi w spadku tak cudowny dom. A właściwie dwa. W tym mniejszym, przeznaczonym dawniej dla gości, urządzą sklepik z antykami...

Rozmarzyła się. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

- Wie pani, co czyni ten dom jeszcze bardziej niezwykłym? - spytał szeryf, stawiając pod ścianą przyniesione z samochodu walizki. - To, że jest z nim związana pewna frapująca historia. Może słyszała pani o kwinarii? Jest to, że tak powiem, choroba...

- Czy słyszałam? - Jane obejrzała się przez ramię, ale Cody był na drugim końcu korytarza; świecąc latarką, z którą nigdy się nie rozstawał, badał wszystkie szpary, szafy, półki, zakamarki. Westchnęła ciężko. Na samą myśl o kwinarii robiło się jej niedobrze. - Syn o mało na nią nie umarł. Zaraził się w wieku niemowlęcym. Na szczęście lekarz w porę zauważył objawy i rozpoczął leczenie.

- No proszę. - Szeryf pokręcił ze zdumieniem głową.
- Co za dziwny zbieg okoliczności...

- Nie rozumiem.

- Zachariah Bolton był, że tak powiem, człowiekiem odpowiedzialnym za odkrycie leku na kwinarię. Tryptoniny. Dziś też jej używamy, tyle że w lekko zmodyfikowanej postaci. Gdyby nie Zach... O, a tu jest jadalnia. Widzi pani te drewniane szafki, od podłogi po sufit? Takie same są w kuchni. W dodatku... - nie dokończywszy zdania, otworzył jedne drzwiczki, po czym przeszedł do kuchni i tam również otworzył szafkę - mają wygodny dostęp z obu stron.

- Sprytne - rzekła Jane, ale znacznie bardziej od szafek fascynowała ją historia domu i Zacha Boltona.

Słyszac wzmiankę o tryptoninie, Cody przybiegł do jadalni.

- Jest pan, że tak powiem, w błędzie, szeryfie, jeśli chodzi o tryptoninę - oznajmił, z niewinną minką uśmiechając się do matki.

- Cody! - Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Ależ mam. Każdy czwartoklasista wie, że lek na kwinarię wynaleźli w 1898 roku Bausch i Waterson.

Jane pokręciła zrezygnowana głową.

- Jesteś, skarbie, chodzącą encyklopedią czy co?

Cody wzruszył ramionami i wbił wzrok w O'Donnella.

- Ma pani, że tak powiem, wyjątkowo inteligentne dziecko, pani Fortune - stwierdził szeryf. - Jak masz na imię, chłopcze? Cody, tak? A więc, Cody, teoretycznie było tak, jak mówisz. Ale nie znasz całej prawdy. Czy wiedziałeś na przykład, że Wilhelm Bausch i Eli Waterson większość czasu ze sobą rywalizowali? Obaj byli wspaniałymi naukowcami, jednakże bardziej niż na samej

pracy zależało im na prześcignięciu przeciwnika. Byli, że tak powiem, zaślepieni ambicją.

Jane widziała, jak syn mruży z niedowierzaniem oczy, ale nic nie mówił. Słuchał.

- Dopiero za sprawą ich wspólnego przyjaciela, Zachariaha Boltona, połączyli siły. Zamiast rywalizować, zaczęli wreszcie współpracować. I dzięki tej współpracy udało im się wynaleźć lekarstwo na kwinię. - O'Donnell skinął ręką na matkę i syna, aby przeszli za nim z powrotem do salonu, po czym ruszył schodami na górę. - Chodźcie, coś wam pokażę.

Jane wiedziała, że szczerzy zęby jak kto głupi, ale nie umiała się opanować.

- Hej, Codesterze! - zwróciła się do syna. - I co o tym myślisz? Dom z własną historią i z własnym duchem!

- Oj, mamo, za bardzo jesteś zapatrzona w przeszłość. Lepiej wróć do terażniejszości.

O mało nie wpadła na syna, gdy ten ni stąd, ni zowąd przystanął przed drzwiami pierwszego pokoju na lewo od schodów. Przez moment stał bez ruchu, wpatrując się w klamkę. Potem wzdrygnął się, jakby przeszedł po nim dreszcz, i potarł ręką kark.

- Bączku, co ci jest?

- Nic, mamo.

Podążyli za szeryfem, który zniknął w sypialni na końcu korytarza. Zapaliwszy światło, czekał na Jane.

Na widok wiszącego na ścianie obrazu wciągnęła z sykiem powietrze.

- O Boże! - szepnęła. - To wygląda na dzieło Nor-

mana Rockwella! - Podeszła bliżej i delikatnie potarła palcem ozdobną ramę. - Ale Rockwell tego nie namalował, bo ten obraz liczy co najmniej sto lat.

- Ma pani, że tak powiem, świetne oko, panno Jane.

- Znam się na starociach. - Wzruszyła ramionami.

Na tym polega moja praca. Hm, nie wie pan, kto to namalował? Bo widzę, że autor się nie podpisał.

- Nie, niestety, nie wiem - odparł O'Donnell. - Ale teraz obraz należy do pani. Zresztą jak wszystko, co się znajduje w domu. Między innymi antyczny sejf na strychu. Może gdzieś tam są jeszcze stare notatki Zacha Boltona? W każdym razie, zgodnie z wolą Kate Fortune, może pani zrobić z tym, co zechce.

Jane nie mogła oderwać spojrzenia od portretu na ścianie. Przystawiał mężczyznę o ciemnych, potarganych włosach i płomiennych oczach, ubranego w białą koszulę rozpiętą pod szyją. W jednej ręce trzymał małe urządzenie, z którego wystawało mnóstwo sprężyn i drutów, w drugiej - śrubokręt. Przez osadzone na nosie okulary w złotych oprawkach wpatrywał się w stół, przy którym coś majstrował. Obok mężczyzny siedział chłopczyk, pięcioletni, najwyżej sześciolatek, ubrany w identyczną białą koszulę. Miał marchewkoworode loki na głowie, lśniące zielone ślepia, a w rączce własny maleńki śrubokręt. Mężczyzna i chłopiec stykali się ramionami. Chociaż obaj patrzyli na stół, wyczuwało się, że istnieje między nimi silna więź emocjonalna. U dołu obrazu widniało jedno słowo: „Wynalazca”.

- To Zachariah Bolton - wyjaśnił szeryf O'Donnell.

- I jego syn Benjamin.

- Benjamin - powtórzyła szeptem Jane. - Tak miał na imię mój dziadek, a chłopiec na obrazie jest tak podobny do Cody'ego, że... - urwała.

- Że mógłby być moim młodszym bratem - dokończył za nią Cody.

- Bolton był, że tak powiem, przyjacielem i współpracownikiem zarówno Bauscha, jak i Watersona. Obaj uważali go za jeden z największych umysłów końca ubiegłego wieku. Głośno o tym mówili, a trzeba pani wiedzieć, że rzadko się ze sobą zgadzali. Kiedy mały Benjamin zmarł na kwinarię...

- Och, nie! - Jane ponownie utkwiała wzrok w zielonych oczach chłopca na płótnie. - To słodkie maleństwo?

- No, niestety. Kiedy chłopiec zmarł, jego ojciec oszalał z rozpacz. Nie wytrzymał, że tak powiem, cierpienia. Zamknął się w pokoju syna, nie reagował na pukanie, na prośby, żeby wyszedł. Kiedy w końcu otwarto drzwi, okazało się, że w środku nie ma nikogo. Zachariah uciekł przez okno, zabierając ze sobą ciało swojego synka. Ślad po nim zaginął. Waterson z Bauschem byli tak przejęci tym, co się stało, że przysięgli znaleźć lekarstwo na chorobę, która zabiła małego Bena. I znaleźli.

Jane przetarła łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Jaka to niesamowicie smutna historia - rzekła.

- To prawda - potwierdził szeryf. - Jeśli pani woli, mogę zabrać stąd ten obraz. Że tak powiem, przechować go dla pani.

- Och, nie. Nie trzeba - zaprotestowała szybko. Popatrzyła w oczy wynalazcy. Niemal czuła jego ból.

- Wie pani, w ciągu tych wszystkich lat prawie nic się tu nie zmieniło. Owszem, parę razy malowano ściany, parę razy kładziono nowe tapety, ale poza tym dom wygląda jak za czasów Boltona. Zupełnie jakby... jakby czekał na jego powrót albo co.

Jane zmarszczyła czoło.

- Przecież minęło sto lat.

- Owszem, minęło. Po zniknięciu Zachariaha jego domem opiekowali się Bausch z Watersonem. Opłacali podatki, licząc na to, że kiedyś Bolton wróci. Oczywiście, nie wrócił. - Quigly O'Donnell westchnął głęboko. - Po ich śmierci przez pewien czas chałupa stała pusta. Potem, że tak powiem, przeszła na własność miasta. Władze miejskie nie zburzyły domu, wychodząc z założenia, że prędzej czy później ktoś go kupi. Po wielu latach kupiła go pani babcia. Kate Fortune. Ale ona, podobnie jak przyjaciele Boltona, postanowiła niczego nie zmieniać.

Jane doskonale rozumiała niechęć babki do wprowadzania jakichkolwiek zmian. Panował tu specyficzny nastrój. W przeciwieństwie do wielu miejsc, zimnych, martwych i całkiem pozbawionych charakteru, dom Zachariaha Boltona zdawał się mieć duszę, jakby był żywą istotą. A może faktycznie dusza wynalazcy krążyła po pokojach?

- Hej, mamusiu!

Odwróciła się, zaskoczona, że głos syna dochodzi z daleka, a przecież zaledwie parę sekund temu chłopiec stał za jej plecami.

- Codesterze? Gdzie jesteś?

Wyjrawszy z sypialni, zobaczyła syna na końcu ko-

rytarza, przy pierwszym pokoju na lewo od schodów. Tym samym, przy którym przystanął, kiedy szli za szeryfem na górę. Pamiętała, że wzdrygnął się, jakby przeniknął go dreszcz.

- Czy to może być mój pokój? - spytał.

Marszcząc czoło, Jane zbliżyła się do otwartych drzwi - widocznie Cody je otworzył, bo wcześniej były przecież zamknięte - i zerknęła do środka. Pokój jak pokój, średniej wielkości, z kilkoma typowymi meblami. Niczym się nie wyróżniał, chociaż nie - na jednej ścianie znajdował się ogromny marmurowy kominek.

- Myślałam, kochanie, że coś cię w nim zaniepokoiło. Że przechodząc koło tych drzwi, poczułeś jakieś dreszcze... Czy to przypadkiem nie tu wydawało ci się, że coś się rusza?

- Właśnie dlatego chciałybym, żeby to był mój pokój - odparł chłopiec. - Jeśli tu mieszka jakiś duch, chcę go zobaczyć.

- Po to, aby wyjaśnić mu w sposób logiczny i rzeczowy, że duchy nie istnieją?

- Zgadłaś. - Błysnął w uśmiechu zębami. - To kiedy przyjedzie wóz meblowy z naszymi rzeczami? Bo chętnie pograłbym sobie w Gameboya.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rok 1897

W oddali grzmiało i błyskało. Zachariah wstał z fotela, na którym siedział, pilnując, aby lampa naftowa na stoliku nocnym syna przypadkiem nie zgasła - Benjamin zawsze bał się burz z piorunami. Akurat poprawiał szklany klosz, kiedy chłopiec się obudził.

- Ojczy... Jesteś tu?

- A gdzie indziej mógłbym być?

- U siebie w pracowni. Tracisz mnóstwo czasu, prze-siadując ze mną.

- To mi sprawia przyjemność.

Powietrzem znów wstrząsnął huk. Benjamin chwycił ojca za rękę. Trzymał mocno, jakby nie miał zamiaru puścić.

- Spokojnie, synku. Nie bój się. Przecież wiesz, że piorun nie może cię skrzywdzić.

- Wiem. Po prostu nie lubię tych trzasków. Długo tak jeszcze będzie, ojczy? Ta burza trwa już całą noc.

Z kieszonki kamizelki Zachariah wyciągnął złoty zegarek, otworzył kopertę i pokazał synowi cyferblat.

- Jest dopiero osiem po dziewiątej. Burza trwa naj-wyżej od dwóch godzin, nie całą noc. I jestem pewien, że wkrótce się skoń...

Kolejny łoskot nie pozwolił mu dokończyć zdania. Tym razem huk był tak potężny, że nawet Zachariah podskoczył na krześle. Ułamek sekundy później niebo za oknem rozdarła oślepiająco biała błyskawica.

- Ojczy, spójrż! Musiało w coś trafić! Pod samym naszym domem!

Zach usiadł na brzegu łóżka i przytulił wystraszone dziecko.

- Cii, kochany. Piorun uderzył znacznie dalej, niż ci się wydaje - powiedział uspokajająco.

Kołysał syna w ramionach, głaskał po głowie i czule do niego przemawiał, ale nie spuszczał oczu z miejsca, gdzie znikły ostatnie zygzaki błyskawicy. Po paru sekundach na tle ciemnego pola pojawiło się jasne światełko. Po dalszych kilku zaczęło rosnać, rozprzestrzeniać się. Zachariah domyślił się, co się stało. Piorun strzelił w stodołę Thomasa, odległą o jakieś pięć kilometrów, a ta zajęła się ogniem. Nie było czego żałować. Budynek był stary, rozpadający się i od lat przez nikogo nie używany.

Benjamin zasnął. Zachariah nie odstępował go na krok. Siedział na łóżku, trzymając w ramionach ukochane dziecko i obserwując szalejący w oddali pożar. Języki ognia rosły z minuty na minutę, wkrótce łuna rozjaśniła całe niebo. Po godzinie stara stodoła, wypełniona suchym sianem, doszczętnie spłonęła.

Zachariah wiedział, że powinien wrócić do pracowni. Tak wiele zależało od eksperymentu, nad którym teraz pracował. Był już tak blisko celu. Tak blisko.

Ale na razie Ben go potrzebował. Nie mógł zostawić dziecka samego.

Nazajutrz rano, kiedy słońce już wzeszło, a ze spalonych resztek stodoły unosiły się ku niebu czarne wstęgi dymu, Zach uwolnił się z objęć syna i wstał z łóżka, starając się nie obudzić śpiącego malca. Udało mu się. Lecz gdy dziecko nawet nie drgnęło, Zach się zdziwił. Ben, mimo choroby, miał wyjątkowo lekki sen. Powinien był przynajmniej otworzyć oko albo mruknąć coś pod nosem. A on nic.

Patrząc na syna, który ani razu w ciągu nocy nie zmienił pozycji, Zachariah nagle poczuł, jak trwoga ściska go za serce.

Potrząsnął lekko syna za chude ramionka, potem poklepał go po bladej buzi. Żadnej reakcji. Chłopiec zapadł w śpiączkę. Była to ostatnia faza choroby. Od śmierci dzieliły go dwadzieścia cztery godziny, może mniej.

Nie było czasu do stracenia. Należało działać szybko. Pracując nad swoim eksperymentem, Zach jeszcze nie zdążył sprawdzić, jakie mogą być skutki uboczne podróży, którą zamierzał odbyć. Trudno. Gotów był zaryzykować, byleby tylko ocalić Benowi życie.

Z kieszeni kamizelki wydobyl małe płaskie urządzenie, które w myślach nazywał przenośnikiem. Potem pochylił się nad łóżkiem, pogłaskał opadające na czoło rude loki i pocałował syna w policzek. Nie musiał dłużej tkwić u jego boku. Zdawał sobie sprawę, że Ben już się nie obudzi. Chyba że... chyba że przenośnik zadziała.

- Nie będzie mnie przez jakiś czas, malutki. Ale postaram się, żeby dla ciebie moja nieobecność trwała dosłownie chwilkę. Nie chcę cię zostawiać, ale muszę. Inaczej nie wyzdrowiejesz. Rozumiesz?

Prostując się, przeczesał palcami włosy. I bez lustra wiedział, że wygląda koszmarnie. Ubranie miał pogniecione, kamizelkę rozpiętą, poły koszuli wyciągnięte na wierzch. Cienki czarny krawat, który nosił od wczoraj, wisiał luźno pod szyją. Ale jakie to miało znaczenie? W szafie Bena leżała nieduża sakwa z czystym kompletem odzieży i kilkoma niezbędnymi rzeczami. Wśród nich znajdował się dowód, który mógłby przedstawić na potwierdzenie swojej wersji, gdyby zaszła taka konieczność. Wyciągnął z szafy sakwę. Na zmianę ubrania nie było czasu. Liczyła się każda minuta. Dopiero kiedy przekroczy niewidzialną barierę i zniknie, dla Bena czas zatrzyma się w miejscu. Później zdąży się przebrać, a także wykapać. Jeżeli zgorzy kogoś swoim niechlujnym wyglądem, to trudno. Chociaż nie sądził, aby kogokolwiek miał spotkać. Ilekroć otwierał wrota, ukazywał mu się pusty, nie zamieszkały dom, identyczny jak jego własny. Ale nie robiło mu różnicy, czy się na kogoś natknie, czy nie. I jak ten ktoś zareaguje na jego widok.

Nie myślał o sobie, o społeczeństwie ani o konsekwencjach swojego czynu, mimo iż podejrzewał, że takowe nastąpią, bo przecież nie można bezkarnie łamać praw natury. Myślał wyłącznie o Benjaminie, swoim jedynym, najukochańszym dziecku, które znajdowało się teraz w stanie śpiączki. Gotów był uczynić wszystko, aby je ratować, aby wyrwać je ze szponów śmierci. Wiedział, że tylko on, Zachariah Bolton, może tego dokonać. Może cofnąć się kilka lat w przeszłość, do czasu, kiedy Ben był jeszcze zdrowy. A kiedy się cofnie, wtedy zabierze Bena z miasteczka. Wyjadą daleko. Gdy śmiertelny wirus

dotrze do Rockwell, Benjamin będzie w bezpiecznym miejscu. Wirus nie zdoła go zaatakować. Wrócą do domu po paru miesiącach, gdy niebezpieczeństwo minie. Ben nie zachoruje na kwinarię i nie umrze. Gdy znów nastanie rok 1897, Ben będzie biegał po podwórku, łąził po drzewach, rozrabiał z innymi dziećmi.

Z walącym sercem Zachariah wycelował przenośnik w konkretny punkt na środku sypialni syna. Nie wiedział, co dokładnie się tu kryje. Dziwne zagięcie, wypukłość lub szczelina w materii czasu? Cokolwiek to było, istniało tylko w tym jednym pokoju. Może istniało, zanim jeszcze dom zbudowano. Próbował robić eksperyment w wielu różnych miejscach, ale wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem. I nagle, któregoś wieczoru, kiedy siedział z chorym synem, zupełnie przez przypadek odkrył tajemnicze wrota.

Zebrawszy się na odwagę, wcisnął kciukiem przycisk uruchamiający urządzenie. W powietrzu na środku pokoju ukazał się cieniutki promyk światła. Trzymając przenośnik oburącz, Zachariah przekreślił tarczą w prawo. Promień światła powoli stawał się coraz większy, jaśniejszy, aż wreszcie przybrał rozmiar wielkiej świetlistej kuli sięgającej ponad sufit. Kuli wypełnionej jakby mgłą czy wirującymi oparami. Raptem mgła zaczęła się przemieszczać, przyjmować kształty. Po chwili Zach zobaczył ogromne lustro, w nim zaś sypialnię - niby tę samą, w której przebywał z Benem, a jednak inną. Inna tapeta pokrywała ściany, inne zasłony wisiały w oknie, inne stały meble. Wszystko było inne. Na łóżku pod kołdrą leżało drobne ciało. Czyżby Benjamina? Zdrowego, silnego

Benjamina? Takiego, jaki był, zanim zaatakował go wirus kwinarii? W Zacha wstąpił optymizm. To się uda, pomyślał. To się musi udać!

Miał tylko nadzieję, że sam zdoła przeżyć, że eksperyment go nie zabije. Wszystkie dotychczasowe próby kończyły się niewesoło. Filizanka, którą parę dni temu wsunął we wrota, roztrzaskała się. Czym prędzej dokonał w przenośniku poprawek, po czym podjął kolejną próbę, tym razem z jabłkiem. Owoc z miejsca usechł. Dalsze poprawki i próba z myszą. Zwierzę zdechło. Chociaż znów wykonał serię skomplikowanych obliczeń i wprowadził poprawki, nie miał pewności, jakie tym razem pojawią się skutki uboczne. Wiedział, że mogą być groźne, ale nie wiedział, jakiego mogą być typu. Jeszcze nie wiedział. Ale zaraz miał się przekonać.

- Będziesz zdrowy, synku - szepnął. - Przysięgam, że będziesz zdrowy.

Wypowiedziawszy te słowa, Zachariah Bolton wszedł w świetlisty krąg i z miejsca poczuł się tak, jakby huknął głową w słup.

Jane Fortune nie mogła zasnąć. Różne myśli kołatały się jej po głowie. Bała się. Nie domu - dom był idealny. Wiedziała o tym, gdy tylko skręciła w podjazd i ukazał się jej oczom. Stary, elegancki, zbudowany z stylu wiktoriańskim, stał na skalistej skarpie, a w dole fale zalewały brzeg. Zawsze dotąd szum morza działał na nią kojąco. Pomagał zasnąć. Ale nie dziś.

W dawnym pawilonie dla gości urządziła sklepik ze starociami. Zaraz po przeprowadzce do Maine zaczęła jeździć

po okolicy, szperać, nawiązywać nowe kontakty, zapełniać półki. Sklepik działał od kilku tygodni, interes kwitł. Pawilon dla gości, miniaturowa wersja budynku, w którym mieszkała z Codym, doskonale nadawał się do tego celu. Jane była zachwycona. Wszystkim: domem, ogrodem, sklepem, nawet leżącym niedaleko malowniczym miasteczkiem Rockwell, którego nazwa natychmiast skojarzyła się jej ze słynnym artystą Normanem Rockwellem.

Miasteczko sprawiało wrażenie miejsca, w którym czas się zatrzymał, które oparło się nowoczesności. Przy jednej z głównych ulic znajdował się sklep z mydłem i powidłami, jakby żywcem przeniesiony z lat pięćdziesiątych, obok zaś tradycyjny zakład fryzjerski, do którego panowie zaglądali na strzyżenie i golenie. Spacerując ulicami miasteczka, ciągle spodziewała się, że nagle zza najbliższego rogu wyłonią się czterej dżentelmeni w eleganckich kamizelkach, z sumiastymi wąsami i w słomkowych kapeluszach.

Pamiętała jednak, co mawiała babcia Kate: kiedy wszystko wydaje ci się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, miej się na baczności. No właśnie, zbyt piękne. A co będzie, jeżeli sklep z antykami okaże się niewypałem? Co wtedy powinna zrobić? Wtulić ogon pod siebie i wrócić do Minneapolis?

Nie, to nie wchodziło w rachubę, choćby ze względu na Cody'ego. Nie mogła bez przerwy przenosić się z dzieckiem z miejsca na miejsce. Nie, tu jest ich dom i tu zostaną.

Tego wieczoru, gdy leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, rozmyślała nie tylko o sprawach finansowych - czy skle-

pik nie splajtuje, czy w tak małym miasteczku można utrzymać się ze sprzedaży staroci. Rozmyślała również o swoim synu. Życzenie, które wypowiedział na widok spadającej gwiazdy - że chciałby mieć ojca - nie dawało jej spokoju.

Cody był inteligentnym dzieckiem - wybitnie uzdolnionym, jak go określali pedagodzy. Wiedział, że kiedyś przed laty miał ojca. Jane nie chciała okłamywać syna, ale nie chciała mu też mówić całej prawdy o Gregu. Wyjaśniła więc, że tatuś był utalentowanym muzykiem, który zmarł, gdy Cody był niemowlakiem. Resztę przemilczała. Nie tłumaczyła dziecku, jak dała się nabrać na szlachetność oraz idealizm Grega, na piękno i prawdę w piosenkach, które pisał i śpiewał w klubach w Minneapolis oraz sąsiednich miastach. Wprost nie mogła uwierzyć, jak szybko zakochała się w przystojnym młodym muzyku.

Była głupia. Szlachetność i idealizm Grega przysły, gdy jakiś producent z Los Angeles usłyszał, jak zespół gra, i zaproponował Gregowi kontrakt płytowy. Ciężarna narzeczona, która stwierdziła jasno i wyraźnie, że nie chce korzystać z pieniędzy swej bogatej rodziny, nie pasowała do ambitnych planów muzyka. Byłaby mu tylko kulą u nogi. Jane długo nie mogła dojść do siebie. Dziś miała świadomość, że wcale by nie chciała, żeby człowiek tak niepoważny i nieodpowiedzialny wychowywał jej syna. Niestety, Cody tak bardzo pragnął ojca.

Och, gdyby tylko...

Popatrzyła z zadumą na obraz wiszący nad łóżkiem. Zachariah Bolton. Gęste ciemne włosy opadały mu na

czoło, brązowe oczy lśniły. Miał na sobie rozpiętą kamizelkę, a pod szyją wąski czarny krawat. Z małej kieszonki na piersi wystawał złoty zegarek.

Znów uderzyło ją niesamowite podobieństwo między chłopcem na obrazie a Codym. Może dlatego stare płótno tak bardzo się jej podobało? Mężczyzna i dziecko siedzieli przy drewnianym stole, na którym stały dwie lampy naftowe. Chociaż skupieni byli na pracy, wyczuwało się, że są sobie bliscy. Że bardzo się kochają. Nawet gdyby Quigly O'Donnell nie powiedział jej, kogo obraz przedstawia, domyśliłaby się, że jest to ojciec z synem. Ojciec, dla którego praca wiele znaczyła, lecz który zawsze gotów był ją odłożyć na bok, żeby zająć się synem.

Gdyby Cody mógł mieć takiego ojca!

Wzdychając głośno, przekręciła się na wznak. Nie ma sensu marzyć o rzeczach niemożliwych. No bo gdzie w dzisiejszych czasach, u schyłku dwudziestego wieku, znajdzie mężczyznę o dziewiętnastowiecznych wartościach? Nigdzie. Nawet w miasteczku takim jak Rockwell, gdzie czas jakby się zatrzymał. A na kogoś, kto by odstawał od jej wyśnionego ideału, nie zamierzała się zgodzić. Nie chciała wiązać się z kolejnym mężczyzną, dla którego kariera znaczy więcej od własnego dziecka. Nie zależało jej też na pozbawionym ambicji zawodowych luzaku lub dużym, nieodpowiedzialnym i niedojrzałym emocjonalnie chłopcu.

Chciała...

Znów skierowała wzrok na Zachariaha Boltona. Miał pełne usta, zaciśnięte zęby, mocno zarysowaną szczękę. W jego oczach widać było zapal do pracy, pasję. Przez

moment zastanawiała się, czy płoneły taką samą pasją, kiedy patrzył na kobietę. Na przykład na swoją żonę - na matkę siedzącego obok chłopca?

Uśmiechnąwszy się w ciemnościach, potrząsnęła głową. Próbowwała obdzielić tajemniczego wynalazcę cechami, jakich pewnie nie miał. Nazajutrz po przyjeździe do Rockwell wybrała się z Codym do biblioteki publicznej, w której wypożyczyła kilka książek o historii miasta. Wszystkie zawierały wzmianki o Boltonie i wszystkie przedstawiały go podobnie. Jako słynnego kobieciarza. Dziewiętnastowieczny Don Juan - tak go określił jeden z autorów. W żadnej z książek nie było słowa o pani Bolton, o biednej, zdradzanej małżonce.

Mimo to żar w oczach Zachariaha Boltona jakoś działał na wyobraźnię Jane.

Wiedziała, że spekulacje na jego temat są pozbawione sensu. Facet nie żyje od lat. A żar w jego oczach pewnie nie ma nic wspólnego z żadną pasją; przypuszczalnie świadczy o początkach szaleństwa. Według autorów książek, Bolton, człowiek niegdyś uważany za wybitnie uzdolnionego, o umyśle znacznie wyprzedzającym swoje czasy, przekroczył tę cienką granicę między geniuszem a obłądem. Z tego, co o nim wyczytała, Jane doszła do wniosku, że Zachariah oszalał sporo przed śmiercią ukochanego syna. Podobno twierdził, że wynalazł sposób na podróżowanie w czasie. Został wyśmiany. To spowodowało, że więcej nie mówił o swym wynalazku. Kiedy po śmierci dziecka zniknął z miasta, niektórzy byli zdania, że wyjechał, bo wszystko w Rockwell przypominało mu syna, inni zaś uważali, że miał dość lekceważenia

okazywanego mu przez innych naukowców. Tak czy owak, pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Zachariah Bolton jakby rozpląnął się w powietrzu. Więcej nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

Szkoda. Wielka szkoda.

- Mamo! Mamusiu! Chodź prędko!

Z zadumy wyrwał ją pełen trwogi krzyk Cody'ego. Boże, coś się stało! Zerwała się z łóżka, wybiegła na korytarz, potem ile sił w nogach pognąła w kierunku schodów, do pokoju syna. Serce waliło jej młotem, kiedy pchnęła drzwi. I nagle zamarła bez ruchu.

Na środku pokoju ujrzała dwie postaci skapane we wpadającym przez okno mlecznym świetle księżyca. Potargany mężczyzna w wygniecionym ubraniu klęczał na podłodze, trzymając w objęciach jej syna. Tak mocno go ścisnął, że biedny Cody ledwo mógł oddychać. Mężczyzna był zwrócony tyłem do Jane, widziała więc tylko jego ramiona, które trzęsły się, jakby intruz szlochał. Cody wpatrywał się w matkę szeroko otwartymi oczami.

- Mój syn - wyszeptał ochrypłym głosem obcy. Mój ukochany syn. Dzięki ci, Boże...

Niewiele się namyślając, Jane chwyciła stojący w kącie pokoju kij baseballowy i unosząc go, postąpiła kilka kroków do przodu.

- Mamusiu, nie!

Krzyk Cody'ego sprawił, że szalenciec znieruchomiał, jakby nagle uświadomił sobie, że poza nim i chłopcem ktoś jeszcze jest w pokoju. Jane zawahała się. Zamiast zdzielić obcego w głowę, ścisnęła kij oburącz, gotowa w każdej chwili się nim posłużyć.

- Puść go - powiedziała. W gardle tak bardzo jej zaschło, że z trudem dobytek głos. - Jeśli natychmiast go nie puścisz, przysięgam, że...

Nie wstając z kolan i wciąż tuląc do siebie chłopca, mężczyzna wolno się obrócił. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. Zmieszanie.

- Proszę cię... - szepnęła Jane. Ręce jej drżały, ledwo trzymała uniesiony kij. - Weź sobie, co chcesz, ale błagam, nie rób chłopcu krzywdy.

- Krzywdy? - zdumiał się obcy. - Ależ nie mógłbym go skrzywdzić. Ja go kocham. To mój syn, Benjamin. Mój... - Mrugając oczami, jakby usiłował lepiej widzieć, wbił wzrok w małą, wystraszoną twarz Cody'ego.

Jane opuściła kij i wyciągając rękę, wcisnęła kontakt. Pokój zalało światło. Mężczyzna podskoczył przerażony; z lękiem popatrzył na zawieszoną u sufitu lampę. Potem ponownie skierował wzrok na chłopca.

- To mój syn - oznajmiła Jane. Mówiła cicho, spokojnie, domyślając się, że ma do czynienia z szaleńcem. - Ma na imię Cody, a nie Benjamin. To mój syn. Proszę go...

Mężczyzna potrząsnął głową. Z niezwykłą delikatnością odsunął chłopca od siebie, tak by móc mu się dokładnie przyjrzeć.

- Ty... ty nie jesteś Benjaminem? - szepnął.

Słyszając dojmujący ból w jego głosie, Jane poczuła, jak łyzy podchodzą jej do gardła.

- Nie, proszę pana. Jestem Cody. Cody Fortune - oznajmił chłopiec. - Kiedyś miałem tatusia, ale zmarł dawno temu. A to jest moja mama. - Wskazał palcem w stronę drzwi. - Ma na imię Jane.

Obcy uniósł brwi, po czym pokręcił z niedowierzaniem głową. Łzy zaszkliły mu się w oczach.

- Boże, nie jesteś moim Benem. A ja myślałem...

Uchwyciwszy się słupka baldachimu, dźwignął się z kolan na nogi. Przez moment stał pochylony, przyciskając rękę do czoła. Wreszcie wyprostował się. Światło lampy padało prosto na jego twarz.

Jane wciągnęła z sykiem powietrze i zaniemówiła z wrażenia. Szybko jednak wzięła się w garść. Po chwili zauważyła ubranie, jakie obcy miał na sobie, i ponownie przeżyła szok.

Człowiek trzymający się słupka baldachimu wyglądał jak mężczyzna na obrazie, który wisiał w jej sypialni.

- Przepraszam - powiedział do Cody'ego, po czym powtórzył to samo, zwracając się do Jane: - Przepraszam. Nie chciałem was wystraszyć. Ja... - Uczynił krok do przodu, ale nagle zachwiał się. Chroniąc się przed upadkiem, znów uchwycił się słupka.

- W porządku. Nic się nie stało - rzekła Jane i skinęła na syna. Chłopiec podbiegł do matki. Objęła go ramieniem i nie spuszczać oczu z obcego, spytała: - Jak... skąd... skąd się tu wzięłeś?

Marszcząc czoło, mężczyzna rozejrzał się po pokoju.

- Coś się tu zmieniło... - Zamknął oczy i potarł palcami nos.

Jane zasłoniła sobą Cody'ego i powoli zaczęła cofać się w stronę drzwi. Starła się nie myśleć o uderzającym podobieństwie między obcym a wynalazcą, do którego parę minut temu wzdychała jak zakochana pensjonarka. Boże, nawet ubranie mają identyczne!

- Źle się czujesz, prawda? - spytała, usiłując przekonać samą siebie, że facet nie jest groźnym przestępcą. - Jesteś chory, zdezorientowany, po prostu zabłądziłeś. Wszedłeś nie do swojego domu. Ja to rozumiem. Nie martw się. Nie oskarżę cię o włamanie ani...

Mężczyzna otworzył oczy. Spojrzenie miał lekko zamroczone, przepojone bólem, ale nie było w nim śladu szaleństwa.

- Powiedz mi, Jane, jaki teraz jest rok?

Jaki rok?

Jane przełknęła ślinę. Patrzyła na twarz, która była taka sama jak ta na obrazie. Nie, wołała o tym nie myśleć.

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy - odparła tak, jakby w pytaniu nie było nic dziwnego. Popychając lekko syna, wykonała następny krok do tyłu.

Obcy wytrzeszczył oczy.

- Tysiąc dziewięćset... - Spojrzał do góry na zawieszoną u sufitu lampę, po czym opuścił głowę i jęknął boleśnie. - Och, nie. Boże kochany, pomyliły mi się kierunki. Zamiast do przeszłości, trafiłem do przyszłości. Jak to możliwe? Przecież...

Nie przerywając monologu, puścił słupek łóżka i ruszył w stronę Jane. Nie doszedł. Runął jak długi u jej stóp.

Wtedy spostrzegła leżące na podłodze okulary w złotych oprawkach. Przy łóżku zaś torbę, a obok niej małe czarne urządzenie. Przestań, Jane, zganiła się w duchu. Ściągnij wodze wyobraźni! Pochyliwszy się nad mężczyzną, z kieszeni jego kamizelki wyjęła zegarek - identyczny jak ten na obrazie. Po chwili przyjrzała się dokład-

niej czarnemu urządzeniu przy torbie obcego, które wyglądało jak staromodny pilot do telewizora. Podobne czarne urządzenie leżało na stole wynalazcy na obrazie.

- Spytał o rok - szepnęła sama do siebie. - Powiedział, że pomylił kierunki. Że trafił do przyszłości, zamiast do przeszłości...

Zaczęła sobie przypominać, co mówił szeryf O'Donnell i co wyczytała w książkach z miejscowej biblioteki o genialnym naukowcu, który kiedyś mieszkał w jej domu. O Zachariahu Boltonie, który twierdził, że wynalazł sposób na podróżowanie w czasie i który nagle zniknął.

- Nie, to niemożliwe...

- Mamusiu?

Wyprostowawszy się, spojrzała na syna.

- Co, Cody?

- Możemy go zatrzymać?

Zgięta w pół, z trudem łapała oddech. Co jak co, ale facet na pewno ważył sporo. Wciągnięcie go na łóżko kosztowało ją dużo wysiłku. W dodatku był nie tylko ciężki, ale i brudny; powinien się wykapać, ogolić, przebrać w czyste ubranie. Ale to nie było jej zmartwienie.

Wiedziała, że powinna zejść na dół, zadzwonić do szeryfa, poprosić go, aby przyjechał i zabrał do aresztu jej nieproszonego gościa. Coś ją jednak wstrzymywało przed telefonem do O'Donnella.

- Mamusiu, czy on jest chory?

- Nie wiem, synku. Chyba tak. Lepiej umyj ręce. Może to coś zaraźliwego?

Cody nie ruszył się z miejsca.

- A może on nie jest chory? Może jest ranny?

Jane objęła syna.

- Mój biedaku. Pewnie cię potwornie wystraszył.

- Wcale nie. W pierwszej chwili pomyślałem, że to naprawdę mój tatuś. Że jakoś odżył i wrócił, chociaż wiem, że to się nie zdarza. Tak mnie tulił do siebie... Szkoda, że nie mam taty.

Poczuła ucisk w gardle. Czas najwyższy zmienić temat.

- Powiedz, kochanie, którąś tu wszedł?

- Nie wiem. Po prostu na środku pokoju pojawiło się światło. Taka duża jasna kula. Świeciło tak mocno, że aż musiałem zmrużyć oczy. Potem nagle światło zgasło, a on leżał na podłodze.

- Leżał na podłodze - powtórzyła Jane, wpatrując się w człowieka, którego z trudem wciągnęła na łóżko syna.

- Tak było, mamusiu. Myślisz, że jest duchem?

- Nie, synku. Nie sądzę, żeby był duchem. - Zmarszczyła czoło. - Chyba nie wierzysz w takie rzeczy, co?

- Nie. Ale...

- Chodźmy na dół. - Wzięła syna za rękę. Świetlista kula? Dobrze sobie. - Musimy zadzwonić do szeryfa.

- Nie, mamusiu! Nie możemy! - Cody wyrwał rękę.

- On potrzebuje pomocy! Jest chory albo ranny. Nie chcę, żeby trafił do więzienia!

- Kochanie, ten człowiek włamał się do naszego domu...

- Ale on jest moim przyjacielem! - Chłopiec wydał dolną wargę. Był bliski płaczu.

- Co ty opowiadasz, bączku? Jakim przyjacielem? Przecież nawet go nie znasz.

- Znam - oznajmił stanowczym tonem Cody. - On mnie przytulił. I powiedział, że mnie kocha. Nie pozwolę go wsadzić za kratki.

Jane zamknęła oczy i westchnęła głośno.

- Codesterze, mój miły. On nie może tu zostać. To wykluczone.

- Ale dlaczego, mamusiu? Mógłby mi zbudować domek na drzewie. To znaczy, kiedy już wyzdrowieje. A potem. ..

- Synku, nic o nim nie wiemy. Może to groźny kryminalista albo zbiegły przestępca. Albo... - Popatrzyła w wielkie zielone ślepia syna i poczuła się jak przywódca Hunów, okrutny Attyła. - Cody...

- Mamusiu, proszę cię. Przynajmniej spróbujmy się dowiedzieć, kim jest, skąd przybył i co znaczyła ta świetlista kula. Wydaje mi się, że on naprawdę potrzebuje naszej pomocy.

Ponownie westchnęła.

- Dobrze, zastanowię się.

Cody uśmiechnął się szeroko, po czym ziewnął i potarł oczy.

- Pora spać, kochanie - powiedziała matka. - Możesz położyć się u mnie w pokoju.

- Dobra! To lecę!

I faktycznie, po chwili już go nie było.

Jane zerknęła na obcego w łóżku jej syna. Oczywiście, nie miała zamiaru pozwolić mu zostać. Postanowiła zaczekać, aż Cody zaśnie, i wtedy zadzwonić do szeryfa. Później się zastanowi, jak wytłumaczyć synowi swą decyzję. Skany Anula43, przerobienie pona.

Zgasiła światło, przysunęła do łóżka krzesło, podniosła z podłogi kij baseballowy i usiadła na warcie. Kwadrans. W ciągu kwadransa Cody powinien zasnąć. Wówczas ona zbiegnie szybko na dół i wezwie szeryfa.

Zach obudził się w ciemnym pokoju - oczywiście w sypialni syna. Pracował od samego rana; widocznie tak bardzo się zmęczył, że usnął w trakcie czytania Benowi bajki na dobranoc. Zazwyczaj Ben potrząsał go za ramię i domagał się, by ojciec dokończył bajkę. Dziwne, że tym razem nie...

Rany boskie, gdzie się Ben podziewa?

Zachariah zamknął oczy. Ach, no jasne! Benjamin wciąż jest u dziadków w Bostonie. Jakże mógł zapomnieć?

W porządku. Skoro nie śpi, równie dobrze może się wziąć do pracy.

Psiakrew.

Obmacał kieszenie, ale nie znalazł w nich okularów. Wyciągnął rękę do stolika nocnego, by zapalić lampę naftową, ale lampy nie było; pewnie postawił ją gdzie indziej. W świetle księżycy wpadającym przez okno zaczął rozglądać się po pokoju. A cóż to? Na drewnianym krześle przy łóżku siedziała niesamowicie piękna młoda kobieta w jasnej koszuli nocnej z krótkimi rękawkami, spod których wystawały kształtne ramiona. Spała. Głowę miała przekrzywioną w bok, policzek oparty o ramię. Włosy długie, rozpuszczone, kasztanoworude. Boże, co za widok! Ale... ale skąd ona się tu wzięła? Co tu robi? Jak...

Po chwili namysłu uznał, że jego dwaj przyjaciele,

Eli i Wilhelm, obaj obdarzeni dużym poczuciem humoru, musieli zrobić mu kawał. Od dawna narzekali, że za dużo pracuje, że poza pracą i opieką nad synem na nic innego nie ma czasu, że życie przechodzi mu koło nosa. Przedtem był znanym podrywaczem, romansował z wieloma kobietami, nawet takimi, które cieszyły się w miasteczku zasłużenie złą opinią. Ale ostatnio jakby się pod tym względem rozleniwiał i cały czas poświęcał swojemu najnowszemu wynalazkowi, który - jak tłumaczył przyjaciółom - ma szansę odmienić świat.

Któregoś dnia ci dwaj skubańcy stwierdzili ze śmiechem, iż tak długo nie miał kobiety, że gdyby obudził się i zobaczył jakąś obok siebie, to nie wiedziałby, co z nią zrobić. Hm, czyżby postanowili sprawdzić swą hipotezę? Pewnie tak. Boże, ależ ona jest piękna! Szkoda, wielka szkoda. Nie zamierzał bowiem ryzykować jakiejś paskudnej choroby. Wolał sam sobie wybierać kobiety.

Westchnął głęboko. Damulka na pewno nie omieszka donieść dowcipnisiom, że Zach okazał się całkowicie nieczuły na jej wdzięki.

Zaraz, zaraz, może jednak zdoła temu zapobiec?

Wstał z łóżka, trochę zaskoczony tym, że jest taki osłabiony i kręci mu się w głowie, po czym cicho, na palcach, podszedł do krzesła, na którym spała piękna nieznajoma. Po drodze potknął się o kij baseballowy, który syn zostawił koło łóżka. Hm, dziwne, że wcześniej go tam nie widział. Odepchnął kij na bok i pochylił się nad podesłaną mu przez przyjaciół śpiącą rozpustnicą. Delikatnie potarł palcami jej długie, jedwabiste włosy. Potem przysunął nos do jej szyi i wciągnął powietrze. Uśmie-

chnął się. Wcale nie uderzyła go w nos woń potu. No, no, przyjaciele wykosztowali się na czyścioszkę. Ta wyglądała niewinnie jak kwiatusek, a pachniała mydłem.

Kiedy tak nad nią stał, mruknęła coś przez sen i lekko się poruszyła. Wargi się jej rozchyliły, głowa opadła w tył. Nagle Zach uświadomił sobie, jak dawno nie całował kobiety. Skoro ta jest taka czysta i pachnąca, może niczym groźniejszym niż przeziębienie się od niej nie zarazi?

Delikatnie ujął ją za brodę i przytknął usta do jej ust. Westchnęła błogo. Zachęcony, rozwarł je szerzej. Nie opierała się; przeciwnie, była całkiem chętna. Powoli zaczęła się budzić, odwzajemniać jego pocałunki. Objąwszy kobietę w talii, podciągnął ją na nogi i nie przerywając całowania, mocno przytulił. Jej senność go podniecała, rozbudzała emocje, o jakie się nie podejrzewał. Kobieta gładziła go po plecach, ramionach. Serce waliło mu jak oszalałe. Żaden z wcześniejszych romansów nie wywoływał w nim takiej reakcji. Żadna z kochanek...

Żadna od czasu Claudii.

Nagle stracił równowagę. Nieoczekiwana zmiana w zachowaniu kobiety tak bardzo go zaskoczyła, że nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, skąd takie chuchro ma tyle siły i dlaczego on sam jest taki słaby.

Dysząc ciężko, zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

- To przesądza sprawę! - warknęła. - Wahałam się, jak postąpić, ale tego za wiele!

- W porządku, panienko - oznajmił spokojnie. - I tak nie zamierzałem dopuścić do żadnej intymności, więc możesz się ubrać i wracać do siebie.

- Co takiego? - Na jej twarzy odmalował się szok.
- Nie zamierzałeś dopuścić do... do żadnej intymności?
- Nie chodzi o ciebie, kwiatuszku. - Uśmiechnął się i odgarnął jej z twarzy pukiel włosów. Kobieta nawet nie drgnęła; była zbyt wstrząśnięta tym, co usłyszała, aby zareagować na ten poufały gest. - Prawdę mówiąc, dawno nie czułem takiej pokusy. Jesteś śliczna. Ale nie chcę narażać się na... Sama rozumiesz.

Pokręciła głową.

- Nie, nie rozumiem. I chyba nie chcę zrozumieć. Jesteś szaleńcem. Powinno się ciebie zamknąć w domu wariatów. - Na moment zamilkła. - Zejdziemy teraz oboje na dół i zadzwonię po szeryfa. Ale nie musisz na niego czekać. Nawet lepiej, żebyś sobie poszedł.

- Słucham? - spytał zdziwiony.

- Powiedziałam: wynocha! - Zacisnęła ręce w pięści.
- Wynos się z mojego domu. Teraz. Już.

- Słowo daję, kwiatuszku, powinnaś spróbować swoich sił na scenie. Masz wielki talent aktorski. - Zmarszczył czoło. - Doprawdy nie pojmuję, co chcesz osiągnąć, ale to jest mój dom i to ty powinnaś go opuścić.

Wytrzeszczyła oczy. Miejsce gniewu zajął lęk.

- Przykro mi - powiedział. Nagle przyszło mu do głowy, że może dziewczę zostanie wyśmiane, jeżeli inni dowiedzą się, że nie udało jej się go uwieść. Przez moment nawet korciło go, aby zmienić decyzję. Igraszki miłosne z tą pełną temperamentu kocicą byłyby doświadczeniem, którego długo by nie zapomniał. - Jeśli chcesz, możesz posiedzieć tu ze dwie lub trzy godziny. To chyba starczy? Uwierzą ci, żeśmy się chędożyli, prawda?

Spoliczkowała go z całej siły. Nawet nie miał czasu odskoczyć. Stracił równowagę i wyładował na łóżku. Leżąc, zamrugał nerwowo oczami. Boże, co się dzieje? Dlaczego jest taki słaby? Dlaczego tak strasznie kręci mu się w głowie? Czyżby niedawno był chory i...

- Wynoś się stąd! - rozkazała mu.

- No dobrze - powiedział cicho, wciąż zdumiony własną słabowitością. - Koniec żartów. Mam ci udowodnić, że to mój dom? Że ja tu mieszkam? Koniecznie chcesz, abym wezwał szeryfa? Tak? - Pokręcił z rezygnacją głową, po czym podniósł rękę i wskazał palcem w stronę stołu pod oknem, ledwo widocznego w słabym blasku księżyca. - Spójrz. Tam jest mój warsztat pracy. Oczywiście, główny mieści się gdzie indziej. Ale tu, w pokoju Bena, też często pracuję. Podejdz i sprawdź. Leżą tam moje narzędzia. I zeszyty. Zeszytów, rzecz jasna, nigdy nikomu nie pokazuję. Ich zawartość jest ściśle tajna. Ale taka zwykła dziewczka jak ty niczego nie zrozumie, więc śmiało. Zerknij sobie do środka. - Przesunął rękę w drugim kierunku. - Tam jest kominek. Nad nim, na półce, stoją dwie lampy naftowe. Zapal jedną, zapałki leżą gdzieś obok, i przekonaj się na własne oczy, że mówię prawdę. A potem bądź łaskawa opuścić mój dom. Czeka mnie mnóstwo pracy.

Wpatrywała się w niego bez słowa, a potem podeszła do ściany. Przyłożyła do niej dłoń i nagle w całym pokoju rozbłysło światło. Zachariah Bolton doznał takiego szoku, że niemal zwałił się z łóżka na podłogę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obserwując obcego, który chyba ze szczerym zdziwieniem rozglądał się po pokoju Cody'ego, jakby nie wierzył własnym oczom, Jane schyliła się i na wszelki wypadek podniosła z podłogi kij baseballowy.

- Co się dzieje?! - zawołał mężczyzna. - Co to znaczy? Gdzie moje liczydło? Gdzie notatki? Rany boskie, kobieto, kto tu zainstalował to urządzenie świetlne? I gdzie schowałaś moje zeszyty?

- Posłuchaj - rzekła, trzymając przed sobą kij. - Nie wiem, kim, u diabła, jesteś ani o czym, do cholery, mówisz, ale...

- Narzędzia! - ryknął, szukając swych przyborów do pracy, po czym nerwowym ruchem przecesał ręką włosy. - Do stu piorunów, co zrobiłaś z moimi narzędziami? Gdzie przeniosłaś stół, który stał pod oknem? Gdzie się podział kredens ciotki Hattie?

Facet jest chory, to nie ulega wątpliwości. Nie tylko chory psychicznie, ale i fizycznie. Twarz miał bladą jak kreda, przeraźliwie chudą, oczy błyszczące, podkrążone.

- Dzięki Bogu - szepnął i padłszy na kolana, chwycił płaski czarny przedmiot, który wyglądał jak pilot do telewizora. - Przynajmniej przenośnik nie zginął... - Nagle pokręcił głową, jeszcze bardziej skonfundowany niż

przed chwilą. - Ale... ale przecież ja jeszcze go nie skończyłem.

Miała ochotę wybiec z sypialni syna. Zostawić szaleńca, obudzić Cody'ego, który spał u niej na łóżku, i uciec. Ale obcy klęczał pośrodku pokoju i wpatrywał się w nią jakoś dziwnie. Może zaczyna sobie coś przypominać, coś kojarzyć? Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz smutku i bólu.

- Jesteś Jane, prawda?

Skinęła głową. Ignorując wewnętrzny głos, który mówił jej, żeby odeszła i wezwała pomoc, stała bez ruchu. Z całej siły powstrzymywała się, aby nie podejść do obcego, nie zacząć go pocieszać; nie mogła znieść cierpienia i zmieszania w jego oczach.

- A ten chłopiec... to twój syn, tak? To nie Benjamin?

- Zgadza się. A więc pamiętasz? - szepnęła.

Zamknął oczy.

- Pamiętam. Mój mały Ben... - Zniżył wzrok; ramiona zaczęły mu się trząść. - Mój mały Ben umiera. Jakże bym mógł o tym zapomnieć?

Jane poczuła ostre klucie w sercu. Facet ma syna, który jest podobny do Cody'ego i który umiera?

- Boże. - Kij, który ścisnęła w dłoni, upadł z hukiem na podłogę. - Nic dziwnego, że wszystko ci się w głowie płacze.

Podeszła do obcego i zaczęła delikatnie gładzić go po włosach, odgarniając mu z twarzy ciemne kosmyki. Policzki miał mokre od łez. Nie podnosząc się z klęczek, mężczyzna zacisnął ramiona wokół jej bioder, po czym przytknął czoło do jej brzucha.

- Chciałem się cofnąć, Jane, żeby móc go uratować. Kilka lat w przeszłość, zanim jeszcze dopadł go ten piekielny wirus. Chciałem... Ale coś poszło nie tak. Nie udało się. Musiałem źle wyliczyć. A teraz... Boże, nie wiem, czy nie jest za późno. Czy zdołam uratować moje dziecko...

Monolog szaleńca, pomyślała Jane. Ale czy sama byłaby w stanie normalnie rozmawiać, gdyby straciła Co-destera? Po krzyżu przebiegł ją dreszcz. Stała zamyślona, głaszcząc obcego po włosach. Jego historia przypominała historię Zachariah Boltona. Nic dziwnego, że biedak tu przywędrował, do domu, w którym sto lat temu mieszkał Bolton.

- Już dobrze - szepnęła, bo wzruszenie nie pozwalało jej mówić głośno. - Wszystko będzie dobrze. Pomogę ci. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Słyszysz?

Nie odpowiedział, ale widziała, w jakim jest stanie. Totalnie zagubiony i zdezorientowany, przepojony potwornym cierpieniem, obejmował ją, szlochał, drżał na całym ciele.

- Kim jesteś? - spytała. - Jak się nazywasz?

- Zach - mruknął. - Zachariah Bolton.

Zesztywniała. Musiał to wyczuć, bo opuścił ramiona. Przyłożywszy rękę do czoła, zaczął je pocierać, jakby usiłował rozetrzeć dotkliwy ból. Wreszcie dźwignął się na nogi.

- Przepraszam. Zupełnie się rozkleiłem. Nie wiem, co sobie o mnie pomyślisz.

- Myślę, że musiało ci się przydarzyć coś strasznego - rzekła, starannie dobierając słowa - co sprawiło, że... straciłeś poczucie rzeczywistości.

- Innymi słowy, że oszalałem.

- Ależ nie.

Cofnął się parę kroków.

- Patrzysz na mnie jak na szaleńca.

- Nie, ja... Posłuchaj, Zachariah Bolton miałby dziś ponad sto trzydzieści lat.

Przez moment stał bez słowa, spoglądając na czarny przenośnik.

- Zachariah Bolton - oznajmił cicho - ma trzydzieści pięć lat, Jane. Urodził się w 1862 roku.

- To nie ma najmniejszego sen... Do czego służy to urządzenie, które miętosisz w dłoni?

Podniósł wzrok.

- Czyli dom należy teraz do ciebie? - spytał.

- Tak. Do mnie i mojego syna.

- A twój mąż... Czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Nie mam... - Ugryzła się w język. Jeszcze nie zwariowała! Tylko tego brakuje, żeby przyznała się oszalałemu z rozpaczyny włamywaczowi, że mieszka samotnie.

- Nie ma go w tej chwili w domu.

Człowiek podający się za Zachariaha Boltona zerknął na jej lewą rękę.

- Nie widzę obrączki. Jesteś panną, prawda?

Nie zareagowała. Pokręcił głową jakby z niedowierzaniem, i ponownie spojrzął na czarne urządzenie, które ścisnął w dłoni. Nagle w oczach mu pociemniało; zachwiał się.

- Jesteś chory - powiedziała. - Coś ci wyraźnie dolega...

Wziął głęboki oddech, po czym ostrożnie usiadł na krawędzi łóżka.

- Nie jestem chory, to po prostu skutki uboczne - rzekł. - Nie spodziewałem się, że będą tak dotkliwe.

- Skutki uboczne? Czego?

- Jeśli ci powiem, każesz mnie wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. Ale nie mam wyboru, prawda, Jane? Jesteś mi potrzebna, abym... Boże, jak mam ci to wytłumaczyć?

- Zawahał się. - Chodź tu. Usiądź koło mnie.

Poklepał łóżko. Jane cofnęła się niepewnie. Widząc jej reakcję, uniósł brwi, po czym pokiwał głową.

- No tak, dotąd nie zachowywałem się jak dżentelmen.

- Na wspomnienie pocałunku utkwiał wzrok w jej wargach.

- Nie wiem, co się stało, Jane. To było jak chwilowa utrata pamięci. Pewnie kolejny skutek uboczny. Przypomniało mi się, jak moi dwaj przyjaciele wynajęli... Mniejsza z tym. W każdym razie bardzo cię przepraszam. - Ponownie poklepał ręką miejsce koło siebie. - Proszę cię, usiądź. Chcę ci zademonstrować, jak działa to urządzenie.

- Co to? Jakiś paralizator?

Zmrużył oczy.

- Nie znam takiego pojęcia, ale nie sądzę, żeby było adekwatne. Chcę ci pokazać, jak się tu dostałem, bo same słowa cię nie przekonają. Pomyślisz, że zwariowałem i wyrzucisz mnie, zanim zdołam ci cokolwiek udowodnić.

Postąpiła krok do tyłu. Mężczyzna wyciągnął do niej rękę.

- Jestem Zachariah Bolton, Jane. Proszę cię, usiądź. Udowodnię ci to.

Wzdychając z rezygnacją, podniosła z podłogi kij baseballowy, po czym podeszła do łóżka i posłusznie usiadła.

- Zaraz mi powiesz, że żyłeś sto lat temu, a to czarne

urządzenie, w którym niestety coś się zepsuło, sprawiło, że przeniosłeś się sto lat w przyszłość.

Wybałuszył oczy.

- Skąd, u licha, to wszystko wiesz?

- Och, wszyscy okoliczni mieszkańcy znają historię Zachariaha Boltona. Facet był geniuszem. Intelktualnie wyprzedzał o lata świetlne swoją epokę. Ale oszalał po śmierci... - urwała.

- Syna? - dokończył za nią. - Tak, pewnie istotnie oszaleję z rozpaczy, jeśli Benjamin umrze. Ale nie mam zamiaru do tego dopuścić. - Popatrzył na swoje pomięte spodnie i koszulę. - Tak ubrany siedziałem przy nim całą noc. Nie zdążyłem się przebrać. Nic dziwnego, że się mnie wystraszyłaś. Wyglądam jak włóczęga. Ale nie spodziewałem się zastać tu nikogo... oczywiście poza Benem, no i może panią Haversham.

Jane poderwała się na nogi.

- Przestań - powiedziała, potrząsając głową. - Przestań tak mówić. To...

- Szalone? - spytał. - Wiem. To samo powtarzali moi dwaj przyjaciele i współpracownicy. Że podróżowanie w czasie jest niemożliwe. Że tylko marnuję swój czas i talent. Od wielu miesięcy byłem bliski dokonania odkrycia, bardzo bliski. Ale dopiero kiedy Ben zachorował... Wtedy coś się we mnie zmieniło. Dostałem jakby nowy zastrzyk energii.

Cofała się do drzwi, wciąż potrząsając głową. Nagle chwycił ją za nadgarstek i delikatnie przyciągnął do siebie, po czym małym czarnym urządzeniem wskazał na środek pokoju.

- Tutaj, Jane. Mniej więcej dwanaście metrów nad ziemią. Zbudowano dom, nie wiedząc, że w tym miejscu istnieje niewidoczna fałda w materii czasu. Coś jakby wrota pozwalające przejść do innego świata. Potrafię je otworzyć.

Wcisnął kciukiem przycisk na pilocie. Najpierw rozległ się cichy, miarowy szum, a po chwili na środku pokoju, równo między podłogą a sufitem, pojawił się mały punkcik światła.

- Zamierzałem wrócić w przeszłość. Cofnąć się tylko parę lat, może nawet parę miesięcy. Do czasu, kiedy Ben był zdrowy. I zabrać syna z miasteczka, zanim zaatakuje go śmiertelny wirus. Chciałem uratować moje dziecko. Czy to tak trudno zrozumieć, Jane? Zaledwie kilka godzin temu sama stałaś tu z drewnianym kijem, gotowa bronić przede mną swojego syna. Zrobiłabyś dla niego wszystko, prawda? Przyznaj się.

Nie podobało się jej jego natarczywe spojrzenie ani to, że nadal ściska ją za nadgarstek. Próbowwała się uwolnić. Nie puścił. Wstał i przyciągnął ją do siebie. Wolną rękę tak mocno zacisnął wokół jej talii, że nie była w stanie się ruszyć. Palce drugiej ręki zbliżył do tarczy na czarnym urządzeniu. Szum przybrał lekko na sile; punkcik światła nie zmienił się.

- Musiałem popełnić jakiś błąd. - Powoli obracał tarczę. - W obliczeniach. Zamiast w przeszłość, przenieśliśmy się w przyszłość. I to nie kilka miesięcy, lecz sto lat! - Przesunął tarczę o kolejne pół obrotu.

- To niemożliwe - szepnęła Jane. Przestała się wyrywać. - Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę.

Światło na środku pokoju nagle rozbłysło jaśniej, po czym zgasło. Jane jak zahipnotyzowana wpatrywała się w tajemniczy punkt między podłogą a sufitem.

Obcy znów zaczął bawić się przyciskami i tarczą, ale punkcik świetlny więcej się nie pojawił.

- Psiakrew. Nie zwariowałem. Po prostu wszystko mi umyka...

Wtem Jane uświadomiła sobie, że ciągle stoi w objęciach mężczyzny. Jej plecy stykały się z jego klatką piersiową, a jego ręka nadal obejmowała ją w talii, choć nie tak mocno jak przed chwilą.

- Zapominam o najprostszyc rzeczach. Potrzeba czasu, żeby przenośnik z powrotem się naładował. Że też o tym nie pamiętałem! Trzy dni, Jane. Za trzy dni pokażę ci coś, czego nigdy dotąd nie widziałaś. A na razie musisz mi uwierzyć na słowo. Naprawdę jestem Zachariahem Boltonem. Przysięgam na wszystkie świętości. I chciałbym. .. chciałbym cię prosić, żebyś pozwoliła mi tu zostać przez te trzy dni, dopóki urządzenie się nie naładuje. Inaczej nie zdołam wrócić do syna.

Obróciwszy się, popatrzyła mu w oczy. Nie miała cienia wątpliwości, że wariat podający się za Boltona wierzy w każde słowo, które mówi. Biedny szaleniec.

- Nie wezwiesz szeryfa, prawda, Jane? Pozwolisz mi zostać, prawda? Tak, wiem, że pozwolisz. Jesteś szlachetną kobietą o wielkim sercu. Nie skrzywdziłabyś...

- Jesteś chory - szepnęła. - Potrzebujesz pomocy.

Zacisnął powieki. Sprawiał wrażenie, jakby opadł z sił.

- Przynajmniej pozwól mi zostać do rana - poprosił.

- Może wtedy coś wymyślę i przekonam cię, że nie kłamie. Teraz jestem zbyt zmęczony. Nie jestem w stanie logicznie myśleć...

- Dobrze - zgodziła się, po czym złapała się za głowę.

Boże! Tylko idiotka pozwoliłaby szaleńcowi nocować w swoim domu! Ale nie potrafiła wskazać mu drzwi. Był taki biedny i skołowany, a w jego oczach czaiło się tak wielkie cierpienie. Nie, po prostu nie miała serca go wyrzucić.

Ulga, jaka odmalowała się na jego twarzy, była wprost niewiarygodna.

- Dziękuję - szepnął. - Dziękuję.

Była najzacniejszą, najbardziej wielkoduszną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Zanim udała się na spoczynek, ponownie spytała go o samopoczucie, po czym, wyraźnie przejęta stanem jego zdrowia, wskazała mu łóżko syna. Prawdę mówiąc, on też był dość zaniepokojony własnym zdrowiem. Zaburzenia pamięci, osłabienie, ciągłe zawroty głowy...

Przejście przez wrota czasu najwidoczniej spowodowało jakieś zmiany w jego organizmie, ale jeszcze nie wiedział ani czy są duże, ani czy są trwałe. Zasnął od razu po wyjściu Jane. Parę minut temu obudziło go słońce, które powoli wyłaniało się na wschodzie. Nadal czuł się zmęczony i... jakiś taki sponiewierany. Głowa pękała mu z bólu. Jednakże nie chciał leżeć w łóżku, czekając, aż wydobrzeje. Szkoda mu było czasu. Zresztą nie miał żadnej pewności, czy dziwne objawy ustąpią, czy będą się nasilać. Najlepiej, uznał, szybko wziąć się do pracy.

Do pracy? Ale jakiej? Czym mógłby się zająć? Uświadomił sobie, że niczym. Musiał uzbroić się w cierpliwość i czekać, dopóki przenośnik się nie naładuje. Dopiero wtedy będzie mógł wrócić do swojego świata. Najbardziej irytujące było to, że przez trzy dni musi tkwić beczynnienie, z dala od chorego Bena.

No dobrze, poczeka, a potem wróci. Wróci do Bena w tym samym dniu i w tej samej minucie, w której go opuścił. Stan chłopca nie zdąży ulec zmianie. Natychmiast po powrocie dokona nowych obliczeń, wprowadzi poprawki i podejmie nową próbę. A na razie... na razie musi udowodnić Jane, że nie jest szaleńcem, że jej nie okłamuje, i przekonać ją, aby pozwoliła mu zostać jeszcze dwa lub trzy dni dłużej.

Tak, to było najważniejsze. Na szczęście, pomyślał, nigdy nie miał trudności w namawianiu opornych niewiast, by zrobiły to, o co je prosił. Dwie rzeczy go zawsze pasjonowały: nauka i sztuka uwodzenia. Choć tak dawno nikogo nie uwodził, że może wyszedł z sprawy. Oby nie. Miał nadzieję, że takich umiejętności się nie zapomina. Tak czy owak, postara się być czarujący - od decyzji Jane zależy przecież życie Bena. Pocięszał się, że w tej chwili małemu nic nie grozi. Dla niego czas stanął.

A zatem...

Popatrzył na swoje pomięte ubranie i skrzywił się z niesmakiem. Najpierw powinien się wykapać, następnie przebrać w czystą odzież. Rozejrzał się po pokoju. Sakwa leżała na podłodze, tam, gdzie ją rzucił. Przynajmniej miał z sobą notatki - wyrwał je pośpiesznie z dziennika

na wypadek, gdyby ich potrzebował - kilka podstawowych narzędzi, zmianę ubrania i trochę przyborów toaletowych. Wyjął ubranie i przybory toaletowe, po czym ruszył korytarzem do łazienki.

Z początku zastanawiał się, jak sobie poradzi bez świecy czy lampy naftowej. Potem przypomniał sobie urządzenie świetlne na suficie w pokoju Bena - to znaczy Cody'ego. Włączało się je jakimś pstryczkiem zamontowanym w ścianie przy drzwiach. Wyciągnąwszy rękę, zaczął badać ścianę. I faktycznie, znalazł włącznik. Po chwili w łazience zrobiło się jasno.

Zach pokręcił ze zdumieniem głową i przystąpił do dalszych oględzin pomieszczenia. W rogu stała ogromna, lśniąca wanna, nad którą sterczał kran. Wystarczyło wcisnąć gałkę nad kranem, żeby wanna zaczęła napełniać się wodą. On sam miał w domu bardzo nowoczesną łazienkę, ale gdzież jej było do łazienki Jane! Tu woda leciała tak silnym strumieniem, że... zresztą mniejsza z tym. Klozet też lśnił czystością; na spodzie zalegała woda. Z wywietrznika na ścianie wpadał do środka ciepły powiew. Zach wciągnął nosem powietrze. Nie czuł dymu. Czyli to nie drewnem podgrzewano wodę w kranie i ogrzewano dom. No tak, pomyślał, przez te sto lat musiał nastąpić niezwykle rozwój techniki. Zmiany choćby w prostych domowych urządzeniach były niesamowite.

Leżał w wannie, rozkoszując się ciepłą wodą i zastanawiając się, jakie jeszcze zmiany odkryje. Na przykład automobile... Ciekawe, czy okazały się praktyczne i użyteczne, czy też - jak to przewidywali jego koledzy - ludzie szybko się nimi znudzili? Co z chorobami? Ile

zdołano pokonać? A pokój? Czy zapanował na świecie, czy nadal toczy się wojny? A Jane, która mieszka sama w domu pełnym udogodnień i samotnie wychowuje syna? Czy w obecnych czasach to powszechne zjawisko? Że kobiety mają dzieci, nie mając mężów? Zmarszczył brwi. Powszechne czy nie, podejrzewał, że Jane nie należy do osób, które by się przejmowały nakazami i normami społecznymi.

Wtedy, gdy ją całował, znajdował się w jakimś delirium, mimo to doskonale pamiętał dotyk jej warg. Rozpaliła w nim ogień, jakiego dawno nie czuł, jakiego może nawet nigdy nie czuł. Owszem, pałał namiętnością do Claudii, ale tylko do tego ograniczał się ich związek. Nie mieli żadnych wspólnych zainteresowań. Później przekonał się, że ona traktowała go jak zabawkę. Był młody, jurny, ale biedny. Ona zaś miała bogatego męża oraz wysoką pozycję społeczną. Nie zamierzała rezygnować ani z męża, ani z romansów z przystojnymi młodzieńcami. Nikomu też nie zamierzała się przyznawać, że jeden z tych romansów zakończył się ciążą.

Wyjechała z wizytą do ciotki mieszkającej za granicą, przynajmniej takie docierały do niego wieści. Kilka miesięcy później dostarczono mu pod drzwi Benjamina, z listem, a raczej pogróżką, że jeżeli komukolwiek szepnie słówko na temat matki dziecka, spotka go ostracyzm społeczny i ruina finansowa. Ona, Claudia, nie życzy sobie więcej oglądać ani dziecka, ani ojca.

Tak się też stało.

Była to najlepsza lekcja, jaką dostał od życia. Dzięki niej poznał naturę kobiet. Były istotami o niezwykle pra-

ktycznym i pragmatycznym podejściu do świata. Na mężów nie wybierały mężczyzn nie mogących pochwalić się dużym majątkiem, a już na pewno nie takich, którzy byli biedniejsi od nich samych. Niedawno Claudia ponownie zaczęła się koło niego kręcić. Częściowo dlatego, że jej bogaty mąż zmarł, zostawiając większość pieniędzy swemu bratankowi, a częściowo dlatego, że w czasie, jaki minął od ich rozstania, Zach wzbogacił się i zdobył znaczną pozycję społeczną. Jednakże teraz on nie był zainteresowany wyrafinowaną wdową. Odkąd poznał reguły gry zwanej miłością, stracił wszelkie romantyczne złudzenia. Traktował kobiety tak, jak sam został potraktowany: kochał je i porzucał.

Może piękna Jane dostała od życia podobną nauczkę? A może była wdową? Chociaż... większość wdów, jakie znał, wciąż nosiła na palcu obrączkę.

Jane. Piękna, odważna, pełna temperamentu. Wyglądała jak anioł, ale całowała jak kobieta, która od lat żyje bez mężczyzny. Hm, mógłby jej wynagrodzić te lata wyrzeczeń, pomyślał. I zdumiał się, bo już dawno skończył z hulaszczym, rozpustnym trybem życia. Z drugiej strony, dawno nie czuł dotyku kobiecej ręki, a ręka Jane głaszcząca go po głowie...

Tak, ma trzy dni i niewiele do roboty. Mógłby przypomnieć sobie zasady uwodzenia. Może krótkotrwały, lecz namiętny romans pomógłby mu przekonać tę śliczną sceptyczkę, że on mówi prawdę. A gdyby w tej kwestii jej nie przekonał, może chociaż pozwoliłaby mu zostać kolejne dwa lub trzy dni.

Westchnął głęboko. Nie wiedział, czy to nagłe za-

interesowanie płcią przeciwną jest kolejnym skutkiem ubocznym podróży w czasie, czy też wyłącznie sprawą samej Jane. W każdym razie nie miało to teraz większego znaczenia. Po prostu cieszył się, że znalazł miły, sympatyczny sposób na...

Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi i głos Jane:

- Mogę wejść?

- Proszę! - zawołał jakiś diabeł, który się w nim obudził.

Co go podkusiło? Przecież leżał w wannie, nagi jak go Pan Bóg stworzył. Może chciał zobaczyć jej reakcję, przekonać się, co naprawdę w niej tkwi? Bądź co bądź był naukowcem; uwielbiał doświadczenia. Zignorował wewnętrzny głos, który mówił mu, by się nie oszukiwał; że Jane nie jest obiektem doświadczalnym, lecz kobietą z krwi i kości.

Drzwi łazienki się otworzyły. W pierwszej chwili na jej twarzy odmalowało się zdziwienie, ale szybko wzięła się w garść. Nie patrząc na niego, wyjęła z szafki dwa duże zielone ręczniki, jakiś mały plastikowy przedmiot w kolorze różowym i jakąś puszkę.

- Jeśli myślałeś, że się zgorzę, to się pomyliłeś - rzekła. - Mam kilku braci. Razem dorastaliśmy.

Położyła wydobyte z szafki rzeczy na stołku koło wanny i, wciąż patrząc gdzieś w bok, skierowała się do drzwi.

- Jane?

Zatrzymała się. Stała zwrócona tyłem. Na cienką koszulę nocną, w której widział ją wczoraj wieczorem, narzuciła szlafrok. Szkoda. Ale wspaniałe, gęste włosy wciąż opadały jej na ramiona i plecy.

- Co to za rzeczy?

- Myślałam, że może chcesz się ogolić.

Pochyliwszy się, Zach podniósł ze stołka mały różowy przedmiot i zaczął obracać go w palcach.

- Czy ten śmieszny drobiazg to żyletka? - spytał, chociaż po bliższej inspekcji sam mógł sobie udzielić odpowiedzi.

- Oczywiście, że tak.

Westchnął głośno, osiągając zamierzony cel. Jane odwróciła się; utkwiała spojrzenie w jego twarzy.

- Możesz mi pokazać, jak to działa? - poprosił. - Sto lat temu przyrządy do golenia wyglądały całkiem inaczej.

Zmrużyła oczy. Zach uśmiechnął się w duchu, po czym zaczął się podnosić.

- Nie wstawaj - rozkazała mu.

- Potrzebuję lusterko.

- Nie potrzebujesz. Ja cię ogolę. - Kucnąwszy przy wannie, chwyciła ze stołka jeden z zielonych ręczników.

- Zakryj się.

- Ręcznik się zamoczy...

Niewiele się zastanawiając, wrzuciła ręcznik do wody, tak by zasłonił te części ciała, na które wołała nie patrzeć. Po czym wzięła puszkę, potrząsnęła ją i przytknąwszy palec do jakiejś zatyczki, nadstawiła dłoń. Z puszkę trysnął strumień białej piany. Zach ze zdziwienia otworzył usta. Jane pochyliła się i rozsmarowała mu pianę po twarzy. Zamknął oczy, rozkoszując się dotykiem.

Po chwili zanurzyła ręce w wodzie, żeby je opłukać. Niechcący otarła palcem o jego udo. W tym momencie Zach przekonał się, że nie wszystkie funkcje jego orga-

nizmu uległy uszkodzeniu podczas wędrówki w czasie. Miał nadzieję, iż Jane nie zauważyła, że ręcznik przybrał nieco inny kształt.

- Teraz bierze się maszynkę i robi tak... - Delikatnie przesunęła ją po ocienionym zarostem policzku. - Widzisz?

- Mmm - mruknął cicho. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Jane przygląda mu się z lekko naburmuszoną miną. - Tak, widzę. A... jeśli się skaleczę?

- Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, na pewno nieraz goliłeś się brzytwą. Jeśli potrafisz brzytwą, potrafisz również taką maszynką. - Odłożyła ją na brzeg wanny i wstała.

- Jestem Zachariahem Boltonem, Jane. Przysięgam. I udowodnię ci to jeszcze przed śniadaniem.

Przez kilka długich sekund przyglądała mu się uważnie, ale w końcu nie wytrzymała: powiodła wzrokiem po jego klatce piersiowej i brzuchu. A potem pośpiesznie opuściła łazienkę, zamykając za sobą drzwi.

Oparła się o nie i starała opanować bicie serca. Kimkolwiek był ten szaleniec w wannie, bardzo ją pociągał. A to czyniło go niebezpiecznym. Im szybciej pozbędzie się go z domu, tym lepiej. Zaciśnęła powieki, ale to nie pomogło; wciąż miała przed oczami obraz mokrego, umięśnionego torsu.

- Im szybciej, tym lepiej - szepnęła i ruszyła na dół, żeby przygotować śniadanie.

Kiedy zaparzyła kawę i wstawiła do piekarnika uwielbiane przez Cody'ego babeczki jagodowe, uznała, że czas najwyższy obudzić syna. Weszła do sypialni, ale łóżko

było puste. Wystraszyła się. Po chwili, słysząc dochodzące z głębi domu odgłosy Gameboya, odetchnęła z ulgą. Ubierając się, zerknęła na obraz wiszący nad łóżkiem. Nagle spojrzała w piwne oczy sportretowanego mężczyzny - wynalazcy, wędrowca w czasie - i zastygła w bezruchu.

Facet, którego wbrew swej woli gościła u siebie w domu, twierdził, że jest Zachem Boltonem. Oczywiście nie wierzyła w jego zapewnienia, ale musiała przyznać, że podobieństwo między nimi jest uderzające. Nawet ubranie mają identyczne.

Chciała mu pomóc. I postanowiła, że to uczyni. Przekona go, by pojechał z nią do miasteczka i pozwolił się zbadać lekarzowi. Może upadł albo uderzył się w głowę i stąd jego dziwne halucynacje?

Powinna była uprzedzić Zacha - zaczęła go tak nazywać w myślach - żeby nie mówił Cody'emu, kim jest i skąd przybywa. Boże, wyobraziła sobie swojego syna, który opowiada kolegom o przybyszu z przeszłości, i przerażoną wychowawczynię, która chwyta za telefon i dzwoni do niej, by ją o wszystkim powiadomić. Zresztą chłopiec, mimo że obdarzony wyjątkową inteligencją, był za młody, aby rozumieć takie rzeczy, o jakich mówił obcy.

Ubrawszy się, ruszyła korytarzem do pokoju syna. Przystanąła w drzwiach. Cody stał przy biurku, rycząc ze śmiechu, podczas gdy Zach Bolton - lub człowiek podający się za Boltona - trzymał w ręku grę elektroniczną i z zapalonym przyciskiem. Po chwili wydał z siebie żalostny jęk.

- Nie przejmuj się - powiedziała Jane. - Ja od paru miesięcy nie mogę przejść na drugi poziom.

Obaj odwrócili się jednocześnie - obaj przejęci.

- Niesamowita jest ta zabawka - oznajmił Zach.

- I wciągająca. Lepiej uważaj. Można się od tego uzależnić jak od alkoholu.

Uśmiech rozjaśnił mu oczy. Jane wstrzymała oddech. Boże! Czysty i ogolony, Zach Bolton był jeszcze bardziej przystojny niż wczoraj! Zwłaszcza kiedy się tak radośnie uśmiechał. Ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie wczorajsze pocałunki i oblewając się rumieńcem, szybko skierowała wzrok gdzie indziej. Za późno. Zach zauważył jej speszzenie. Atmosfera stała się naelektryzowana.

Jane odchrząknęła.

- Cody, kochanie, nie pamiętasz, co mówiłam? Że nie wolno grać w Gameboya przed śniadaniem?

- Wiem, mamusiu. Ale Zach jeszcze nigdy nie widział takiej gry. Prawda, Zach?

- Prawda.

- Sto lat temu oni nawet nie mieli telewizji!

Posłała Zachowi Boltonowi gniewne spojrzenie.

- Dzieciak sam na to wpadł, Jane. Słowo honoru. Oczywiście nie za pierwszym razem, ale... Najpierw spytał, czy jestem przybyszem z innej planety. Potem czy jestem duchem. Wreszcie czy jestem... - Zmarszczył czoło. - Jak mnie nazwałeś, Cody?

- Strażnikiem czasu.

Jane westchnęła.

- Oj, synku, nie powinnam ci była pozwolić na oglądanie tego filmu! No dobrze. Śniadanie będzie gotowe za kwadrans.

- Zaraz zejdziemy, mamusiu.

Zawahała się, niepewna, czy może zostawić dziecko z człowiekiem cierpiącym na halucynacje.

- Nie odchodź, Jane. - Zachariah odłożył grę i wstał z krzesła. - Chcę ci coś pokazać. - Podszedł do łóżka, przy którym stała jego torba. Otworzył ją i ze środka wydobyl gazetę. - Obiecałem, że jeszcze przed śniadaniem udowodnię ci, że mówię prawdę. Spójrz na datę.

Jane postąpiła krok do przodu i z wyciągniętej w swoją stronę ręki wzięła gazetę. Zapisane drobnym drukiem strony wyglądały tak świeżo, jakby dopiero dostarczono je z drukarni. U góry figurował tytuł: „The Rockwell Sentinel”, a pod nim data: 31 sierpnia 1897.

Jane zamrugła nerwowo powiekami i podniosła oczy na swojego gościa. Cody, który całkiem zapomniał o Gabeboyu, stał obok matki, zerkając na gazetę.

- O rany! - zawołał, dojrawszy rok. - To naprawdę prawda!

- Synku, takie rzeczy można zrobić na zamówienie. Przecież o tym wiesz. Przykro mi - Jane zwróciła się do Zacha - ale to o niczym nie świadczy.

- Bałem się, że tak zareagujesz. Na szczęście mam więcej dowodów. - Ujmując ją za łokieć, obrócił lekko w prawo. - Czwarta deska od ściany - powiedział, wskazując ręką podłogę. - Można ją podnieść. Znajdziesz tam mój dziennik, a w nim opisy doświadczeń. Chowałem go z przyzwyczajenia i dla bezpieczeństwa. Mam wielu konkurentów, z których nie wszyscy przestrzegają zasad uczciwości. W dzienniku brakuje jednej strony, którą wyrwałem i przywiozłem z sobą. Notatki

i obliczenia pomogą mi, jeśli okaże się, że muszę znów coś dostrajać albo poprawiać.

Popatrzyła na Zacha, potem na miejsce, które wskazywał.

- No, śmiało, podejdz - próbował ją zachęcić. - Chcę, żebyś mi zaufała, inaczej nigdy sobie nie poradzę.

- Mamusiu, Zach mówi prawdę - stwierdził autorytatywnie Cody. - Ja to wiem!

Wzruszywszy ramionami, Jane zbliżyła się do ściany. Kucnęła, przyłożyła rękę do czwartej deski i niemal podskoczyła, kiedy okazało się, że deska faktycznie jest obluzowana. Oblizując wargi, usiłowała ją unieść.

- Daj, ja to zrobię.

Podważył palcem koniec deski, po czym uniósł ją na tyle, aby Jane mogła wsunąć rękę do skrytki. Po chwili wyciągnęła z niej gruby, oprawny w skórę notes. Usiadła na podłodze, kładąc go sobie na kolanach.

- Nie wierzę...

- Musisz, Jane. Proszę cię. Otwórz, przeczytaj.

Przetarła zakurzoną skórzaną okładkę, po czym otworzyła notes. Strony były kruche i pożółkłe ze starości, ale pismo nadal czytelne.

- Przerzuć kilka stron. Dojdiesz do miejsca, gdzie jednej brakuje.

Ostrożnie, żeby niczego nie uszkodzić, zrobiła, jak kazał. Po chwili odnalazła miejsce, o którym mówił; pożółkłe, postrzępione brzegi świadczyły o tym, że istotnie wyrwano stąd kartkę. Popatrzyła w oczy Zacha. Z kieszeni kamizelki wydobyl złożony arkusz papieru, wyprostował go i podał Jane. Arkusz miał postrzępiony brzeg,

śnieżnobiałą barwę i szeleścił nowością. Jane wolno przyłożyła jeden postrzępiony brzeg do drugiego.

Pasowały idealnie. Również charakter pisma na białej kartce był identyczny z tym na pożółkłych.

- Boże... - szepnęła. Ręce zaczęły jej drżeć. - Boże, a więc to prawda.

- Wiem, jaki to dla ciebie szok - powiedział łagodnie Zach. - Jane, błagam cię, pozwól mi zostać, dopóki nie odkryję, gdzie popełniłem błąd. Ja muszę wrócić...

Napotkała jego wzrok.

- Żeby ratować syna.

- Tak. Muszę zapobiec jego śmierci. Jeżeli zdołam cofnąć się do czasu, kiedy Ben był zdrowy, wywożę go z miasta. Uciekniemy przed wirusem. Benjamin nie zachoruje i nie umrze. Ale wrócić mogę tylko stąd. Z tego pokoju.

- Dlaczego? - spytała i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że wierzy temu człowiekowi. Wierzy w jego fantastyczne teorie.

- Już ci mówiłem. Jest tu jakieś pole, jakaś siła, fałda czasu, sam nie wiem, jak to nazwać. Mój przenośnik otwiera wrota, po minięciu których przenoszę się w czasie. Próbowałem otwierać je w innych pomieszczeniach, próbowałem też na zewnątrz, ale bez powodzenia. Ta fałda czasu istnieje tylko tu, w tym pokoju. - Na moment zamilkł. - Niestety, nie wszystko do końca rozumiem i nie nad wszystkim panuję. Istnieje możliwość, że zdołam się cofnąć wyłącznie do dnia, w którym opuściłem mój świat. A wtedy nie pozostanie mi nic innego, jak tylko patrzeć na śmierć Bena.

Wydawał się zaskoczony, kiedy podniósł głowę i w oczach Jane zobaczył łzy.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Cody umarł - powiedziała cicho. - To by mnie zabiło.

- Więc rozumiesz, jakie to dla mnie ważne?

- Oczywiście. Jestem matką. Jakże bym mogła nie rozumieć?

- A więc...

Zwilżyła wargi, wzięła głęboki oddech - i wtem w oczach syna zobaczyła taki sam wyraz błagania jak w oczach Zacha.

- Dobrze - zgodziła się. - Możesz zostać. Tak długo, jak będziesz potrzebował.

- Dziękuję. Ja... - Potrząsnął głową. - Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Podniosła się z podłogi.

- Mam nadzieję, że ci się uda - rzekła, oddając mu dziennik. - To znaczy, wrócić do czasu sprzed choroby syna.

Zamknął oczy; na samą myśl o porażce zrobiło mu się słabo.

- Musi się udać. Bo inaczej...

- Niekoniecznie - wtrącił nagle Cody. - Jak się nazywa ta choroba, na którą umiera twój syn?

- Kwinaria - odparł cicho Zach.

Cody wyszczerzył w uśmiechu zęby, a Jane poczuła, jak serce jej zamiera. Boże, zapomniała. A przecież seryf mówił. Jak mogło jej to wylecieć z głowy? Chwyciła Cody'ego za łokieć.

- Synku, nie...

Ale było za późno.

- W dzisiejszych czasach to można wyleczyć - ciągnął chłopiec. - Nie musisz się cofać do przeszłości, Zach, i wywozić Bena z miasta, żeby się nie zaraził. Wystarczy, że zdobędziemy lekarstwo. Podasz je i Ben wyzdrowieje.

Przez moment Zach patrzył na Cody'ego z niedowierzaniem, po czym zgarnął go w ramiona i z całej siły przytulił do piersi.

Jane bez słowa obserwowwała tę scenę. Wiedziała, że nie może dopuścić do tego, aby Zach zdobył potrzebny mu lek. Musi powstrzymać go przed uratowaniem chorego syna.

Bo jeśli on uratuje Bena, istnieje niebezpieczeństwo, że ona straci Cody'ego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wyszła, zostawiając ich samych. Nie mogła nic mówić przy Codym. Ma dwa, góra trzy dni. Trzy dni na znalezienie sposobu, aby Zachariah Bolton nie wrócił tam, skąd przybył, i nie wyrwał ze szponów śmierci swojego biednego syna.

Była przerażona sama sobą. Jak można być takim potworem? Ale Cody... Miała tylko jego! Był całym jej światem. Gdyby go straciła...

Ocierając łzy, przekonywała się w duchu, że chce postąpić słusznie. Śmierć Benjamina Boltona uratowała życie wielu osobom. Syn Zacha nie umarł na marne. Widocznie tak mu było pisane. I tak musi zostać. Nie można zmieniać biegu wydarzeń.

Zdenerwowana, przygryzła wargi. A może istnieje jakieś inne wyjście?

Od myślenia rozboleła ją głowa. Skala problemu, konsekwencje, jakie mogą wyniknąć - na razie to wszystko ją przerastało. Postanowiła skupić się na śniadaniu: wyjęła z piekarnika babeczki, nakryła do stołu. Później się zastanowi, co dalej. Ma na to trzy dni.

Po kilku minutach w kuchni zrobiło się tłoczno. Jane z zadowoleniem zobaczyła, że syn umył się i ubrał. Oprócz babeczek z jagodami podała na śniadanie jaje-

cznicę. Potem sięgnęła po witaminy. Jak zwykle położyła jedną przed Codym, a po chwili wahania uznała, że Zachowi też się przyda. Popatrzył zdziwiony na małą tabletkę, którą trzymała w dłoni.

- Weź. To multiwitamina. Dobrze ci zrobi.

Wzruszył ramionami, po czym popił tabletkę sokiem pomarańczowym.

Podczas śniadania rozglądał się z zaciekawieniem po kuchni; fascynowały go różne sprzęty, lodówka, kuchenka mikrofalowa, lampy, kontakty w ścianie. Setki pytań cisnęły mu się na usta, ale na razie o nic nie pytał. Od czasu do czasu zerkał na Jane. Ona zaś, widząc jego sondujący wzrok, próbowała ukryć swój lęk i niepokój. Krzątała się po kuchni - a to wyjęła masło, a to sięgnęła po dzbanek i dołała kawy, mimo że kubki były jeszcze do połowy pełne, a to przeniosła z szafki na stół karton z sokiem, chociaż nikt nie prosił o dolewkę.

Wreszcie, gdy już nie miała czym się zająć, usiadła i zaczęła jeść.

- Jane... - Zach przyjrzał się jej uważnie. - Co się stało? Czyżbyś zmieniła zdanie? Żałujesz swojej decyzji?

Akurat w tym momencie na podjazd przed domem wjechał samochód i zatrzymał się przed sklepikiem z antykami. Jane odetchnęła z ulgą - nie musi odpowiadać na pytania Zacha. Może odłożyć rozmowę na później. Zresztą nie była pewna, jak go poinformować o swoich obawach i przekonać, by zrezygnował z pomysłu ratowania syna. Oczywiście, nie może tego zrobić w obecności Cody'ego. Muszą być sami... Boże!

- Przepraszam, ale...

Nie dokończyła, bo Zach odepchnął krzesło od stołu i rzucił się do drzwi z moskitierą; z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy wpatrywał się w pojazd.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- To samochód - wyjaśniła. - Automobil.

Rozległ się dźwięk klaksonu.

- Ojej, jakiś niecierpliwy klient. Później porozmawiamy, a na razie...

- Idź, mamusiu. Zach i ja tu zostaniemy. - Nagłe Cody popatrzył na swojego nowego przyjaciela. - Hej, Zach, czy w twoim świecie były już samochody?

Nie odrywając oczu od najnowszego modelu cadillaca, mężczyzna skinął głową.

- Ale nie takie, chłopcze. Nie takie.

Jane wyszła na zewnątrz i ruszyła pośpiesznie w stronę małego sklepu na końcu podjazdu. Kiedy zobaczyła, kto siedzi za kierownicą, zrozumiała, że do domu wróci najwcześniej za godzinę. Isabelle Curry, miejscowa bibliotekarka, była największą plotkarą w miasteczku. Na szczęście była również zapaloną kolekcjonerką staroci. Innymi słowy - dobra, choć męcząca klientka.

- Boże, daj mi siłę... - szepnęła Jane i przywołała uśmiech na wargi.

- Niesamowite - powiedział Zach. Gładząc lśniącą czerwoną karoserię, usiłował zajrzeć do środka. - Szyba jest przyciemniona.

- Żeby słońce nie raziło w oczy - wyjaśnił Cody. - Jak chcesz, możesz wsiąść. Pani Curry to miła osoba. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Chyba lepiej nie... - zaczął, ale umilkł, kiedy chłopiec otworzył drzwi.

Ciekawość zwyciężyła. Zach wsunął do środka głowę, przejechał dłonią po aksamitnej tapicerce. Raptem otworzyły się drzwi od drugiej strony i na siedzenie wsunął się Cody.

- Wsiadaj, Zach. Pokażę ci, jak to działa.

- Cody, nie wydaje mi się...

- Zobacz. Tu jest radio, a tu odtwarzacz płyt kompaktowych. Jedziesz i słuchasz muzyki.

Chłopiec przekręcił kluczyk, który tkwił w stacyjce, po czym wcisnął przycisk. Głośna muzyka, jeśli te dudniące odgłosy można było nazwać muzyką, wypełniła wnętrze auta.

Nie potrafiąc oprzeć się pokusie, Zach usiadł za kierownicą.

- Dzisiejsze samochody łatwo się prowadzi - oznajmił Cody. - Nawet ja to umiem.

- Ty?

- No pewnie. Tyle czasu obserwuję mamę, że...

- Twoja mama ma automobil?

- Też pytanie! A jakże byśmy inaczej poruszali się po okolicy? Stoi w garażu.

Zach popatrzył we wskazanym kierunku. Tam, gdzie kiedyś była stajnia, w której Ben trzymał swego kuca, teraz stał mały, niski budynek.

- To naprawdę proste - kontynuował Cody. - Najpierw do końca przekręca się kluczyk. O tak...

Po chwili silnik ożył. Słyszając cichy, miarowy szum, Zach uśmiechnął się od ucha do ucha. Różnica między

tym pojazdem a autami, które sam prowadził, była wprost niewyobrażalna.

- Potem przesuwają się ten drążek. - Rola nauczyciela wyraźnie cieszyła Cody'ego. - I wciska się prawy pedał. Prawy służy do jechania, lewy do hamowania.

- Nie trzeba zapalać korby? Ani zmieniać biegów?

- Nie. - W oczach chłopca pojawił się szelmowski błysk. - To co, chcesz spróbować?

Zach przygryzł wargi; walczył sam ze sobą. Auto jest cudzą własnością, więc nie powinien go tykać. Z drugiej strony... to jest takie kuszące! Ledwo mógł opanować podniecenie.

Raptem decyzja została podjęta za niego. Cody pociągnął za drążek i auto zaczęło jechać do tyłu, prosto w pawilon dla gości na końcu podjazdu. W ostatniej chwili Zach zdołał obrócić kierownicę tak, by ominąć budynek. Potem wcisnął mocno pedał - okazało się, że niewłaściwy. Zamiast stanąć, wóz przyspieszył.

- Do stu piorunów! - krzyknął Zach, trzymając ręce na kierownicy.

Auto jechało zygzakiem po trawniku.

- Ojej, dałem w tył zamiast w przód! - zawołał Cody i pochylił się, by czym prędzej naprawić błąd.

Rozległ się potworny zgrzyt. Wóz gwałtownie zahamował, po czym ruszył do przodu.

Z budynku wybiegła Jane, a za nią obwieszona biżuterią tęgawa kobieta. Obie machały rękami i coś krzyczały, ale ich słowa zagłuszał radosny śmiech Cody'ego i dudniąca muzyka. Samochód zjechał z trawnika na podjazd i pędził prosto na kobiety. Odskoczyły: jedna

w prawo, druga w lewo. Zach obejrzał się przez ramię. Zobaczył, jak tęga niewiasta podnosi się z ziemi. Twarz miała wykrzywioną wściekłością.

Zdjął nogę z jednego pedału i czym prędzej wcisnął drugi. Samochód zahamował tak ostro, że Zach chwycił chłopca, aby ten nie wyrznął głową w szybę. Nie wiedząc, co jeszcze może się zdarzyć, bał się cofnąć nogę z pedału. Chociaż na widok sadzących wielkimi krokami kobiet marzył tylko o jednym: by dać stąd dyla.

Jane pierwsza dobiegła na miejsce. Szarpnęła drzwi, pochyliła się nad Zachem i pchnęła dźwąg w inną pozycję. Następnie przekręciła kluczyk i wyciągnęła go ze stacyjki. Silnik zgasł.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz?! Odbiło ci czy co? - Kipiała furia. Dopiero gdy spojrzała na Cody'ego, jej twarz trochę złagodniała. - Cody, bączku, nic ci nie jest?

- Nic, mamusiu. Chciałem pokazać Zachowi, jak się prowadzi samochód. Dość kiepsko mu to szło, prawda?

Po chwili dołączyła do nich właścicielka auta, czerwona z wysiłku i zasapana.

- Kim jest ten człowiek i co robi w moim samochodzie? - spytała oburzona.

- Wszystko w porządku, pani Curry - rzekła uspokajająco Jane. - Nic się nie stało. Naprawdę nic.

Zobaczywszy, że Cody wysiada, Zach poszedł w jego ślady. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zażenowany.

- To moja wina, pani Curry - powiedział chłopiec, podchodząc do tęgiej kobiety. - Strasznie chciałem się

tym pojazdem a autami, które sam prowadził, była wprost niewyobrażalna.

- Potem przesuwają się ten drążek. - Rola nauczyciela wyraźnie cieszyła Cody'ego. - I wciska się prawy pedał. Prawy służy do jechania, lewy do hamowania.

- Nie trzeba zapalać korby? Ani zmieniać biegów?

- Nie. - W oczach chłopca pojawił się szelmowski błysk. - To co, chcesz spróbować?

Zach przygryzł wargi; walczył sam ze sobą. Auto jest cudzą własnością, więc nie powinien go tykać. Z drugiej strony... to jest takie kuszące! Ledwo mógł opanować podniecenie.

Raptem decyzja została podjęta za niego. Cody pociągnął za drążek i auto zaczęło jechać do tyłu, prosto w pawilon dla gości na końcu podjazdu. W ostatniej chwili Zach zdołał obrócić kierownicę tak, by ominąć budynek. Potem wcisnął mocno pedał - okazało się, że niewłaściwy. Zamiast stanąć, wóz przyśpieszył.

- Do stu piorunów! - krzyknął Zach, trzymając ręce na kierownicy.

Auto jechało zygzakiem po trawniku.

- Ojej, dałem w tył zamiast w przód! - zawołał Cody i pochylił się, by czym prędzej naprawić błąd.

Rozległ się potworny zgrzyt. Wóz gwałtownie zahamował, po czym ruszył do przodu.

Z budynku wybiegła Jane, a za nią obwieszona biżuterią tęgawa kobieta. Obie machały rękami i coś krzyczały, ale ich słowa zagłuszał radosny śmiech Cody'ego i dudniąca muzyka. Samochód zjechał z trawnika na podjazd i pędził prosto na kobiety. Odskoczyły: jedna

w prawo, druga w lewo. Zach obejrzał się przez ramię. Zobaczył, jak tęga niewiasta podnosi się z ziemi. Twarz miała wykrzywioną wściekłością.

Zdjął nogę z jednego pedału i czym prędzej wcisnął drugi. Samochód zahamował tak ostro, że Zach chwycił chłopca, aby ten nie wyrznął głową w szybę. Nie wiedząc, co jeszcze może się zdarzyć, bał się cofnąć nogę z pedału. Chociaż na widok sadzących wielkimi krokami kobiet marzył tylko o jednym: by dać stąd dyla.

Jane pierwsza dobiegła na miejsce. Szarpnęła drzwi, pochyliła się nad Zachem i pchnęła dźwąg w inną pozycję. Następnie przekręciła kluczyk i wyciągnęła go ze stacyjki. Silnik zgasł.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz?! Odbiło ci czy co? - Kipiała furia. Dopiero gdy spojrzała na Cody'ego, jej twarz trochę złagodniała. - Cody, bączku, nic ci nie jest?

- Nic, mamusiu. Chciałem pokazać Zachowi, jak się prowadzi samochód. Dość kiepsko mu to szło, prawda?

Po chwili dołączyła do nich właścicielka auta, czerwona z wysiłku i zasapana.

- Kim jest ten człowiek i co robi w moim samochodzie? - spytała oburzona.

- Wszystko w porządku, pani Curry - rzekła uspokajająco Jane. - Nic się nie stało. Naprawdę nic.

Zobaczywszy, że Cody wysiada, Zach poszedł w jego ślady. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zażenowany.

- To moja wina, pani Curry - powiedział chłopiec, podchodząc do tęgiej kobiety. - Strasznie chciałem się

przejechać pani autem. Myślałem, że sobie poradzę. Gdyby Zach nie wskoczył i go nie zatrzymał, nie wiem, jak by się to skończyło.

Jane wbiła w syna gniewny wzrok.

- Och, ty mały, paskudny...

- Oj, nie! - Pani Curry przytuliła chłopca do swojego wielkiego brzucha. Zaraz dzieciaka udusi, pomyślał Zach, obserwując tę scenę. - Biedak musiał najeść się tyle strachu! Jane, proszę cię, nie wymierzaj mu kary. Sama jestem sobie winna. Nie powinnam była zostawiać kluczyków w samochodzie.

Uwolniła Cody'ego, który posłał matce przymilny uśmiech, a chwilę później chwyciła w objęcia Zacha.

- Prawdziwy z pana bohater! - zawołała, ściskając go tak mocno, że ledwo oddychał. - Tak, tak, tylko bohater wskoczyłby do jadącego samochodu, żeby ratować dziecko! Co za refleks! Co za odwaga!

Usiłował podziękować za komplement, lecz nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie kobieta opuściła ramiona.

- Jane, kochanie, nie przedstawiś mi tego przystojnego supermana?

- Ależ oczywiście. Pani Isabelle Curry, pan Zachariah Bol... - Nagle Jane ugryzła się w język.

- Bolton - dokończył odruchowo Zach. Dopiero po chwili, widząc grymas na twarzy Jane, domyślił się, o co chodzi. - Zachariah Bolton III. Wnuk Boltona, który zbudował ten dom.

Isabelle Curry wytrzeszczyła oczy.

- No jasne! Wszędzie bym pana rozpoznała. Pan nawet nie wie, jaki jest podobny do swojego dziadka!

- Słyszałem, że podobieństwo jest znaczne - oznajmił Zach.

- Znaczne? Jest uderzające! Co pana sprowadza do Rockwell, panie Bolton?

Nerwowo dumął nad odpowiedzią.

- Pan Bolton poszukuje... swoich korzeni - wyjaśniła pośpiesznie Jane.

- Tak. Bardzo chciałem zobaczyć, jak dziś wygląda dom mojego dziadka.

- Ach tak? A gdzie się pan zatrzymał, panie Bolton? W hotelu?

- Nie - odparł. - Tutaj.

Jane posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Tutaj? - zdziwiła się Isabelle Curry. - U Jane? To... to miło. - Uśmiechnęła się serdecznie, ale gdy po chwili odwróciła się twarzą do Jane, uśmiech na jej wargach zgasł. - No, czas na mnie. Mam dziś mnóstwo pracy. - Wyciągnęła rękę. - Kluczyki, kochanie.

Jane podała jej kluczyki. Isabelle wsiadła do samochodu, włączyła silnik i skrzywiła się z niezadowoleniem, kiedy wewnątrz wypełniła głośna muzyka. Ściszywszy ją, ruszyła z piskiem opon.

Odgarniając rękami włosy, Jane spojrzała w niebo.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Przepraszam cię, Jane - powiedział Zach. - Tak bardzo mnie to auto zafascynowało, że całkiem zgłupiałem.

- Beze mnie absolutnie nie wolno ci się zbliżyć do jakiegokolwiek pojazdu. Zrozumiałeś?

Skinął głową, a w duchu pomyślał: ależ ona jest ładna, kiedy się złości.

- A ty - zwróciła się do syna - okłamałeś panią Curry. Ile razy mam ci powtarzać, że nie wolno kłamać?

- Ależ, mamusiu, nie mogłem powiedzieć jej prawdy. Że Zach nie umie prowadzić samochodu, bo przybył z przeszłości. Przecież by mi nie uwierzyła.

Jane popatrzyła bezradnie na Zacha, który wzruszył ramionami.

- Zresztą ty też ją okłamałaś - dodał Cody.

- Tak, ale... Bo ja... - Westchnęła ciężko. - Masz rację, Cody - przyznała. - Ja też skłamałam. Źle postąpiłam. Niestety, nie miałam wyjścia.

- Czyli nigdy przenigdy nie powinniśmy kłamać, chyba że nie mamy wyjścia, tak, mamusiu? - zapytał z niewinną miną Cody.

Zach wiedział, że chłopiec żartuje. Na szczęście Jane też to wiedziała. Kucnąwszy przed synem, zacisnęła ręce na jego drobnych ramionkach.

- Posłuchaj, bączku. Czasem z ważnego powodu człowiek musi uciec się do kłamstwa. Na przykład, żeby nie sprawić komuś przykrości. Albo wtedy, gdy wie, że w prawdę nikt nie uwierzy. Ale ja ci zawsze będę wierzyć. Rozumiesz? Zawsze. Więc mnie nigdy nie okłamuj, dobrze?

Cody uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, mamusiu.

- Umowa stoi?

- Pewnie. Mogę teraz pojeździć na rowerze?

Kiedy skinęła głową, odwrócił się i ile sił w nogach pognał do domu.

Zach nie mógł oderwać oczu od Jane.

- Co mi się tak przyglądasz?

- Twój syn jest wielkim szczęściarzem, mając taką matkę jak ty.

Rumieniec okrył jej szyję, potem przesunął się wyżej, barwiąc jej nos i policzki.

- Komplementy daleko cię nie zaprowadzą. Narozrabiałeś, Zach.

- E tam. Wkrótce pani Curry o tym wszystkim zapomni.

- Nie wątpię. Ale najpierw całe miasteczko się dowie, że jestem bezwstydnicą, która uwiodła sobowtóra Brada Pitta i pozwoliła mu u siebie zamieszkać, nie przejmując się tym, że ma w domu małe dziecko.

- Jakiego brata?

Rumieniec pogłębił się.

- Nie brata, tylko Brada. Ale nie to jest ważne. Ważne jest, że moja opinia zostanie mocno nadszarpięta.

- Dlaczego? - zdumiał się Zach. - Sądzisz, że pani Curry uważa, że my... no...

- Sypiamy ze sobą? Oczywiście, że tak.

- Ale dlaczego miałyby tak myśleć? Zupełnie tego nie pojmuję.

- Spójrz w lustro, Zach. Może wtedy zrozumiesz. Pani Curry nie jest ani głupia, ani ślepa, ani niewrażliwa na męskie wdzięki. Przypuszczalnie uważa, że ja też nie.

- Jane pokręciła głową. - Boże, oby tylko wiadomość nie trafiła do miejscowej gazetki! „Grzeszne życie starej panny! Poznajcie prawdę o Jane Fortune!" Brrr.

Zach z trudem powstrzymał się od śmiechu. Była szczerze zmartwiona skazą na swej reputacji. Przed chwi-

łą jednak porównała go do jakiegoś Brada Pitta. Czyli chyba się jej podobał?

- Jeśli chodzi o plotki, to niewiele się tu zmieniło, co?

- W Rockwell w ogóle niewiele się zmieniło od twoich czasów. A zwłaszcza mentalność ludzi. Gdzie indziej mogłabym mieć dziesięciu kochanków i nikogo by to nie obchodziło. Ale tu porządku pilnują dwaj strażnicy moralności: pani Isabelle Curry i pastor McDermott. Oboje zasiadają również w szkolnej radzie.

- Przykro mi, Jane. Nie chciałem narobić ci kłopotów. - Zamyślił się. - A może moglibyśmy powiedzieć, że wynajmuję u ciebie pokój. Albo...

- Nikt w to nie uwierzy, Zach.

- W takim razie postaram się jak najszybciej zdobyć ten wasz cudowny lek na kwiniarę, a potem zniknę z twojego życia. Wytrzymasz trzy dni z opinią grzesznicy?

Mruknęła coś pod nosem.

- Może lepiej, abym na te trzy dni zamieszkał w pawilonie dla gości?

- To już nie jest pawilon dla gości, Zach. To sklep.

Obejrzał się za siebie. Nad drzwiami widniał napis: „Dawne Czasy - Antyki i Starocie”.

- Oprowadzić cię? - spytała cicho.

Mimo że powinien rozpocząć poszukiwania magicznego leku, skinął głową. Wyraz radości i dumy na twarzy Jane uzmysłowił mu, jak wiele „Dawne Czasy” dla niej znaczą.

Weszli frontowymi drzwiami. Od razu za progiem sta-

nał jak wryty. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż kiedyś. Zburzono wewnętrzne ściany, tak by zamiast paru mniejszych pomieszczeń powstało jedno ogromne, pełne regałów i półek. Och, czego tu nie było! Pojemniki, puszki, talerze, miski, figurki, ozdóbki, pozytywki. Jedną część sali zajmowały książki, inną rzemiosło i dzieła sztuki. W rogu stało kilka mebli świeżo wypastowanych i wypolerowanych, między innymi dębowy fotel bujany. Dalej - maszyna do szycia, obok niej niski stolik na jednej nóżce. Do wszystkich rzeczy przyczepione były karteczki z cenami.

Naprzeciw drzwi znajdowała się lada ze staroświecką kasą, dużą i czarną, która pochodziła z końca dziewiętnastego wieku. Zach nawet nie umiał sobie wyobrazić, jak wygląda jej współczesny odpowiednik.

- Jestem pełen podziwu, Jane. Masz dom, samochód, prowadzisz własny interes, a do tego samotnie wychowujesz syna.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Dopiero kiedy zarobię tyle, żeby otworzyć kolejny sklepik, będę usatysfakcjonowana.

- To znaczy, że masz kłopoty finansowe?

Uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Nie, Zach. Pochodzę z jednej z najbogatszych rodzin w Stanach. Ojciec założył dla mnie fundusz powierniczy, wpłacał pieniądze na moje wysoko oprocentowane konta. Gdybym chciała, mogłabym kupić kawałek księżycy.

- Nie rozumiem. - Zmarszczył czoło. - Dlaczego więc...

- W Minneapolis mieszkałam we wspaniałej rezydencji. Wszystko robiła służba. Ubrań miałam tyle, że mogłam je wyrzucać po jednorazowym noszeniu. Luksusowe samochody, prywatne szkoły i góry pieniędzy... Z tym mi się kojarzy dom.

- Ale...

- Nienawidziłam tego bogactwa, luksusu, a najbardziej nienawidziłam rodzinnej firmy Fortune Cosmetics. Ludziom się wydaje, że rządzą firmą, ale to firma rządzi nimi. Ojciec, na przykład, zazdrości stryjowi Jake'owi. Nie potrafi z nim normalnie rozmawiać; każda ich rozmowa kończy się awanturą. A przecież to bracia! Matka z kolei... mamę interesują wyłącznie pieniądze i cały czas knuje, jak by ich więcej zdobyć. Nie chciałam na to patrzeć ani w tym uczestniczyć. I nie chciałam, żeby moje dziecko dorastało w takim świecie.

Na moment zamilkła. Rozmarzonym wzrokiem powiodła po zawałonych starociami półkach.

- Z całej rodziny chyba tylko ja żałuję, że nie urodziłam się sto lat temu. Zawsze ceniłam staromodne wartości. Babcia... ona jedna to rozumiała. Nawet lepiej, niż sądziłam, bo zostawiła mi w spadku ten dom. Kiedy się tylko o tym dowiedziałam, natychmiast wyjechałam z Minneapolis. Byłam spragniona ciszy, spokoju... - Zerknąwszy na Zacha, uśmiechnęła się melancholijnie.
- Zamiast tego spotkałam wynalazcę z końca ubiegłego wieku.

- Wiesz, to zabawne, że postrzegasz się jako osobę staroświecką. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Bo ja cię widzę całkiem inaczej. Jako kobietę silną, niezależną,

samodzielnie myślącą. Taką, o jakiej... - Chciał powiedzieć „zawsze marzyłem”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. - Taką, która kojarzy mi się nowocześnie.

Zadumał się. Odkąd Claudia złamała mu serce, nie żył bynajmniej w celibacie. Miewał romanse, ale denerwowała go potulność partnerek, ich chichot, ugrzecznienie, fałszywa skromność, hipokryzja, nieustające poszukiwania bogatego męża. W głębi duszy marzył o nowoczesnej kobiecie. Takiej, która miała własne zdanie i nie bała się go wyrazić. Która wiedziała, czego pragnie od życia. Marzył o kimś takim jak Jane Fortune.

Oczywiście nie po to, aby wiązać się z nią na stałe. Jedna nauczka mu wystarczyła. Ale...

- Może jestem nowoczesna z punktu widzenia człowieka żyjącego w dziewiętnastym wieku - oznajmiła Jane - ale współcześni uważają mnie za przeżytek z minionej epoki.

Zach wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił powietrze.

- Opowiedz mi o ojcu Cody'ego.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Nie chciałem być wścibski. Po prostu zastanawiałem się, jak to możliwe, że dziewczyna o tak staroświeckich...

- Przepraszam, muszę zająć się rachunkami - przerwała mu. - Wróć do domu i skończ śniadanie.

Uświadomił sobie, że trafił w czuły punkt. No dobrze. Odtąd będzie wiedział, jakiego tematu unikać. Swoją drogą strasznie był ciekaw, kto jest ojcem Cody'ego.

- W porządku - powiedział. - Do zobaczenia później.

- Obiad jadamy koło południa! - zawołała, kiedy miął drzwi.

Skinął głową i wyszedł na zewnątrz.

Tak wielu klientów nie miała w ciągu jednego poranka, odkąd otworzyła sklep. Parę osób nawet coś kupiło. Inni - Jane była o tym głęboko przekonana - przybyli licząc na to, że może zdołają ujrzeć mężczyznę, o którym niewątpliwie poinformowała ich Isabelle Curry. Mężczyznę, z którym żyła w grzechu. Psiakość! Pamiętała, jak wszyscy się jej przyglądali, kiedy zamieszkała w Rockwell. Zastanawiali się, czy jest panną z dzieckiem, wdową czy rozwódką. Jedni pytali wprost, gdzie jest jej mąż, inni zachowywali się bardziej powściągliwie.

Nie dziwiła się ich zainteresowaniu. Zamieszkała w miasteczku, w którym wszyscy się znali od lat, ciekawi więc byli, kim jest nowa, obca osoba.

Teraz pewnie uważali, że już wiedzą.

- Potrzebne mi liczydło.

- Może jest na strychu?

Zach obejrzał się przez ramię. Mówił sam do siebie; nawet nie zdawał sobie sprawy z obecności chłopca. Po śniadaniu wrócił na górę, do pokoju Cody'ego, i zabrał się do pracy. Na biurku leżały narzędzia, które wziął z sobą na drogę, przenośnik, z którego zdjął obudowę, by sprawdzić, czy przejście przez wrota czasu niczego nie uszkodziło, otwarty dziennik, który pokazał Jane, aby ją

przekonać o swej prawdomówności, oraz jakieś nowoczesne pióro, którym zapisał już trzy strony.

- Cody, przyjacielu! Jak miło cię widzieć.

- Serio?

- Tak. Mam drobne kłopoty z rozumieniem waszej współczesnej mowy. Powiedz mi, chłopcze, co to znaczy, kiedy kobieta mówi o mężczyźnie, że jest sobowtórem Brada Pitta?

Cody wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- To znaczy, że gościu jest przystojny.

Zach uniósł zdziwiony brwi.

- Przystojny?

- Bardzo, bardzo przystojny. Moja mama porównała cię do Brada Pitta?

- Nie, skądże. Po prostu... przeczytałem to w książce.

- Aha.

Zach poczuł, jak się rumieni. A więc Jane uważa, że jest przystojny? Bardzo, bardzo przystojny? Serce zabiło mu mocniej.

- Co mówiłeś o strychu? - spytał, żeby zmienić temat.

- Że tam jest mnóstwo fajnych rzeczy - odparł Cody.

- Wielki sejf, stare meble.

- Sejf? A, faktycznie. - Zach zamyślił się. Pewnie wszystko, co w nim trzymał, było dziś bezwartościowe. Nagle przyszło mu do głowy, że po raz drugi w życiu pożąda kobiety, która jest znacznie od niego bogatsza.

- Po co ci liczydło? - Pytanie Cody'ego wyrwało go z zadumy.

- Do obliczeń, Cody. Moja praca w dużej mierze po-

lega na rozwiązywaniu skomplikowanych zadań matematycznych. Łatwiej mi się liczy, kiedy... - Urwał, bo Cody odszedł na bok i otworzył jakąś szufladę.

- A nie możesz użyć tego?

Wyjął przyrząd podobny z wyglądu do przenośnika, tyle że mniejszy i bardziej płaski.

- A cóż to?

- Kalkulator. - Chłopiec stanął tak, aby Zach widział ekran, po czym zaczął naciskać numerowane przyciski. - Spójrz. Sto pięćdziesiąt trzy razy czterdzieści pięć dzielone przez pięćdziesiąt sześć przecinek dziewięć plus dwa równa się...

Po chwili zademonstrował wynik. 123,0017574. Zach sięgnął po kartkę i wykonał szybko te same obliczenia. Ku swojemu zdumieniu otrzymał identyczny wynik.

- Z kalkulatorem jest o wiele szybciej - rzekł Cody, kładąc go na biurku obok oprawnego w skórę notesu, po czym przysunął krzesło obrotowe i usiadł koło Zacha. - Przykro mi z powodu Benamina...

Zach przypomniał sobie, że w podobny sposób siedywali z Benem, każdy przy swoim biurku, każdy zajęty własną pracą. Specjalnie przeniósł narzędzia do pokoju syna, żeby mały nie czuł się osamotniony. Na myśl o Benie łzy podeszły mu do oczu.

- Chciałbym ci pomóc...

Przełykając łzy, Zach pogłaskał Cody'ego po czuprynie.

- Dobry z ciebie dzieciak, Cody. Ale obawiam się, że niewiele możesz zrobić.

- Mogę więcej, niż myślisz.

Krzeseło, na którym Cody siedział, miało kółka. Chłopiec odepchnął się nogą od podłogi i przejechał na drugi koniec pokoju, do stojącego pod przeciwległą ścianą biurka.

- Jeszcze nie widziałeś mojego komputera.
- Kolejny cud współczesnej techniki? - spytał Zach. Chłopiec skinął głową i włączył komputer.

- Dzięki modemowi możemy porozmawiać z naukowcami na całym świecie i ściągnąć wszystkie potrzebne informacje. Poza tym zamiast znów eksperymentować z przenośnikiem, możesz najpierw wnieść poprawki do komputera i zobaczyć, co on ci powie.

Zach z całej siły zacisnął rękę na krawędzi biurka.

- Ta... ta maszyna to wszystko potrafi?
- No pewnie. - Uśmiech rozjaśnił twarz Cody'ego.
- Powiedz mi, Cody. Czy wszystkie dzieci żyjące pod koniec dwudziestego wieku są takie inteligentne jak ty?
- Nie. Ja podobno mam jakiś wyjątkowy dar.

Zach przeszedł z krzesłem do drugiego biurka.

- Całe szczęście, bo już zaczynałem się czuć trochę upośledzony. Hm, chyba rzeczywiście te twoje urządzenia mogą mi zaoszczędzić kupę czasu. Nauczysz mnie, jak się nimi posługiwać?

Chłopiec ponownie skinął głową, po czym przystąpił do tłumaczenia, jak co działa. Był wyraźnie dumny, że może służyć przyjacielowi pomocą. Zach słuchał uważnie. Korciło go, aby rozłożyć ten cud współczesnej techniki na części i zobaczyć, co jest w środku, ale wiedział, że nie zaryzykuje. Jeszcze by coś zepsuł i co wtedy?

Żałował, że świat, z którego przybył, jest tak zacofany w porównaniu ze współczesnym. Że nie istnieją w nim komputery i kalkulatory. Miał nadzieję, że może dzięki tym maszynom uda mu się wyeliminować skutki uboczne podróży w czasie. A także znaleźć sposób na to, aby przyspieszyć proces ładowania przenośnika. Wtedy nie musiałby czekać trzech dni na dotarcie z powrotem do syna.

Jane znalazła ich w pokoju Cody'ego. Przez chwilę stała w drzwiach, obserwując, jak Zach w skupieniu uderza w klawiaturę, a Cody przygląda mu się z uwielbieniem w oczach.

- Codesterze, mój kochany. Umyj ręczki i zaproś Zacha na obiad.

Na dźwięk jej głosu obaj podskoczyli.

- Dobrze, mamusiu. Zapiszemy to w pamięci komputera - powiedział chłopiec, zwracając się do Zacha - i później dokończymy.

Wydawszy komendę „Zapisz”, wstał, minął Jane i pognął do łazienki. Zach również wstał.

- Poczekaj - poprosiła Jane. - Musimy porozmawiać.

Zdziwiony, usiadł z powrotem. Jane obejrzała się przez ramię, upewniając się, że Cody jest poza zasięgiem słuchu, po czym weszła do pokoju i zajęła miejsce, które przed chwilą zwołał jej syn.

- Cody nie jest... hm, typowym dzieckiem - zaczęła.

- Zdażyłem to zauważyć.

- Jego iloraz inteligencji znacznie przewyższa prze-

ciężny - kontynuowała. - Z tego, co czytałam o tobie, przypuszczalnie twój również jest wyższy od innych.

Zach wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

- Proszę cię, Zach. Postaraj się trzymać od Cody'ego na dystans.

Wyraźnie nie rozumiał, co jej przeszkadza, że chłopiec...

- Nie chcę, żeby cierpiał - wyjaśniła. - Prędzej czy później wrócisz do swojego świata, a widzę, że Cody zaczyna się do ciebie przywiązywać.

- Ale, Jane, potrzebuję jego pomocy. Dzięki tej maszynie mógłbym...

- Nie obchodzi mnie, co mógłbyś, Zach. Obchodzi mnie mój syn.

- A mnie mój - oznajmił cicho.

Poczuła wyrzuty sumienia. Jeszcze większe wyrzuty ogarnęły ją na myśl o tym, czego nie miała odwagi mu powiedzieć.

- Wiem. I naprawdę zdaję sobie sprawę, jak pomocny może ci być komputer. Ale... chodzi o to, że Cody nigdy nie miał ojca. A od pewnego czasu coraz częściej przebąkuje, że chciałby mieć.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. On...

- Rozumiem, Jane - przerwał jej, po czym westchnął głośno. - Benjamin i Cody mają więcej wspólnego, niż sądzisz. Mój Ben... nigdy nie zaznał matczynej miłości, a odkąd zachorował, o niczym innym nie mówi. Marzy o matce. Więc naprawdę rozumiem, co mi usiłujesz wytłumaczyć.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Przykro mi, Zach. Z powodu twojej żony.

Dojrzała w jego oczach złość, rozgoryczenie. Po chwili zniżył wzrok; wyraźnie chciał zmienić temat.

- To lekarstwo... To, które może wyleczyć mojego syna. Nie wiesz, gdzie mógłbym je zdobyć?

Wzięła głęboki oddech.

- O tym też chciałam z tobą pomówić.

- Chyba nie obejdziesz się bez pomocy lekarza, prawda, mamusiu? - Cody stał w drzwiach, wycierając ręce. - Zdaje się, że potrzebna jest recepta.

- To prawda - przyznała Jane. - Tryptonina jest silnie działającym antybiotykiem. Bez recepty w żadnej aptece tego nie sprzedadzą.

- To pójdziemy do lekarza. Wyjaśnimy sytuację.

- A on nas uzna za szajbusów - rzekła Jane. - Wariatów - dodała, widząc pytające spojrzenie Zacha.

- Znajdziemy inny sposób. - Zach nie zamierzał się poddać.

- Możemy sprawdzić w komputerze - podsunął Cody. - Poznać skład i...

Zach pokręcił głową.

- Nie. Nie mamy składników ani urządzeń do produkcji leku. Ważne są też proporcje składników względem siebie; gdybyśmy dali czegoś odrobinę za dużo lub za mało, lek mógłby w ogóle nie podziałać. To zbyt ryzykowne.

Cody przygryzł wargę.

- Mamusiu, pamiętasz, co mówiłaś dziś rano? Że czasem z ważnego powodu można skłamać?

Zmrużyła oczy.

- Synku, do czego zmierzasz?

- Czy to samo dotyczy kradzieży? Że czasem z ważnego powodu można coś ukraść?

- Cody! - zawołała oburzona. - Nie wolno kraść. Nigdy i pod żadnym pozorem!

Zach podszedł do chłopca i kucnął, tak aby oczy mieli na jednym poziomie.

- Powiedz, Cody. Wiesz, gdzie mógłbym znaleźć potrzebne mi lekarstwo?

- Tak. Doktor Mulligan trzyma u siebie w gabinecie różne medykamenty. Pamiętasz, mamusiu, kiedy miałem zapalenie gardła? Doktor otworzył tą szklaną szafkę przy ścianie i wyjął penicylinę. On ma tam mnóstwo antybiotyków.

Zach popatrzył na Jane, ona na Cody'ego.

- Nie - oznajmiła stanowczo.

Obaj nie spuszczała z niej wzroku.

- Nie - powtórzyła. - Absolutnie wykluczone. Wystarczy, że wszyscy w miasteczku uważają mnie za... - Przygryzła wargi. - Nie chcę, żeby wytykali mnie również jako złodziejkę i narkomankę.

- Moglibyśmy zostawić doktorowi na biurku pieniądze - powiedział Cody. - Wtedy to już nie byłaby kradzież.

- Cody! Nie życzę sobie słyszeć ani słowa więcej na ten temat! Zrozumiałeś? Ani słowa! Fortune'owie nie kradną. Nigdy i nigdzie. Czy to jasne?

Chłopiec zwiesił głowę.

- Tak - mruknął.

- To dobrze. A teraz zapraszam na dół. Obiad czeka.

Wyszła z pokoju, oni za nią. Po chwili usłyszała za plecami głos Zacha:

.- A gdybym wybrał się z wizytą i udawał chorego...

- To mądry facet - przerwał mu Cody. - Od razu by się skapował, że symulujesz.

- Nie szkodzi spróbować. Gdzie przyjmuje pacjentów?

Jane posłała Zachowi ostrzegawcze spojrzenie, ale było już za późno. Cody szczegółowo tłumaczył swojemu nowemu przyjacielowi, jak najprościej dojść do gabinetu doktora Mulligana. Wiedziała, że nie może dłużej zwlekać. Musi odbyć z Zachem poważną rozmowę, wyjaśnić mu, dlaczego powinien zaniechać próby ratowania swojego syna. Postanowiła, że zrobi to wieczorem, gdy Cody pójdzie spać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Posłała mu łóżko w pokoju gościnnym. Na razie Zach z niego nie skorzystał, chociaż bardzo potrzebował odpoczynku. Bolały go wszystkie mięśnie, kręciło mu się w głowie, był rozgrzany, jakby miał gorączkę. Czasem nieprzyjemne objawy mijały i czuł się zupełnie dobrze, potem znów wracały. Pocieszał się, że może obliczenia, które wykonywał, czekając, aż przenośnik się naładuje, pozwolą mu uniknąć takiego osłabienia podczas podróży do domu.

To niesamowite, pomyślał, że od tego małego czarnego przedmiotu zależy życie Benjamina. Hm, a może przenośnik jest już dostatecznie naładowany? Może już teraz zdołałby otworzyć nim wrota czasu? Nie, lepiej nie. Jeszcze by się cofnął dalej w przeszłość niż planował. Albo bliżej, nie sto lat, a na przykład dziewięćdziesiąt. Ryzyko było za duże. Zresztą, najpierw musi zdobyć lek. Bezpieczniej poczekać dwa dni dłużej. Maksymalnie naładowany przenośnik pozwoli mu wrócić do tego samego dnia, w którym opuścił swój świat. Wrócić i uratować Bena.

Na szczęście skutki uboczne podróży w czasie objęły ciało, a nie umysł. Zach okazał się pojętnym uczniem. Zrozumiawszy zasady działania komputera, przez wiele godzin przynosił do niego swoje dane i obliczenia.

Po jakimś czasie Cody położył się spać. Zach miał wyrzuty sumienia, że pali mu nad głową światło i stuka w klawiaturę. Postanowił zrobić sobie małą przerwę; niech oczy odpoczną od wpatrywania się w jasny ekran.

Podszedł do łóżka, pochylił się nad nim i wziął śpiącego chłopca na ręce. Natychmiast przypomniał mu się Ben, tak osłabiony chorobą, że bez pomocy niemal nie potrafił wstać. Cody ważył znacznie więcej - nie tylko dlatego, że był kilka lat starszy od Bena, ale również dlatego, że był zdrowy.

Spoglądając na piegowatą buzię i rude loki, Zach poczuł klucie w sercu. Delikatnie pocałował śpiocha w czoło. Ciekaw był, czy ojciec Cody'ego nie żyje, czy po prostu zniknął z jego życia, tak jak Claudia zniknęła z życia Bena. Tylko głupiec mógłby porzucić takiego syna jak Cody, i taką kobietę jak Jane. Każdy normalny mężczyzna walczyłby o nich jak lew.

Z Codym na rękach przeszedł do sąsiedniego pokoju, w którym Jane przygotowała dla niego pośłanie. Ostrożnie, aby go nie zbudzić, położył chłopca na pośłaniu. Tu mu się lepiej będzie spało, w ciemności i ciszy. Podciągał kołdrę, kiedy nagle Cody otworzył oczy.

- Zach? - mruknął sennym głosem. - Chciałbym mieć takiego tatę jak ty.

- A ja wiele bym dał za takiego syna - odparł Zach, czując pieczenie w oczach.

Cody uśmiechnął się i po chwili z powrotem zasnął, a Zach stał bez ruchu nad łóżkiem, zaskoczony tym, co powiedział. Wiele by dał za takiego syna. Czy za matkę takiego syna również? Wtem wpadł mu do głowy szalony

pomysł. Pojutrze, kiedy otworzy wrota czasu, mógłby zabrać z sobą dwójkę pasażerów - Jane i Cody'ego. Ben otrzymałby nie tylko lekarstwo, ale także matkę, o której marzył. I na dodatek starszego brata. Zach rozmarzył się. Miałby dwóch synów oraz Jane, kobietę na wskroś nowoczesną, a zarazem staroświecką; żyliby długo i szczęśliwie...

Boże, chyba zwariował! Ani nie potrzebował kobiety w swoim życiu, ani nie wierzył, że Jane zgodzi się mu towarzyszyć. Miałaby zostawić różne współczesne udogodnienia, mikrofalówkę, samochód? Pozbawić Cody'ego komputera i Gameboya? Przecież większość rzeczy, wśród których chłopiec się obracał, była nieznana sto lat temu. Nie, uznał Zach; pomysł jest całkiem niedorzeczny; nawet nie warto się nad nim zastanawiać. Miał własnego syna i ciekawą pracę. Starczy.

Wrócił do komputera i ponownie zasiadł do pracy. Robił obliczenia, cały czas nasłuchując kroków Jane. Obok na biurku leżała kartka z nazwą leku, którą Cody mu podał. Tryptonina. Teraz czekał tylko, aż Jane położy się do łóżka. Nie mógł wymknąć się z domu, póki ona jest na nogach. Spojrzawszy na zegarek, zobaczył, że minęła jedenasta. Czy zawsze tak późno chodziła spać?

Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Jane z kubkiem aromatycznej kawy w ręce.

- Zauważyłam światło - powiedziała. - I pomyślałam sobie, że może zgłodniałeś.

W drugiej ręce trzymała talerzyk z kruchymi ciastkami. Na ich widok zaburczało mu w brzuchu.

- Dzięki.

- Zamierzasz pracować całą noc?

- Muszę. Zanim przenośnik się naładuje, chciałbym odkryć przyczynę mojego osłabienia i zawrotów głowy. Gdyby udało się zlikwidować skutki uboczne...

- Zach, nie pomożesz Benowi, jeśli padniesz z wyczerpania.

Podawała mu kawę. Wziął kubek, niechętnie ocierając dłonią o jej palce. Marszcząc czoło, przytknęła rękę do jego czoła, potem do policzka.

Podobało mu się, kiedy stała tak blisko. Podobało się, kiedy go dotykała.

- Masz gorączkę!

- Przesadzasz. Najwyżej lekki stan podgorączkowy.

Uniosła brwi. Mógłby bez końca wpatrywać się w jej piękne oczy.

- Mam nadzieję, że sam nie nabawiłeś się kwinarii.

- Nie. Chorowałem na to jako dziecko, więc nabyłem odporność. A stan podgorączkowy to... pewnie kolejny skutek uboczny wędrówki w czasie.

Postawiwszy talerzyk z ciastkami na biurku, wyszła z pokoju. Wróciła po chwili z dwiema białymi tabletkami.

- Połknij to - powiedziała. - Zbiją gorączkę.

Popił tabletki kawą, po czym sięgnął po ciastko.

- Zach, myślałeś o tym, co będzie, kiedy otworzysz te swoje wrota? To znaczy, jeśli nie znajdziesz sposobu na likwidację skutków ubocznych?

Odwrócił wzrok.

- Myślałem. Martwi mnie to, że wciąż nie wiem, co je powoduje.

- W dodatku chyba wcale nie ustępują. Mam wrażenie, że wyglądasz gorzej niż wczoraj.

- Nie, trochę się zmniejszają. Niewiele, ale trochę. Pytałaś, co będzie... Może organizm się przyzwyczai i za drugim razem objawy nie będą już tak silne?

- Albo za każdym razem będą coraz silniejsze. Wrócisz do swojego świata i nie zdołasz wykonać kroku.

- To nie ma znaczenia, Jane. Bylebym dostarczył Benowi lek, nic innego się nie liczy, żadne zawroty głowy, nic.

- Wiem. - Zamknęła na moment oczy i zacisnęła usta, jakby chciała powstrzymać następne słowa. Potem jednak wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - Ale jest coś, o czym nie pomyślałeś. Twój powrót będzie miał bardzo poważne konsekwencje. Wydaje mi się, że powinieneś je rozważyć, Zach.

Przyjrzał się jej badawczo.

- O co chodzi, Jane? Od samego rana coś ci nie daje spokoju. Nie rozumiem. Mój syn umiera. O czym jeszcze powinienem pomyśleć?

Wbiła spojrzenie w blat biurka. Zach delikatnie ujął ją za brodę i przez moment wpatrywał się w jej piękne oczy.

- Nie chcesz, żebym wracał, prawda, Jane? Dlaczego?

Milczała.

- Chyba wiem - szepnął i powoli zbliżył wargi do jej ust.

Zadrżała. On zaś poczuł, jak zalewa go silna fala pożądania. Objął Jane w pasie i przytulił do siebie. Wes-

tchnęła błogo. Oparła ręce o jego ramiona, i nagle zaczęła go odpychać. Zaskoczony, przerwał pocałunek.

- Pragnę cię, Jane. Pragnę aż do bólu. - Wciąż trzymał ją w objęciach.

- Ja...

Oddech miała przyspieszony, wzrok rozmarzony. Nagle zeszywniała, a on dojrzał w jej oczach strach.

- Nie - oznajmiła cicho. - Drugi raz mnie to nie spotka. Nie spotka!

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Zach rzucił się do drzwi. Patrzył, jak Jane oddala się korytarzem i znikną w swojej sypialni. Następnie usłyszał skrzypienie łóżka. Zamknął oczy, nakazując swej wyobraźni, by się opamiętała, a sercu, by znów zaczęło normalnie bić.

Pomyślał sobie, że musi być piekielnie zmęczony, nie tylko fizycznie, ale również psychicznie, aby snuć takie fantazje jak przed chwilą. Powinien bezzwłocznie położyć się spać. Ale nie mógł. Dzisiejszej nocy miał ważną misję do spełnienia i nie zamierzał pozwolić, aby ktokolwiek mu w tym przeszkodził, nawet Jane.

Nie był mężczyzną, o jakim marzyła. Ani nie chciała, żeby Cody miał takiego ojca, ani sama nie chciała mieć takiego partnera. Facet był podrywaczem; autor jednej z książek, które wypożyczyła z miejscowej biblioteki, nazwał go Don Juanem dziewiętnastego wieku. Nawet jeśli ilością podbojów nie dorównywał swojemu legendarnemu poprzednikowi, nie miało to większego znaczenia. Dla Jane liczyło się to, że wkrótce zniknie z jej życia. Że ją porzuci, tak jak Greg. Dlatego nie za-

mierzała słuchać głosu serca. Wiedziała, jak długo goja się rany.

Mimo to przez kilka godzin wierciła się, nie mogąc zasnąć. Gdyby tylko istniał jakiś sposób...

Boże, nawet mu nie powiedziała, dlaczego powinien zrezygnować z pomysłu ratowania syna. Zresztą, gdyby się z nią zgodził, to i tak by wrócił do swojego świata. Chciałby być z Benem do samego końca. Łzy napłynęły jej do oczu. Bała się, że Zach ją znienawidzi. Za to, co mu powie: że musi pozwolić swojemu dziecku umrzeć; że jego śmierć zbawi tysiące innych dzieci.

Sen nie nadchodził. Po paru godzinach ciskania się po łóżku uznała, że ma sensu się dłużej męczyć. Zejdzie na dół, napije się herbaty, zastanowi nad doborem słów, którymi zada Zachowi druzgocący cios.

Cicho, na palcach, ruszyła w stronę schodów. Mijając pokój, w którym Zach pracował przy komputerze, zatrzymała się. Szparą pod drzwiami nie docierało światło. A więc Zach śpi. Korciło ją, żeby zajrzeć do środka, popatrzeć na jego nos, oczy, usta, nacieszyć się ich widokiem.

Jak to możliwe, aby w tak krótkim czasie obcy mężczyzna wywarł na niej tak wielkie wrażenie?

Zacisnęła rękę na klamce i pchnęła drzwi. Ku swojemu zdumieniu ujrzała puste łóżko. Zapaliła światło; Zach nigdzie nie było. Nagle zrozumiała, że w łazience, kuchni czy salonie też go nie znajdzie. Natychmiast domyśliła się, dokąd poszedł - do gabinetu doktora Muligana. A przecież wyraźnie się temu sprzeciwiła!

Zamknęła oczy i potarła czoło. Cholera jasna! Chyba całkiem zwariował! Wędrować pieszo siedem czy osiem

kilometrów po to, by włamać się do cudzego gabinetu i dokonać kradzieży! Czyżby zapomniał, w jakim jest stanie? Może potknąć się, upaść na środku drogi, stracić przytomność. Co wtedy? Albo, nie daj Boże, znów coś mu się w głowie popłaczę, zacznie bredzić o kredensie ciotki Hattie i roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym! Jak nic trafi do czubków.

Chociaż wiedziała, że go tam nie znajdzie, na wszelki wypadek przeszukała parter. Potem zaczęła przemierzać salon, nerwowo zastanawiając się, co robić. Powinna za nim ruszyć. Może padł gdzieś z wyczerpania, może leży ranny przy drodze albo krąży półprzytomny po okolicy. Albo już siedzi za kratkami. Ale, na miłość boską, co ma mu powiedzieć, gdy go odnajdzie? Że czuła się biedna, samotna i nie mogła zasnąć? Że w środku nocy wstała z łóżka, skierowała się korytarzem w stronę schodów, ale stanęła przy pokoju, w którym pracował, i uchyliła drzwi, bo chciała popatrzeć na jego śpiącą postać?

Nagle przyszło jej do głowy, że nie może wyjść bez słowa, zostawiając syna samego w domu. Wprawdzie mogłaby obudzić Cody'ego i wyjaśnić mu, dokąd idzie... chociaż nie, nie mogłaby. Mały urwis koniecznie chciałby się przyłączyć do Zacha i razem z nim zakraść do...

I wtem tknęło ją dziwne przecucie. Marszcząc czoło, zmrużyła oczy i popatrzyła w sufit.

Potem rzuciła się pędem do pokoju, który przygotowała dla Zacha, lecz w którym spał Cody, i z bijącym sercem pchnęła drzwi.

Łóżko było puste.

- Zach, uważaj!

Zach odruchowo kucnął, chowając się za krzakiem, po czym zmrużył oczy, usiłując dojrzeć w ciemności drobną postać, która nie wiadomo skąd się obok niego wzięła. Po chwili jasny promień światła omiótł przydrożne krzaki - szosą przejechał samochód.

Kiedy znów zapadła ciemność, Zach chwycił Cody'ego za łokieć i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Dobry Boże, a co ty tu robisz?

- Szedłem za tobą. Pomyślałem sobie, że mogę ci się przydać. I co? Masz?

Zach przecesał ręką włosy.

- Jeśli twoja mama się dowie...

- Powiedz, masz lek? - dopytywał niecierpliwie chłopiec.

- Tak.

- Jak go zdobyłeś? - Potrząsnął Zacha za ramię. - Powiedz, jak się dostałeś do środka?

- Stłukłem szybę, wsunąłem rękę, otworzyłem drzwi. Szafka stała tam, gdzie...

- Powinieneś być na mnie zaczekać! - zawołał Cody. - Kurcze blade, Zach! Doktor Mulligan ma zamontowany alarm. Trzeba wcisnąć specjalny kod. Jeśli się tego nie zrobi... O rany, to chyba szeryf!

- Uciekajmy.

Trzymając chłopca za rękę, Zach ruszył wokół budynku, potem przebiegł na drugą stronę szosy. Ustami wypuszczał kłęby białej pary. Wokół było ciemno jak w grobie.

- Nie uda nam się, Zach. Alarm pewnie włączył się

od razu, jak zbiłeś szybę. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą roweru...

- Chryste! - W oddali Zach ujrzał pojazd z migającym czerwonym światłem na dachu. - Czy to...

- Tak, szeryf O'Donnell! O kurcze, wpadliśmy! Mama nas zabije!

Cody przestępował nerwowo z nogi na nogę i nagle zastygł bez ruchu. Z przeciwnej strony niż szeryf nadjeżdżał inny wóz.

- Spójrz, Zach! To chyba... Tak, na pewno! To mama! Chodźmy!

Rzucił się pędem w kierunku zbliżającego się samochodu. Było ciemno, biegli poboczem. Szeryf chyba ich jeszcze nie widział.

- Będzie na nas wścicka - powiedział Cody, sapiąc z wysiłku - ale przynajmniej unikniemy więzienia!

Myślała, że śni. Po prostu nie wierzyła własnym oczom. Jej syn. Jej dziesięcioletni mały geniusz uciekający w środku nocy przed policją, zupełnie jakby był ściągany przestępcą. Nacisnęła pedał gazu. Po przejechaniu trzydziestu czy czterdziestu metrów dzielących ją od dwóch postaci ostro zahamowała.

Cody szarpnął drzwi i obydwaj wskoczyli na tylne siedzenie. Chwilę później szeryf O'Donnell zjechał na pobocze po drugiej stronie szosy.

- Uśmiechajcie się niewinnie - rozkazała swoim pasażerom.

Quigly O'Donnell wysiadł z radiowozu, zatrzasnął drzwi i z poważną miną ruszył do Jane.

- Dobry wieczór, szeryfie - powiedziała, siłąc się na lekki, przyjazny ton.

- No proszę, Jane Fortune! A cóż to? Lubimy, że tak powiem, nocne przejażdżki? - Opierając ręce o dach samochodu, pochylił się i zajął do środka.

- Nie mogłam zasnąć.

- Aha. Oni też nie? - Skinął na jej dwóch pasażerów.

- Żadne z nas nie mogło, bo... widzi pan, uciekł mi kot i... wszyscy się o niego martwimy. Postanowiliśmy pojeździć i go poszukać - odparła Jane, dumna z własnego refleksu.

Quigly O'Donnell był znanym miłośnikiem zwierząt. Lepiej nie mogła trafić z odpowiedzią. Nagle dojrzała w lusterku ironiczne spojrzenie Cody'ego i uświadomiła sobie, że znów ją przyłapał na kłamstwie. No pięknie, ładny daje mu przykład.

- Hm. - Szeryf potarł brodę. - Nawet nie wiedziałem, że ma pani kota. I co? Jak poszukiwania?

- Na razie bez powodzenia.

- Niech się pani nie martwi, panno Jane. Kotek na pewno się znajdzie. Sam będę miał na niego oko. Proszę mi tylko opisać, jak wygląda.

- Jest... - zawahała się.

- Czarny - podsunął Cody.

Niestety, w tej samej chwili Jane powiedziała „biały”, a Zach - „rudy”.

Jane posłała swoim dwóm pasażerom piorunujące spojrzenie, po czym uśmiechnęła się słodko do szeryfa.

- Trój kolorowy. A raczej trój kolorowa, bo to kotka.

- Rozumiem. Miała obrózkę?

- Szeryfie, nie chciałabym pana zajmować moją zgubą. Widzę, że się pan spieszy. - Skinęła brodą na migające światełko na dachu.

- Nie, to nic pilnego. Znów włączył się alarm u doktora Mulligana. Po raz trzeci w tym miesiącu. Muszę, że tak powiem, podjechać i sprawdzić, ale podejrzewam, że ma w gabinecie jakąś mysz albo co. Zwierzę przebiega i alarm, że tak powiem, się włącza. A... dlaczego pani tu stanęła? Zauważyła pani coś podejrzanego?

- Nie, po prostu zobaczyłam pana migające światło. Myślałam, że trzeba stanąć, kiedy szeryf jedzie na sygnale.

- Ale nie wtedy, gdy jedzie w przeciwnym kierunku.

- Aha.

Szeryf wsunął głowę przez okno.

- A pan to pewnie Bolton, co? Słyszałem, że mieszka pan u panny Jane.

- Tak, wynajmuję pokój - odparł Zach, wyciągając rękę. - Miło mi pana poznać, szeryfie.

- Mnie pana również. Wynajmuje pan pokój, tak? - Widać było, że szeryf nie bardzo Zachowi wierzy. - No dobrze, muszę zajrzeć do doktora. - Przyłożył rękę do ronda kapelusza. - Będę się rozglądał za pani kotką, panno Jane.

- Dziękuję, szeryfie.

Przemierzała salon tam i z powrotem, wydeptując ścieżkę między fotelem, na którym Zach siedział, a kominkiem, w którym płonął ogień. Zach obserwował ją bez słowa; podobnie czuł się przed wieloma laty, kiedy

kierowniczką szkoły, do której chodził, pani Landon, przyłapała go na wnoszeniu do klasy białej myszki. Tyle że pani Landon nie mogła się równać urodą z Jane. Jane rozgniewana była jeszcze ładniejsza niż normalnie. Oczy miała błyszczące, policzki zaróżowione, usta lekko rozchylone.

Po przyjeździe do domu Cody bez słowa protestu udał się na górę. Mały spryciula, pomyślał Zach, wiedząc, że na nim skrupi się złość jego mamy. Pocieszał się, że przynajmniej ma okazję popatrzeć na Jane kipiącą furia. A był to widok, jakiego długo nie zapomni.

Wreszcie przerwała swą wędrówkę i zmierzyła go wściekłym wzrokiem. Uznał, że nie ma sensu chować głowy w piasek; musi stawić jej czoło.

- Jane, naprawdę nie wiedziałem, że Cody za mną idzie.

Wywróciła oczami.

- Wyszedłem cichutko. Sądziłem, że oboje śpicie. Przecież idąc kraść, nie zabierałbym z sobą dziecka.

Uniosła brwi.

- Musisz mi uwierzyć. Jane, ja też jestem rodzicem. Też mam syna.

Westchnęła głęboko.

- Wiem, Zach. I wierzę ci. Ale prosiłam, żebyś...

- Spróbuj się postawić w mojej sytuacji, Jane.

Zamknęła oczy, jakby nie chcąc puścić wodzy wyobraźni. A może przeciwnie, może właśnie próbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła, będąc na miejscu Zacha.

- Pomyśl. Cody umiera na kwiniarę. Parę kilometrów

dalej jest lekarstwo, które może go uratować. Wystarczy się po nie włączyć. Co robisz? - Wstał z krzesła, podszedł do niej i ujmując ją za brodę, zmusił, by popatrzyła mu w oczy. - Czy postanawiasz zignorować prośbę pewnej bardzo pięknej, mądrej osoby i włączyć się po lek?

- Dobrze wiesz, że tak - odparła, nie odwracając wzroku.

Skinął głową i uśmiechając się, cofnął dłoń.

- Liczyłem na szczerą odpowiedź. Dziękuję, Jane. - Sięgnął do kieszeni. - Zdobyłem lekarstwo. - Postawił na stole małą plastikową buteleczkę, nie ukrywając radości. - Mogę uratować Benjamina. Jeżeli tylko uda mi się do niego wrócić, mogę...

- Nie, Zach - szepnęła. - Nie możesz.

Uśmiech powoli zgasł na jego twarzy.

- Oczywiście, że mogę.

- Zach... - Sfrustrowana, potrząsnęła głową. - Jest coś, o czym ci nie mówiłam. Chciałam poczekać, aż się lepiej poczujesz. - Zamilkła na moment. - Nie, to nieprawda. Czekałam, bo nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Nie mogłam znaleźć właściwych słów. Bałam się, że zobaczę w twoich oczach nienawiść i... - Przygryzła wargi.

- Jane... - Ku swemu zdumieniu Zach ujrzał dwie łzy płynące po jej policzkach. Przerażony chwycił ją za ramiona. - Mój Boże, Jane! Co się stało? O co chodzi?

Pociągnęła nosem. Po chwili wzięła się w garść.

- Śmierć Benjamina przyczyniła się do tego, że wynaleziono lek na kwinarię. Kiedy zniknąłeś, twoi przyjaciele, Waterson i Bausch, połączyli siły. Zamiast ze so-

bą współzawodniczyć, zaczęli razem szukać lekarstwa. I znaleźli. Zrobili to dla ciebie, Zach, bo byli tak poruszeni twoją rozpaczą. Rozpacz innych rodziców nie była w stanie zdopingować ich do tak wyętej pracy. Ciebie uważali za jeden z największych umysłów końca dziewnastego wieku. Sądzieli, że po śmierci Bena zwariował. Nie wiedzieli, gdzie zniknął. Za wszystko winili wirus kwinarii.

Zach pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie zmyślam. - Podniosła ze stolika książkę. - Wszystko zostało tu opisane. Zrozum, Zach, jeżeli uratujesz syna, twoi przyjaciele nie wynajdą tryptoniny. Może nikt nigdy nie odkryje leku na kwinarię. Jeżeli zmienisz przeszłość, wyobraź sobie, jak to wpłynie na teraźniejszość. Ile setek ludzi umrze? Ile tysięcy się nie narodzi? Ile...

- Przestań!

Odwróciwszy się, przytknął ręce do uszu. Wiedział, że Jane ma rację: że życie lub śmierć małego chłopca może mieć wpływ na bieg historii. Wynalezienie leku na jedną chorobę zawsze posuwało naprzód inne badania medyczne; powstawały kolejne lekarstwa, kolejne szczepionki. Jeżeli wróci do Bena i zmieni bieg wydarzeń... Wiele chorób nadal będzie zbierać żniwa, wśród ofiar mogą być ludzie, którzy odegrają ważną rolę w późniejszych dziejach świata. Jaki byłby świat Jane, gdyby różni wybitni naukowcy nie urodzili się, bo ich przodkowie zmarli na coś, co powinno być uleczone?

Jane zacisnęła ręce na jego ramionach, po czym oparła głowę o jego plecy.

- Tak mi przykro, Zach.

- Nie mogę... - zaczął. Nie był w stanie mówić. Odchrząknął i zaczął od nowa: - Nie mogę zrezygnować, Jane. Nie mogę poświęcić życia dziecka. Musi być jakieś inne wyjście.

- Zrozum, Zach, najmniejsza zmiana czegoś w przeszłości może pociągnąć za sobą niewyobrażalne zmiany w teraźniejszości i w przyszłości. Wrzucasz kamyk, a kręgi na wodzie rozchodzą się coraz dalej.

Obrócił się do niej twarzą.

- Nie pozwolę Benowi umrzeć, kiedy mam lekarstwo.

- Wiem, że to...

- Nie mogę, Jane! Nie mogę.

- Jesteś naukowcem, Zach. Pomyśl o świecie, o ludzkości.

- W nosie mam ludzkość! - ryknął. - Chcę, aby mój syn żył! - Nogi się pod nim ugięły. Osunął się na podłogę. Zamknął oczy i zwiesił głowę, żeby ta dzielna, silna kobieta nie widziała jego łez. - Po prostu chcę, żeby mój syn żył - powtórzył szeptem.

Zanim się zorientował, co się dzieje, Jane uklękła obok niego, objęła go w pasie i przytuliła do siebie. Gładziła jego plecy, ramiona, delikatnie kołysała go jak matka pocieszająca nieszczęśliwe dziecko, i szeptała mu do ucha:

- Wiem, kochany, wiem.

Policzki miał mokre, ale nie wiedział, czy od swoich łez, czy od łez Jane.

- Nie mogę się poddać, Jane. Nie mogę poświęcić własnego syna. - Zacisnął wokół niej ramiona, jakby tylko ona mogła go zbawić.

- Może... może jednak jest jakieś wyjście. - Przywarłszy ustami do jego warg, poczuła na języku słony smak łez. Po chwili odsunęła się i popatrzyła Zachowi w oczy. - Odchodzę od zmysłów, próbując coś wymyślić. Słuchaj, jeśli jest wyjście, na pewno je znajdziemy. Ale jeżeli nie ma...

- Musi być! Musi!

Bolesny szloch wstrząsnął jej ciałem. Wtuliła twarz w szyję Zacha. Przez kilka minut tkwili tak na podłodze, objęci, szukający pocieszenia. Wreszcie Jane wzięła się w garść.

- Na razie odpocznij, Zach. Jesteś wyczerpany fizycznie i psychicznie. Połóż się, odpocznij.

Podniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Nie czuł do niej nienawiści za to, co mu powiedziała; nawet nie czuł gniewu. Czy można nienawidzić kogoś za mówienie prawdy? Po chwili Jane dźwignęła się na nogi, wyciągnęła rękę do Zacha i zmusiła go, by też wstał. Nie puszczając jego dłoni, zaczęła się cofać; on szedł za nią, bo nie wiedział, co innego ma robić. Zatrzymała się przy kanapie, po czym delikatnie pchnęła go, by usiadł. Czuł się skołowany, oszołomiony. Tysiące myśli krążyły mu po głowie, ale był zbyt załamany, aby skupić się choćby na jednej.

Jane kucnęła przed nim, zdjęła mu buty, ściągnęła skarpety.

- Połóż się, Zach. Śmiało.

Zrobił, co kazała. W głowie mu szumiało. A gdyby tak... Nie, nic by z tego nie wyszło. Jane zniknęła; wróciła po chwili, niosąc jakieś tabletki, które wepchnęła mu

do ust. Palce miała chłodne w dotyku i słone w smaku. Potem podała mu wodę; popił tabletki, wciąż nerwowo poszukując rozwiązania. Jane na każdą dolegliwość ma jakąś tabletkę. Ale koszmaru, jaki teraz przeżywał, nie da się wyleczyć chemią.

Usiadła na końcu kanapy i delikatnie przyciągnęła go do siebie, tak by leżał z głową na jej kolanach. Przez moment, chcąc zapomnieć o bólu, usiłował myśleć o gładkich udach Jane. O tym, jak je pieści, całuje. Przyłożyła mu palce do skroni i zaczęła je lekko masować. Miał wrażenie, że wpatruje się w twarz anioła, potem ta twarz zbladła i wreszcie znikła, a on pogrążył się we śnie.

Cody siedział u szczytu schodów; starał się być dzielny i nie płakać tak jak dorośli na dole. Całe życie marzył o młodszym braciszku, o kimś, kim mógłby się opiekować, z kim mógłby się bawić i kogo mógłby uczyć różnych rzeczy. Odkąd Zach pojawił się w ich domu, czuł się tak, jakby faktycznie miał brata. Małego Bena, który był kilka lat od niego młodszy i bardzo potrzebował pomocy. Owszem, Ben był daleko, w innym świecie, ale mimo to Cody odczuwał z nim więź. Tak się cieszył, że Ben dostanie lekarstwo i wyzdrowieje! A tu nagle dorośli musieli wyskoczyć ze swoją głupią „ludzkością” i stwierdzeniem, że danie Benowi leku zmieni bieg historii!

Na miłość boską, przecież dzieciak umiera! Będzie dość czasu później, aby myśleć o ratowaniu ludzkości. Teraz natomiast... teraz najbardziej potrzebuje pomocy mały chłopiec. I on, Cody, jest jedyną osobą, która może mu pomóc.

Nie zamierzał siedzieć beczynn timer i czekać na to, co dorośli postanowią. Oni niczego nie rozumieją. Sądzą, że są tacy mądrzy, ale zupełnie niczego nie rozumieją.

Cichutko jak myszka zszedł na dół. Zakradł się do stołu, na którym stała mała plastikowa buteleczka, i nie spuszczać oczu z matki, wyciągnął rękę po lekarstwo. Wiedział, że Zach się nie obudzi - spał jak zabity, pochrapując głośno. Ale mamy nie był pewien - zazwyczaj miała lekki sen. Na szczęście nie obudziła się. Chwyciwszy buteleczkę, doszedł na palcach do schodów, po czym ile sił w nogach pobiegł do swojego pokoju. Odechnął z ulgą dopiero wtedy, gdy zamknął za sobą drzwi.

Uf. Najgorsze ma za sobą. Reszta, uznał, to łatwizna. Podszedł do stołu, przy którym Zach wcześniej pracował, i chwycił przenośnik. Małe czarne urządzenie wyglądało prosto. Dwa przyciski, dwa pokręta i już.

Delikatnie obrócił jedno z nich.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jane otworzyła oczy. Coś ją wyrwało ze snu - może to, że koszula nocna podjechała jej niemal do bioder, a Zachariah Bolton leżał wtulony twarzą w jej nagie uda. Pochrapował cicho, jego gorący oddech łaskotał ją w skórę. Pod wpływem tego gorącego oddechu jej ciało powoli budziło się z długiego zimowego snu i domagało więcej pieśczoć. Jane obróciła się, usiłując zmienić pozycję, ale to jedynie pogorszyło sytuację. Nagle Zach się poruszył. Podejrzewała, że nie śpi. Długo jednak trwało, zanim podniósł głowę i usiadł. Kiedy napotkała jego wzrok, poczuła bolesny ucisk w sercu. Spodziewała się grymasu, ironicznego komentarza, Zach jednak siedział bez słowa. Wschodzące słońce rzucało na jego twarz pomarańczowy blask.

- Jeszcze nigdy w życiu się tak nie bałem - oznajmił wreszcie.

- Ja też - rzekła, odgarniając mu z czoła kosmyk ciemnych włosów.

- Ty? - zdziwił się. - Czego ty się możesz bać?

Przełknęła ślinę; postanowiła wyznać mu całą prawdę.

- Nie powiedziałam ci wczoraj wszystkiego, Zach. Zamknął oczy.

- To i dziś mi nie mów. Boże, Jane, chyba więcej nie zniosę.

- Musisz, Zach.

Pogładził ją po twarzy.

- Dobrze, ale najpierw kawa - poprosił. - Jeśli muszę słuchać jakichś okropnych rzeczy, przynajmniej niech będę przytomny. Bo na razie wciąż jestem lekko oszłamiony tym, co mi się śniło.

Powiódł spojrzeniem w dół, ku jej nagim udom. Jane poderwała się z kanapy i pośpiesznie obciągnęła koszulę.

- Wiesz, nie mogę wyjść ze zdumienia, jak bardzo przez te sto lat zmieniła się damska bielizna. Bardzo mi się podobają te twoje majtasy. Chyba są z jedwabiu, prawda?

Na końcu języka miała ciętą ripostę, ale powstrzymała się, widząc ból w oczach Zacha. Wiedziała, że jeszcze przez chwilę próbuje myśleć o czymś innym; że stara się odwlec od siebie moment, kiedy będzie musiał zaakceptować gorzką prawdę, iż nie może uratować syna.

- Zaparzę kawę - powiedziała, kierując się do kuchni.

- Zachowuję się jak idiota - mruknął, niemal depcząc jej po piętach. - I źle na tym wychodzę. Nie należysz do kobiet, którym łatwo można zawrócić w głowie.

- Ani do tych, którym odpowiadają gorące, parodniowe romanse.

Zmrużył powieki.

- Mimo że doskwiera ci samotność?

Odwróciła spojrzenie.

- Nie bądź śmieszny! - fuknęła. - Przecież mam Co-dy'ego.

- A ja mam Benjamina, którego kocham ponad życie. Ale to nie znaczy, że nie czuję się samotny.

Wlepiła w niego oczy.

- Ty?

- Tak, ja. Te gorące, parodniowe romanse jedynie pozostawiają człowiekowi niesmak.

Skonfundowana, pokręciła głową, po czym sięgnęła po dzbanek i napełniła go wodą. Kiedy odwróciła się, Zach stał oparty o blat szafki, przyglądając się jej z namysłem.

- Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć o ojcu Cody'ego?

- A dlaczego cię to tak interesuje?

Wlała wodę do ekspresu, następnie wyjęła z szuflady nową paczkę filtrów.

- Bo w moich czasach rzadko się zdarzało, aby kobieta niezamężna miała dziecko, aby je samotnie wychowywała i cieszyła się szacunkiem sąsiadów. Ciebie ludzie szanują.

- A przynajmniej szanowali, dopóki ty mi opinii nie zszargałeś. - Filtry były sklejone; walczyła z nimi, usiłując wydobyć choć jeden. - Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich stu lat, Zach. Nie tylko damska bielizna.

Uśmiechnął się, ale był to uśmiech zabarwiony smutkiem. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Że plotą trzy po trzy, aby uniknąć mówienia o rzeczach istotnych. Potargany, w pomiętym ubraniu, Zach wyglądał jak mały chłopczyk. No, może nie taki mały. W każdym razie, chociaż starał się robić dobrą minę do złej gry, był na tyle zdenerwowany, że Jane nie potrafiła zdobyć się na odwagę, by kontynuować wczorajszą rozmowę.

Podszedł bliżej i wyjął jej z ręki stos sklejonych fil-

trów. Zgrabnym ruchem oderwał jeden, resztę schował z powrotem do szuflady.

- Proszę cię, opowiedz mi o ojcu Cody'ego.

Jane westchnęła. Zastanawiała się, dlaczego tak trudno jej odwrócić od niego wzrok, kiedy patrzy na nią w ten sposób. Z taką koncentracją. Zupełnie jakby była pępkiem świata. Nic dziwnego, że kobiety mdlały u jego stóp. Włożyła filtr, po czym wyjęła z ekspresu pojemniczek, do którego sypie się kawę.

- Byłam młoda i naiwna, a Greg był pewnym siebie, wygadany pozeraczem damskich serc. Prawdę mówiąc, jesteście dość podobni.

- Naprawdę? - zdziwił się.

Napełniła pojemniczek brunatnym proszkiem, wsunęła go na miejsce i włączyła ekspres.

- Kochałaś go?

- Tak mi się wydawało. - Wzruszyła ramionami. - On też mówił, że mnie kocha, ale to tylko był taki chwyt.

- Chwyt?

- Tak. Żeby zaciągnąć mnie do łóżka.

Skierowała spojrzenie na twarz Zacha. Oczy miał wytrzeszczone. Zapewne zdziwiło go to, co przed chwilą powiedziała. Przypuszczalnie w jego świecie kobiety nie rozmawiały tak otwarcie i bez skrępowania o seksie.

- Udawał idealistę - ciągnęła. - Był muzykiem, miał zespół, razem pisali piosenki o poważnych sprawach: o upadku moralności, o wojnie, biedzie. Dałam się na to nabrać. - Ponownie wzruszyła ramionami. - Powiedziałam mu o ciąży akurat w czasie, kiedy zespołowi zaproponowano mnóstwo forsy za podpisanie kontraktu

płytkowego. Trudno, oznajmił Greg, nie zamierza poświęcać dla mnie kariery. Wsiadł w samolot i odleciał, zostawiając mnie i te swoje ideały.

Na twarzy Zacha odmalowało się zdumienie.

- Zostawił cię? Samą i brzemienną? - spytał, a gdy Jane skinęła głową, zdumienie ustąpiło miejsca złości.

- Okazał się nie tylko nieodpowiedzialny, ale i głupi.

- Masz rację. - Westchnęła ciężko. - Był głupi. Nie zdawał sobie sprawy, jak cudowny odrzucił dar. Bo Cody jest najwspanialszym dzieckiem, jakie można sobie wymarzyć.

- Mówisz o Gregu w czasie przeszłym...

Zwilżyła wargi.

- Kariera zespołu trwała krótko. Nagrali płytę, której nikt nie chciał kupować, potem ruszyli w trasę, ale po paru występach organizatorzy odwołali resztę koncertów. Greg nie mógł pogodzić się z porażką. Zaczął brać narkotyki. Kilka miesięcy później zmarł z przedawkowania.

Zach, zde gustowany, pokręcił głową.

- Niewart był takiego syna jak Cody - powiedział, ściskając rękę Jane. - Ani takiej kobiety jak ty.

- Przynajmniej nauczył mnie jednej ważnej rzeczy - szepnęła. Chociaż jego dotyk sprawiał jej przyjemność, zabrała rękę.

- Żeby nie ufać żadnemu mężczyźnie?

Kawa skapywała do dzbanka, wypełniając kuchnię wspaniałym aromatem.

- Żeby nie angażować się w związek, o którym z góry wiem, że jest skazany na niepowodzenie - odparła.

- Żeby nie zakochiwać się w mężczyźnie, o którym

wiem, że mnie porzuci... Chociaż czasem to bywa trudne
- dodała cicho.

Zach pochylił się i delikatnie pocałował Jane w czubek głowy, następnie wziął ją w ramiona i przytulił do siebie.

- Ja też, nauczony doświadczeniem, sądziłem, że pewne sprawy nie podlegają dyskusji. Ale ty mi zburzyłaś mój uporządkowany świat wewnętrzny.

Popatrzyła mu w oczy. Miała ochotę przytulić się do niego z całej siły, czuć go każdą częścią ciała.

- Nie mogę - szepnęła, zaciskając powieki. - Umrę z rozpacz, kiedy wrócisz do siebie. - Serce waliło jej młotem. Wiedziała, że musi dokończyć wcześniejszą rozmowę. Z przerażeniem myślała o reakcji Zacha. - A raczej jeśli wrócisz, bo widzisz...

Opuścił ramiona. Otworzyła oczy. Stał pół metra przed nią, marszcząc z zakłopotaniem czoło.

- Jeśli? Ja muszę wrócić, Jane. Muszę. Próbuję ratować życie mojego syna.

- A ja mojego.

- Nie rozumiem.

- Całą noc o tym myślałam, Zach. Słuchaj, nawet jeśli wrócisz do swojego świata i dasz synowi lek, to niczego nie zmieni. Zastanów się tylko. Jeśli Ben wyzdrowieje, twoi przyjaciele nie połączą sił i nie wynajdą lekarstwa na kwinarię. Może nikomu się to nie uda. A jeżeli lek nie będzie istniał, wówczas doktor Mulligan nie będzie go miał u siebie w gabinecie, czyli ty nie zdołasz go ukraść i podać swojemu dziecku. Innymi słowy, Ben umrze. Rozumiesz? To błędne koło.

- Nie. - Zach pokręcił głową; nie mógł się pogodzić

z taką wersją zdarzeń. - Mylisz się, droga Jane. Waterson i Bausch odkryją lek, bez względu na Bena.

- A jeśli nie?

- Wtedy ktoś inny to zrobi.

- Może. Ale nie masz żadnej pewności. I...

- Nic innego się nie liczy. Ben wyzdrowieje. Mogę uratować moje dziecko. Drugi raz nie zachoruje na kwinarię. Będzie żył.

Oblizwała usta; zaschło jej w gardle.

- Zapomniałeś, co mówiłam wczoraj, Zach? Od czasu twojego Bena tysiące ludzi chorowały na kwinarię. Co z nimi będzie, jeżeli lek nie zostanie wynaleziony? Oni wszyscy zginą.

- Do diabła z nimi! - krzyknął Zach, obiema rękami nerwowo przeczesując włosy.

Nie mogła znieść udręki malującej się na jego twarzy. Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu. Wolałyby być gdzie indziej, nie odbywać tej rozmowy, ale nie miała wyjścia.

- Nie mówisz tego serio - rzekła cicho.

- A właśnie, że tak. Nie zamierzam...

- Posłuchaj, Zach. Kiedy Cody miał dwa lata, o mało go nie straciłam. Był tak bardzo chory, że myślałam, iż nie przeżyje. To była...

- Nie! - przerwał jej. Z przerażeniem w oczach cofnął się o krok. - Jane, proszę cię, tylko nie...

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać jej drżenie, ale nie mogła uczynić nic, aby powstrzymać łzy.

- To była kwinaria, Zach. Gdyby nie wynaleziona przez twoich przyjaciół tryptonina, Cody by umarł.

Jej ciałem wstrząsnął szloch. Po chwili Zach przytulił ją mocno do siebie. Czuła, że cały dygocze.

- Może zachowuję się samolubnie - ciągnęła - ale tak strasznie się boję. Jeżeli wrócisz i uratujesz swojego syna, być może ja stracę swojego.

Trzymał Jane w miażdżącym uścisku, jakby i ją, i siebie próbował uchronić przed tym koszmarnym dylematem. Jakby zagrożenie było na zewnątrz i nie mogło ich dosięgnąć, póki byli razem, mocno objęci. Płakała cichutko, łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach. Pocałował ją delikatnie, chcąc rozproszyc jej strach. A ona wpiła się w jego wargi, jakby szukała w nich zapomnienia. Żadne z nich nie chciało przestać, nie mogło przestać, bo wiedziało, że wtedy trzeba wrócić do rzeczywistości, spojrzeć prawdzie w oczy.

Nie przerywając pocałunku i wciąż tuląc do siebie Jane, Zach cofnął się do drzwi dzielących kuchnię od salonu; wymacawszy ręką drewnianą łyżkę, wsunął ją pomiędzy klamkę a framugę, tak by nikt nie mógł wejść do środka.

Pieścili się, całowali, pragnęli. Każda pieszczota pozwalala im na moment zapomnieć o koszmarze, z którym później przyjdzie im się zmierzyć. W obojgu narastała żądza; dłużej nie mogli wytrzymać. Gładząc Jane po biodrach i udach, Zach podciągał coraz wyżej jej koszulę; po chwili koszula leżała na podłodze, a Jane stała w samych tylko jedwabnych majteczkach, piękna, smukła, zgrabna. Kilka sekund później on też był nagi. Podsadził ją na blat, ona oplótła go nogami...

Zapomnieli o wszystkim, o całym świecie. Istnieli tylko oni. Jane nigdy nikogo tak nie pragnęła i sama nigdy nie czuła się tak pożądana. Zach z kolei mówił jej rzeczy, jakich nie mówił żadnej kobiecie. Mówił nie słowami, lecz językiem miłości. Kiedy było już po wszystkim, Jane powoli opuściła nogi na podłogę i uniosła głowę. W jej oczach lśniły łzy.

Chciał ukoić jej ból, ale nie wiedział jak.

- Musi być sposób, Jane. Musi - powiedział. - Coś wymyślimy. Uratujemy ich obojdwu. Zobaczysz.

Łzy, które spływały jej po policzkach, wypalały dziurę w jego sercu.

- A więc nie zrezygnujesz? Zamierzasz wrócić z tryptoniną do Bena? Mimo że to może zabić Cody'ego?

- Może, ale nie musi. - Gładził ją po włosach, delikatnie zlizując jej z twarzy łzy. Potem wziął w ramiona jej nagie drżące ciało. Marzył o tym, aby ta chwila trwała wieczność. - Natomiast jeśli nie wrócę, Benjamin na pewno umrze. Nie mam wyboru, Jane. Muszę go ratować.

Pocierając palcem jego wargi, szepnęła:

- Przykro mi, Zach. Nie zgadzam się na to. Nie pozwolę ci.

Stali naprzeciw siebie, pogrążeni w bólu i rozpacz, każde gotowe uczynić wszystko, aby bronić swoich racji i swojego dziecka. Nie czuli do siebie nienawiści. Zach nawet nie potrafił być zły na Jane o to, co mówiła. A przecież nie wątpił, że będzie starała się go powstrzymać.

Kręcąc ze smutkiem głową, schylił się po leżące na podłodze spodnie. Ubrawszy się, podniósł koszulę i podał

ją Jane. Kiedy posłusznie wsunęła rękę w jeden rękaw, potem w drugi, obciągnął lekko materiał, zakrywając jej ponętne kształty.

Nagle rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Jane obróciła się nerwowo. Na zewnątrz stał szeryf Quigly O'Donnell, który tulił do piersi małą puchatą kulkę.

Jane popatrzyła z przerażeniem na Zacha. Domyślił się, o co go pyta: jak długo szeryf tkwił za drzwiami, zanim zapukał? Czy widział ich przez szybę?

- Nie martw się, Jane - powiedział cicho. - Dopiero tu przyszedł. Inaczej bym go zauważył.

Odetchnąwszy z ulgą, otworzyła drzwi.

- Znalazłem pani zgubę - rzekł O'Donnell, wciskając Jane wielokolorowe kocisko. - Chyba nie bardzo lubi jazdę samochodem. Potwornie mi podrapała tapicerkę.

Jane zerknęła na kota; po chwili słabym, bezbarwnym głosem wydusiła z siebie:

- Dziękuję.

Szeryf skinął na powitanie Zachowi, po czym ponownie zwrócił się do Jane:

- A cóż, do licha, wyczynia od samego rana pani syn? Zach wyostrzył czujność. Jane zmarszczyła czoło.

- Cody? - zdziwiła się. - On jeszcze śpi. A dlaczego...

Szeryf zarechotał pod nosem.

- Oj, nie wydaje mi się. Na wszelki wypadek niech pani zajrzy na górę, panno Jane. Kiedy przejeżdżałem wtedy kilka godzin temu, widziałem w jego pokoju potężny, że tak powiem, błysk światła. Pewnie jakieś zwarcie w komputerze albo co...

- Błysk światła?

Jane zerknęła z lękiem na Zacha. Wiedział, co ona czuje, bo jego też ogarnął paniczny strach.

- Niech pani pilnuje kici, panno Jane - rzucił szeryf i wolnym krokiem ruszył do radiowozu.

Zach przytrzymał Jane za ramiona, aby nie osunęła się na podłogę. Drżała na całym ciele, była blada jak kreda, ale szybko wzięła się w garść i z kotem na rękach skierowała się w stronę salonu. Zach deptał jej po piętach. Przyspieszyła kroku. Zbliżając się do schodów, już niemal biegła.

- Cody! - krzyknęła. - Cody? Jesteś tam?

Pchnęła drzwi do pokoju syna. Wewnątrz było pusto. Rozglądała się nerwowo w prawo, w lewo, ochrypłym szeptem wypowiadając imię swojego dziecka. I nagle znieruchomiała. Zach popatrzył tam, gdzie utkwiała wzrok. Na podłodze ujrzał przenośnik - pękniętą czarną obudowę i sterzące z niej druty.

Wyminąwszy Jane, stanął na środku pokoju. Powietrze było wyraźnie naelektryzowane. Wtem ciszę przerwało przeraźliwe miauknięcie; Jane puściła wyrywającego się kota, który czmychnął z pokoju, jakby gonił go sam diabeł.

- Otwarto wrota - oznajmił Zach. - Najwyżej kilka godzin temu.

- Boże...

Schylił się po przenośnik; po chwili zaklął pod nosem.

- Co?

- Zepsuty. - Napotkał jej spojrzenie. - Pewnie Cody upuścił go, zanim przeszedł na drugą stronę.

- Na drugą stronę?

Zobaczył na jej twarzy przerażenie, panikę, potworną bezradność, którą sam często odczuwał. Jane pokręciła głową, jakby nie dowierzała temu, co powiedział, po czym wybiegła z pokoju. Zach pozostał na miejscu. Słyszał jej kroki dudniące na korytarzu i jej przepojony rozpaczą głos.

- Cody! Gdzie jesteś? - wołała, zaglądając kolejno do wszystkich pokoi. - Gdzie jesteś, synku? Odpowiedz mi! Cody!

Zach zwiesił głowę. Był załamany. Teraz dwoje dzieci wymaga pomocy i być może do żadnego z nich nie zdoła dotrzeć. Przenośnik nie był do końca naładowany, kiedy Cody się nim posłużył. Zamiast trafić do świata, który Zach opuścił, chłopiec mógł cofnąć się jeszcze dalej. Czy on, Zach, będzie umiał go odnaleźć? Czy...

Jego rozważania przerwały głośne chrapliwe dźwięki dochodzące od strony korytarza. Odwróciwszy się, ujrzał stojącą w drzwiach zapłakaną Jane. Wyciągnął do niej rękę, ale nim postąpił dwa kroki, usłyszał:

- Napraw to. Natychmiast to napraw, Zach.

- Ja... - Nie potrafił dokończyć zdania. Właśnie zamierzał powiedzieć, że nie wie, czy zdoła naprawić urządzenie, ale słowa zamarły mu w gardle. I nagle, ku swojemu zdumieniu, usłyszał, jak mówi: - Dobrze, Jane. Naprawię.

W jej oczach zaświtała nadzieja. Czym prędzej opuścił wzrok i podszedł do biurka Cody'ego. Przesunął na bok klawiaturę, by mieć więcej wolnego miejsca, następnie sięgnął do sakwy po narzędzia. Z kieszeni na piersi wy-

dobył okulary i włożywszy je na nos, przystąpił do rozbierania na części przenośnika.

- Kapsułki zniknęły.

Podniósł głowę.

- Były na stoliku przy kanapie - wyjaśniła Jane. - Ale już ich tam nie ma. Cody musiał słyszeć naszą wczorajszą rozmowę... słyszeć, co mówiłam. - Zacisnęła powieki. - On tak bardzo pragnie mieć brata.

- Wiem.

Podeszła do okna i odciągnęła na bok zasłony. Nagle zeszywniała.

- Zach! A jeśli... Boże, skoro ty, dorosły facet, byłeś taki osłabiony, to co będzie z Codym? Skutki uboczne mogą go wykończyć! On nie...

Zach poderwał się na nogi, w dwóch susach znalazł się przy Jane i chwycił ją mocno za ramiona.

- Przestań!

- Zach, a jeśli nie uda się ściągnąć go z powrotem? A jeśli straciłam go na zawsze? - Szloch wstrząsnął jej ciałem. - Niech cię szlag trafi! Ciebie i te twoje kretyńskie wynalazki! Dlaczego musiałeś akurat tu przybyć? Dlaczego?

Bolały go jej pretensje i zarzuty, ale w głębi duszy wiedział, że Jane ma rację. Gdyby przenośnik zadziałał prawidłowo, nadal wiodłaby spokojne życie; nie musiałyby się przejmować jakimś dziwnym wędrowcem, który przysparzał jej samych kłopotów.

Mimo wściekłości, której nie potrafiła stłumić, poprosiła cicho:

- Obejmij mnie, Zach.

- Obejmuję, Jane.

- Mocniej.

Zacisnął mocniej wokół niej ramiona, a ona z całej siły objęła go w pasie.

- Jestem jego matką - załkała. - Matki pilnują swoich dzieci. Nie pozwalają, aby spotkała je krzywda.

- Wiem. Ciii.

- Kiedy Cody był smutny, umiałam go pocieszyć. Kiedy miał rozbite kolano, potrafiłam założyć opatrunek. Zawsze mógł na mnie liczyć. A teraz? Co mam robić? Jak mam pomóc swojemu dziecku?

Podniosła głowę i popatrzyła Zachowi w twarz. Delikatnie odgarnął jej włosy z oczu.

- Ty się tak czułeś, prawda? - spytała. - Zanim trafiłeś do mojego świata. Przeżony i bezradny...

- Nadal się tak czuję.

- Przepraszam, Zach. Przepraszam, że próbowałam cię zniechęcić. Że próbowałam powstrzymać. Ja...

- Staraliśmy się chronić własne dziecko. Postąpiłbym tak samo.

Pociągnęła nosem. Czubkiem palca zaczął ścierać jej z policzka łzy.

- Nic się nie zmieniło - szepnęła. - Wiesz o tym, prawda?

A jednak się myliła. Coś się zmieniło. Czuł to całym sobą. Ale na razie nie było czasu, żeby się nad tym głębiej zastanawiać.

- Wciąż uważam, że jakakolwiek ingerencja w przeszłość może wyrządzić niewyobrażalne szkody.

- Nie myślmy o tym teraz - powiedział. - Skupmy

się na odnalezieniu naszych synów i zapewnieniu im bezpieczeństwa. A konsekwencje... - Potrząsnął głową. - Później o nich pomyślimy.

W jej oczach czaiło się mnóstwo wątpliwości.

- Zaufaj mi. - Starał się mówić przekonująco, głosem pewnym siebie, widział bowiem, jak bardzo Jane potrzebuje pociechy i wsparcia psychicznego. - Niczego pochopnie nie będę czynił. Zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, wszystko dokładnie przeanalizuję. Przysięgam.

- Dobrze. - Z trudem przełknęła ślinę, po czym wskazując brodą biurko, na którym w kilku kawałkach leżał przenośnik, spytała cicho: - Mogę ci jakoś pomóc?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cody wstał z podłogi i otrzepał dzinsy. Nagle popatrzył na swoje ręce i znieruchomiał. Gdzie się podziało czarne urządzenie, które Zach nazywał przenośnikiem? Domyślając się, że musiało mu wypaść z ręki, rozejrzał się dookoła. Przenośnika nigdzie nie było, a świetlista kula, przez którą przeszedł, też zniknęła.

- O rany - mruknął, po czym szybko pomacał się po kieszeni, sprawdzając, czy wciąż ma buteleczkę z lekarstwem. Na szczęście jej nie zgubił. Odetchnął z ulgą i ponownie rozejrzał się po pokoju.

Rozpoznał własną sypialnię. Chociaż nie, pokój niby był ten sam, ale jakoś inny. I pełen ludzi. Na łóżku pod ścianą leżał wycieńczony chorobą chłopczyk, a wokół niego stały trzy osoby, dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Cała trójka odwróciła się i popatrzyła ze zdziwieniem na intruza.

Cody postąpił krok do tyłu i uśmiechnął niepewnie.

- Cześć...

Lampy naftowe dawały zbyt mało światła, aby było jasno, ale dostatecznie dużo, by widział niezadowolenie malujące się na twarzach dorosłych.

Ludzie stojący przy łóżku chorego dziecka otoczyli Cody'ego półkolem, wyraźnie zaskoczeni jego obecno-

ścią. Jeden z mężczyzn był niski i gruby, drugi wysoki i chudy; jeden miał siwe wąsy, drugi czarne. Obaj mieli na sobie dziwne staromodne garnitury i krawaty. Kobieta była znacznie od nich starsza, o całkiem białych włosach i pomarszczonej twarzy. Na widok Cody'ego zakreśliło się jej w głowie; upadłaby, gdyby mężczyźni w porę jej nie złapali. Jeden zaczął ją wachlować. Po chwili otworzyła oczy.

- Na miłość boską, Eli, trzymaj ją! Bo zaraz upadnie.

- Trzymam, Wilhelmie, trzymam. Lepiej przysuń krzesło!

Eli? Wilhelm? Cody stał jak wryty, z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami. Kurcze blade! Był w tym samym pomieszczeniu co Eli Waterson i Wilhelm Bausch!

Kiedy Bausch przyciągnął krzesło, Waterson posadził na nim kobietę i znów zaczął ją wachlować. Niewiasta otworzyła oczy i uśmiechnęła się słabo, po czym wbiła wzrok w Cody'ego.

- Dzieciaku, aleś mnie wystraszył! O mało przez ciebie nie padłam martwa! Co to było za dziwne światło? I skąd, na Boga, się tu wzięłeś?

- Kim jesteś, chłopcze? - spytał młodszy z dwóch wąsaczy, pochylając się do przodu. - Jak się tu dostałeś? Gdzie jest pan Bolton?

Cody uznał, że lepiej będzie mówić o sobie jak najmniej. Jeszcze pomyślał, że zwariował, a diabli wiedzą, co sto lat temu robiono z chorymi na umyśle dziećmi. Więc jedynie wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Nieważne, kim jest, Eli - powiedział starszy mężczyzna. - Ważne, aby natychmiast stąd wyszedł.

- Nic z tego - oznajmił Cody, krzyżując butnie ręce na piersi. - Przybyłem zobaczyć się z Benem i nie wyjdę, dopóki mi nie pozwolicie.

Wyciągnął głowę, usiłując dojrzeć leżącego w łóżku chłopca. W świetle lamp naftowych niewiele było widać, ale Cody'emu wydawało się, że Benjamin Bolton kiepsko wygląda.

Staruszka zamruwała oczami, jakby próbując powstrzymać łzy, po czym pogłaskała Cody'ego po głowie. Uśmiechnął się do niej, pamiętając, że tym sposobem zawsze potrafił zjednać sobie babcię Kate.

- Kochany chłopiec... Jesteś przyjacielem Benjamina?

- Tak, proszę pani. On na pewno poczuje się lepiej, jeśli będę mógł z nim chwilę porozmawiać.

Wsunął rękę do kieszeni spodni i zacisnął wokół pojemnika z kapsułkami. Musi zostać z Benem sam na sam, chociaż przez kilka minut; przecież nie może mu podać lekarstwa na oczach tych ludzi.

- Przykro mi, młody człowieku - powiedział Wilhelm, kucając obok Cody'ego - ale Benjamin jest bardzo chory. Nie może przyjmować gości.

- Rozumiem, ale skoro już tu jestem, to może mógłbym... Dosłownie kilka minut.

- Pani Haversham, czy zna pani to dziecko?

- Nie - odparła staruszka, po czym zwróciła się do Cody'ego: - Uwierz mi, kochanie. To, że nie chcemy dopuścić cię do Bena, wynika z naszej troski o ciebie.

- Och, wierzę. Państwo myślą, że się od niego zarażę. Ale ja w dzieciństwie chorowałem na kwinarię. Jestem uodporniony. Słowo honoru.

Dwaj najwięksi naukowcy od czasów Pasteura wymienili między sobą spojrzenia, po czym młodszy z nich popatrzył znad okularów na Cody'ego.

- A cóż chłopiec w twoim wieku może wiedzieć o chorobach zakaźnych i nabywaniu odporności?

Cody wzruszył ramionami i milczał.

- Swoją drogą, jak się tu dostałeś?

- Już mówiłem, chciałem odwiedzić Benjamina. Otworzyłem jedne drzwi, drugie, i jestem.

Starszy z naukowców, który dotąd w milczeniu przyśluchiwał się tej wymianie zdań, wolno pokręcił głową.

- Czy pan Bolton wie, że przyszedłeś do jego syna?
- spytał.

- No pewnie.

- Kłamiesz, chłopcze - oznajmił, zadowolony z siebie. - Pana Boltona tu nie ma. Udał się do miasta po lekarza.

- Wiem, że go tu nie ma, ale...

- Pani Haversham, niech pani poprosi kogoś ze służby, żeby wezwał policjanta. Dowiemy się, kim są rodzice tego młodzieńca i dlaczego go nie pilnują.

- Jak pan sobie życzy - powiedziała staruszka, posyłając Cody'emu smutne spojrzenie.

Podniosła się z krzesła i otworzyła drzwi. Cody rzucił się do ucieczki. Młodszy z mężczyzn wyciągnął rękę, by go zatrzymać, ale chłopiec był szybki i zwinny. Uskoczył w bok, po czym schyliwszy się, przebiegł pod wspartym

o framugę ramieniem pani Haversham, i pognał w stronę schodów.

Mężczyźni rzucili się w pościg, nie mieli jednak najmniejszej szansy, aby go złapać. Cody z wprawą skoczył na poręcz i zjechał w dół na parter. Słyszał na schodach dudniące kroki i głos wołający:

- Zatrzymać chłopca! Może być chory! Zatrzymać go!

Cody pognał do kuchni, a stamtąd drzwiami na podwórze.

Mimo że siedział pochłonięty naprawą przenośnika, Zach cały czas był świadom obecności Jane. Kilka razy chciał ją poprosić, aby wyszła z pokoju i zostawiła go samego. Po prostu dekoncentrowała go; co chwila wracał myślami do dzisiejszego poranka w kuchni. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która by do tego stopnia zawładnęła jego wyobraźnią, myślami, uczuciem. Kobiety, która potrafiła oderwać jego uwagę od pracy. Och, wiele znał w życiu kobiet, ale żadna aż tak go nie absorbowała.

Gdyby jeszcze myślał o jej ustach, piersiach, to by się sobie nie dziwił. Ale nie. Ilekroć zerkał przez ramię i widział Jane, która siedziała z podwiniętymi nogami na łóżku Cody'ego, ogarniała go tkliwość, czułość. I właśnie tego nie mógł pojąć. W jego życiu kobiety spełniały tylko jedną rolę - dawały satysfakcję w łóżku. Niczego więcej od nich nie chciał i nie oczekiwał. Z żadną nie zamierzał się wiązać. Taką decyzję podjął dawno temu, kiedy Claudia wbiła mu sztylet w serce. Po pewnym czasie rana zagoiła się, ale nie chcąc, aby podobna sytuacja kiedykolwiek się jeszcze powtórzyła, zakuł swe serce w sta-

lowy pancerz. Przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie ulegnie kobiecym wdziękom.

I nie uległ... dopóki nie spotkał Jane.

Siedziała otoczona książkami; w rękę trzymała ołówki i notes. Kiedy spytała, w jaki sposób może mu pomóc, Zach uznał, że najlepiej będzie wykorzystać jej zainteresowanie historią. Wyszukiwała więc w książkach wszystkie informacje na temat Watersona i Bauscha oraz ich badań nad tryptoniną. Miał nadzieję, że uda się uratować obu chłopców, a jednocześnie nie zaważyć na losach badań prowadzonych przez tych dwóch wybitnych naukowców.

Tak więc Jane przeglądała książki, on zaś dłużył w przerośniku, świadom, że wszelkie informacje o Watersonie i Bauschu okażą się bezużyteczne, jeżeli przerośnik nie będzie sprawnie działał. Na szczęście zdołał już ustalić dokładną datę, do której Cody się cofnął. Z obliczeń, jakie wykonał na komputerze chłopca, wynikało, że jeśli przerośnik ładował się dwa dni zamiast trzech, Cody powinien był trafić w dzień poprzedzający jego, Zacha, zniknięcie. On z Jane postarają się trafić w ten sam dzień, zdawał sobie jednak sprawę z komplikacji, jakie mogą wyniknąć. Ale na razie nie chciał o nich myśleć.

Odsunął na bok przerośnik i ponownie utkwiał oczy w komputerze. Po paru minutach westchnął zrezygnowany.

Łóżko zaskrzypiało. Chwilę później poczuł ręce Jane masujące mu ramiona i kark. Zdumiało go, że mimo dzielącej ich różnicy zdań jest dla niego taka miła. Ale bar-

dziej zdumiało go co innego. Wystarczył lekki dotyk jej dłoni, aby zalała go fala pożądania.

- Już tyle godzin pracujemy. Krótka przerwa dobrze nam zrobi.

Głos miała ochrypliwy od płaczu. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Biedaczka odchodziła od zmysłów ze strachu o syna. Znał to uczucie. Och, jak dobrze je znał. Kciukami i kłykciami na przemian ugniatała mu ramiona. Zamknął oczy. Powoli zaczął się rozluźniać, mięśnie stawały się coraz mniej napięte...

- Wiesz - rzekł, pochylając w dół głowę. - Nie tyle przeszkadza mi samo ślęczenie nad problemem, co poczucie własnej bezradności.

Ręce Jane znieruchomiały. Szkoda, pomyślał.

- Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie posunałeś się naprzód?

- Nie, ale posunałbym się znacznie dalej i znacznie szybciej, gdybym potrafił lepiej się posługiwać komputerem Cody'ego. - Popatrzył smutno na ekran. - W swoich czasach uchodziłem za geniusza. W twoich czuję się jak ignorant.

Ręce wznowiły masaż.

- Niesłusznie, Zach.

- Tak sądzisz? Dziś nawet małe dzieci wiedzą dużo więcej niż ja. Ja wybałuszam oczy na widok waszych telewizorów, kuchenek mikrofalowych i samolotów. Podejrzewam, że nawet nie zdałbym do trzeciej klasy.

- Zapominasz o jednym - powiedziała.

Ciekaw był, jakie jeszcze cuda potrafią wyczyniać jej ręce.

- O czym? - spytał.

- Że nikomu dotąd nie udało się przenieść w czasie. Nie pomogły żadne supernowoczesne komputery ani dane uzyskane podczas lotów w kosmos. A tobie się ta sztuka udała, chociaż dysponowałeś bardzo prymitywnym sprzętem. Dokonałeś czegoś, co wszyscy nadal uważają za rzecz niemożliwą.

Obrócił się do niej twarzą.

- Faktycznie - przyznał zadowolony.

- No widzisz? Dlatego wierzę, że również i teraz znajdziesz rozwiązanie. - Patrzyła na niego ze śmiertelną powagą. - Musisz, Zach. Liczę na ciebie.

Opuścił wzrok. Nie chciał sprawić jej zawodu. To, że Jane tak bardzo na nim polega, że liczy na niego i wierzy, że uda mu się doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca, przepełniało go radością, lecz i trwogą.

- Znów masz przekrwione oczy - powiedziała. - Odpocznij trochę. Zobaczysz, lepiej ci się będzie pracowało po kilkuminutowej przerwie. A może jesteś głodny? Mogłabym zrobić kanapki...

Uśmiechnął się i delikatnie pogłaskał ją po włosach. Ta niewinna czynność sprawiała mu coraz większą przyjemność.

- Odnajdziemy Cody'ego, Jane. Obiecuję ci, że wróci do ciebie cały i zdrowy.

Starła się ukryć łzy, ale nie dała rady. Był zbyt spostrzegawczy - lub zbyt wyczulony na jej punkcie - aby cokolwiek mogło umknąć jego uwadze.

- Boże, pewnie masz mnie za największą egoistkę

świata. Przedtem krzyczałam, że nie wolno ingerować w przeszłość, a teraz...

Wstał od biurka i ujął jej twarz w swoje dłonie. Pieścił ją wzrokiem.

- Teraz przemawia przez ciebie matka, Jane. I jak każda matka jesteś gotowa poświęcić wszystko, aby chronić swoje dziecko. To nie jest egoizm. Przeciwnie, to cię czyni... - urwał.

- Jaką, Zach? - spytała szeptem.

- Jeszcze piękniejszą - odparł. - Może to zabrzmiało banalnie, ale jeszcze nigdy w życiu nie spotkałem takiej kobiety jak ty. Och, z wieloma romansowałem, ale żadna mnie nie interesowała. Żadna nie wywoływała we mnie większych emocji. Z tobą zaś... - Nie dokończył zdania. Nawet nie był pewien, co zamierzał powiedzieć.

Przez moment Jane przyglądała mu się uważnie, szukając w jego twarzy potwierdzenia.

- Boże - westchnęła wreszcie. - Mam nadzieję, że Cody jakoś tam sobie radzi.

- Twój syn jest bystrym, wyjątkowo inteligentnym dzieckiem. Będzie wiedział, co robić, póki go nie odnajdziemy.

Skinęła głową.

- Tak, będzie wiedział - powtórzyła.

- No dobrze, a teraz może byś przygotowała te kanapki?

Z jakiegoś niezrozumiałego dla niej samej powodu Jane wierzyła w każde słowo Zachariaha. Powiedział, żeby się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze, a jej nawet

nie przyszło do głowy, żeby wątpić w jego zapewnienia. Czyżby całkiem zwariowała?

Nie, nie zwariowała, stwierdziła, szykując w kuchni kanapki i układając je na papierowych talerzach. Wierzyła Zachowi, ponieważ była święcie przekonana, że kiedy uprze się, to potrafi osiągnąć cel.

Trochę ją niepokoiło to, że za cel postawił sobie również zdobycie jej serca. W sposób świadomy lub niezamierzony dążył do tego od chwili, gdy tak nieoczekiwanie pojawił się w jej życiu. Był inteligentnym, zabawnym, pociągającym mężczyzną, w którym z łatwością mogłaby się zakochać. Nauczona doświadczeniem wiedziała jednak, że jeśli nie chce znów być porzucona, powinna trzymać go na dystans. Na dystans... Wymagało to ogromnego wysiłku. Cały czas powtarzała sobie, że wkrótce Zach zniknie. Odnajdzie Cody'ego, odeśle go do niej, a sam wróci do swojego świata, do roku 1897, żeby ratować Bena. Wróci i już tam pozostanie. Dlatego nie powinna robić sobie żadnych nadziei i angażować się w coś, co może potrwać kilka godzin, najwyżej kilka dni.

W umiejętności Zacha nie wątpiła. Człowiek, który potrafi podróżować w czasie, potrafi wszystko. Dla kogoś, kto przenosi się w przyszłość, powrót do przeszłości nie powinien być problemem. Problemem nie powinno być również uratowanie jednego małego chłopca.

Dwóch małych chłopców, poprawiła się szybko w myślach, dręczona wyrzutami sumienia. Dwóch. Cody'ego i Benjamina. Przedtem sądziła, że jej argumentacja jest logiczna, że ma rację, twierdząc, że przeszłości nie wolno zmieniać. Ale nie doceniła siły uczuć rodzicielskich. Te-

raz wiedziała, że gdyby była na miejscu Zacha i miała jego wiedzę, postąpiłaby identycznie. Albowiem żaden rodzic nie myśli o ratowaniu świata, kiedy zagrożone jest życie jego dziecka.

Otworzywszy szafkę, ujrzała kubek z napisem „New York Giants” - właśnie tej drużynie futbolowej Cody zawsze kibicował - i nogi się pod nią ugięły. Tylko dzięki olbrzymiej sile woli nie osunęła się na podłogę. Przełtykając łzy, powtarzała sobie, że Cody wróci.

Coś miękkiego otarło się o jej łydkę. Zerknąwszy w dół, zobaczyła bezpańską kotkę, którą rano przyniósł jej szeryf O'Donnell.

- Możesz zostać, kiciu - powiedziała, drapiąc kotkę za uchem. - Cody ucieszy się, kiedy cię zobaczy.

Wyprostowała się i przez moment rozglądała po kuchni. Potem wyjęła z szafki dwie miski oraz dwie duże puszki tuńczyka. Do jednej miski wrzuciła tuńczyka, drugą napełniła wodą; obie postawiła w kącie na podłodze.

- Dostajesz większą porcję. Na wypadek, gdybym musiała na parę dni zniknąć.

Kot z apetytem rzucił się na jedzenie. Jane uchyliła drzwi kuchenne, żeby zwierzę mogło swobodnie wchodzić i wychodzić.

- Jane! - ryknął z pokoju na górze Zach. - Chodź! Mam coś!

Chwytnąjąc w każdą rękę talerz z kanapkami, Jane wbiegła na górę. Spodziewała się ujrzeć jakieś dziwne zjawisko, kolorowe opary czy tajemnicze zjawy, ale gdy pchnęła drzwi i wpadła zdyszana do pokoju, zobaczyła

jedynie Zacha, który intensywnie wpatrywał się w ekran komputera.

- No? - spytała, stawiając na biurku talerz.

- Chodzi o skutki uboczne. Jestem prawie pewien, że Cody ich nie odczuwa. Spójrz. - Wskazał na ekran.

- Nie dokończyłem badań przed wyruszeniem w drogę, bo po prostu czas naglił. Wczoraj przepisałem dane z notesu do komputera. Specjalny program, który Cody za... za...

- Zainstalował - odpowiedziała.

- Tak, zainstalował... Ten program jest niesamowity. Wynajduje współzależności, o których mi się nawet nie śniło.

- Dojść do sedna, Zach.

- W porządku. Rzecz sprowadza się do tego, że im większy obiekt, tym większe skutki uboczne. Ja jestem duży, więc po przekroczeniu wrót czasu miałem mnóstwo nieprzyjemnych odczuć, ale Cody waży niewiele. Jeśli do tych obliczeń nie wkradł się żaden błąd, oznacza to, że...

- Że Cody'emu nic nie dolega?

- Zgadza się.

Jane poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

- Jeżeli tak, to na pewno poradzi sobie do czasu, aż się po niego zjawimy - rzekła.

Zach skinął głową, jego uśmiech jednak był nieco wymuszony, a w oczach czaił się smutek.

- Myślisz o Benjaminie? Też chciałbyś mieć pewność, że nic mu nie będzie?

- Czytasz w moich myślach, Jane.

Przysunęła bliżej talerz, po czym wyciągnęła rękę i zdjęła Zachowi z nosa okulary.

- Niech ci oczy na moment odpoczną. Zjedz, a potem opowiedz mi o Benie.

- Jeżeli go stracę...

Przycisnęła dłoń do jego policzka.

- Nie stracisz - oznajmiła stanowczo. - Daję ci słowo honoru.

Zakrył jej dłoń własną ręką.

- Co ja bym bez ciebie zrobił?

- Jedz.

Posłusznie sięgnął po kanapkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cody skrył się w starej skrzypiącej stodole kilka kilometrów od domu, w którym mieszkał ze swoją mamą. A właściwie od domu, w którym Zach mieszkał z Benem. Zresztą, na jedno wychodziło. Nie miał pojęcia, co się ze stodołą stało, ale w 1997 roku już nie istniała. Zresztą nic dziwnego; w 1897 roku budynek nie należał do nowych. Był przechylony, o miejscami zapadającym się dachu i wielkich szparach w ścianie, przez które, skowycząc głośno, wnikał wiatr. Oby tylko ta rudera nie zaważyła się akurat teraz, kiedy on w niej przebywał. Pocięszali się, że może jeszcze trochę postoi. W każdym razie skoro budynek był tak stary sto lat temu, to ciekawe, kiedy go wybudowano. Kto wie, może za czasów wojny o niepodległość! To dopiero byłoby coś!

Cody otrząsnął się. Nie miał czasu rozmyślać o tym, czy stodoła była świadkiem walk o niepodległość, czy nie. Teraz musiał skupić się na czymś znacznie ważniejszym.

Poruszywszy się, usłyszał ni to grzechot, ni to łoskot. No tak, kapsułki! Grzechotały w buteleczce, ilekroć zmieniał pozycję. Przygryzł wargi, świadom ogromnej odpowiedzialności, jaką wziął na swoje barki. Teraz już nie mógł się wycofać. Zresztą, wcale nie chciał. Przybył na ratunek Benjaminowi. Życie chorego chłopca zależy

wyłącznie od niego. Przeklęci naukowcy! Gdyby nie oni...

Cody zadumał się. Czy miał pozwolić, aby ich obecność go powstrzymała? Jeżeli szybko nie poda lekarstwa małemu Benowi, którego w myślach nazywał swoim młodszym bratem, Ben umrze. Może już teraz umiera?

Wiedział, że próbując ratować Bena, ryzykuje własne życie. Ale czuł, że nic mu nie będzie. Mama często mówiła, że dzieciom w jego wieku wydaje się, że są nieśmiertelne. Może są, może nie. W każdym razie nie miał wątpliwości, że postępuje słusznie. Ben nawet nosił to samo imię co dziadek mamy, Benjamin Fortune. To chyba o czymś świadczy, prawda? Tak czy inaczej, musi Benowi pomóc. Ale jak?

Zacisnął powieki.

- Mamusiu, co powinienem zrobić? Powiedz - szepnął. Bądź mądry, synku. Rusz głową.

Otworzył oczy, niemal spodziewając się, że tuż obok zobaczy Jane. Ale oczywiście nie zobaczył. Był sam w wielkiej, ciemnej stodole; towarzyszył mu jedynie chłód, ponury skowyt wiatru i stęchły zapach starego siana. Mimo to nie czuł się samotny; miał wrażenie, że ktoś o nim myśli i nad nim czuwa.

To miała być krótka pięciominutowa przerwa. Położyli się koło siebie na łóżku, postanawiając chwilę odpocząć - zwłaszcza on ledwo widział na oczy - a potem zaraz wrócić do pracy. Nie zauważył momentu, kiedy Jane zamknęła powieki; zdumiało go, że będąc tak przejęta i zdenerwowana, w ogóle zdołała zasnąć. Widocznie

znużyła ją teoria, którą wygłaszał na temat podróży w czasie. Żałował, że wcześniej na to nie wpadł; gdyby wiedział, że jego naukowe wywody podziałają tak usypiająco, zacząłby je wygłaszać kilka godzin temu. Biedaczka była na skraju wyczerpania, bardziej psychicznego niż fizycznego, on zaś nie miał serca jej budzić. Powinien zasiać z powrotem do naprawy przenośnika, ale bał się, że najmniejszy ruch może wybić ją ze snu. Leżała bowiem... hm, niemal wczepiona w niego. Oczywiście odkąd ją poznał, marzył o tym, aby czuć ją całym sobą. To marzenie raz się spełniło, ale raz to stanowczo za mało.

Popatrzył na jej śpiącą twarz i nagle pomyślał, że sto razy to też za mało. Przeszył go dreszcz. Zastanawiał się, co takiego Jane ma w sobie, że on nie może się jej oprzeć; czym go kusi, czym wabi? Westchnął głęboko. Gdyby spotkali się kiedy indziej, w tym samym czasie i tym samym świecie...

Przesunęła się wyżej, wciskając nos pod jego brodę, i objęła go mocniej w pasie. Nogę, zgiętą w kolanie, miała zarzuconą na jego uda.

Sytuacja niepokoiła Zacha, a jeszcze bardziej niepokoiło go własne zachowanie. Normalnie obmyślałby, w jaki sposób najlepiej podniecić swą towarzyszkę, pieściłby ją delikatnie, tak by obudziła się żadna dalszych pieszczot, lecz teraz leżał zadowolony, szczęśliwy, że może po prostu obejmować Jane, patrzeć na nią, czuć jej zapach, jej ciepło. Cieszył się, że ona odpoczywa, że choć przez chwilę może zapomnieć o horrorze, w jakim się znaleźli.

Tak, to było do niego całkiem niepodobne. Leżał w łóżku z kobietą, której pragnął - pragnął bardziej niż

jakiegokolwiek innej w życiu - a mimo to nic nie robił, pozwalał jej spać.

No dobrze, pomyślał, niech śpi. Ostrożnie wyciągnął rękę, przysunął przerośnik, śrubokręt, notatki, następnie wszystko rozłożył tak, by nie przeszkadzało Jane. Na końcu sięgnął po okulary. Nasadziwszy je na nos, przystąpił do pracy - zaczął kolejno, jeden po drugim, skręcać razem części przerośnika, aby powstało z nich sprawnie działające urządzenie.

Jane westchnęła cicho i zsunęła się niżej, kładąc głowę na jego brzuchu. Przyjrzał się jej znad okularów. Wyglądała tak słodko, ale... Boże kochany, pomyślał, czując narastające podniecenie. Jeśli to jej nie obudzi...

Coś twardego uwierało ją pod policzkiem. Mamrocząc przez sen, zwinęła dłoń w pięść i uniosła głowę; zamierzała uderzyć w poduszkę i zlikwidować wybrzuszenie, kiedy nagle czyjaś ręka zacisnęła się wokół jej nadgarstka.

- Co to, to nie.

- Słucham? - Obudziła się i nagle zdała sobie sprawę, na czym leży. Obróciwszy się, ujrzała wpatrzona w siebie, roześmiane oczy. - No wiesz!

- Co no wiesz? Ja nic nie zrobiłem. Sama tak się ułożyłaś...

Delikatnie pogłaskał Jane po włosach. W jego spojrzeniu dostrzegła coś więcej niż pożądanie. I serce zabiło jej mocniej.

- Żałuję, że nie mamy czasu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo chciałbym zostać z tobą dłużej.

Nie wiedziała, jak zareagować, więc milczała. Po pro-

stu wpatrywała się w jego oczy, usiłując z nich coś wyczytać. I nagle... Zaraz, zaraz, co takiego Zach powiedział? Że żałuje, iż nie mają czasu? Czyżby...? Zerknęła na przenośnik leżący obok na łóżku.

- Zach, czy...?

Skinął głową i podniósł mały czarny przedmiot.

- Zobacz - szepnął.

Skierował urządzenie na środek pokoju i wcisnął guzik. Ich oczom ukazał się malutki punkcik światła.

- Boże. - Poczowała ucisk w gardle. - To działa! Naprawiłeś!

- Chyba się udało.

- Jak to chyba? - Wstała z łóżka i podeszła bliżej do światła. - Nie jesteś pewien?

- Nie.

- W takim razie...

- Poczekaj.

Pokręcił tarczą. Światło powoli stawało się coraz większe i jaśniejsze. Zach poderwał się z łóżka i chwycił Jane za łokieć, odciągnął ją na bok. Kiedy światło sięgnęło poza sufit i podłogę, nagle zaczęło przybierać dziwne barwy i kształty. Po chwili świetlista kula przemieniła się w taflę lustra; spoglądając w nią, widzieli pokój, w którym stali, tyle że bez współczesnych mebli, bez tapety na ścianie, bez elektryczności. Innymi słowy pokój Cody'ego, ale sprzed stu lat.

- Spójrz, Jane. Widzisz kalendarz? Tam na ścianie?

Popatrzyła we wskazanym kierunku i zobaczyła pojedynczą kartkę, na której ktoś systematycznie wykreślał mijające dni.

- Chyba nam się udało. Jeśli wejdziemy przez te wrota, znajdziemy się w dniu poprzedzającym moje zniknięcie. Jestem pewien, że właśnie tu trafił Cody.

Jane, zmieszana, pokręciła głową.

- Ale... ale jeśli to dzień poprzedzający twoje zniknięcie, to znaczy, że nadal tam jesteś, prawda? Jesteś i tam, i tu. Czyli... jest was dwóch, tak? A jeżeli...

- Nie wiem, Jane. Nie mam pojęcia, czy cofając się o dzień, mogę spotkać samego siebie. Na wszelki wypadek powinienem chyba unikać jego... to znaczy siebie. - Zacisnął ręce na jej ramionach. - Jane, muszę już iść.

Ku jej zaskoczeniu, w jego oczach lśniły łzy.

- Pożegnanie z tobą... to takie trudne. Myślałem, że... - urwał.

Zamiast szukać słów, którymi i tak nie zdołałby wyrazić tego, co czuje, objął Jane, po czym zaczął ją całować - powoli, delikatnie, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Zarzuciła ręce na jego szyję i odwzajemniła pocałunek. Przedtem ich pocałunki cechowała namiętność, żarłoczność, chciwość. Tym razem było inaczej - całowali się czule i tkliwie. Zupełnie jakby...

Nagle oderwał usta od jej warg i wbił spojrzenie w świetlisty krąg. Jane nerwowo usiłowała wziąć się w garść, wrócić do rzeczywistości, którą na moment porzuciła. Odchrząknęła, głos jednak wciąż miała ochryply.

- Jeśli ci się wydaje, że cię puszcze samego - rzekła - to się grubo mylisz. Tam jest mój syn. Nie zostanę tutaj.

- Ale skutki uboczne...

- Nic mi nie będzie, Zach. Ważę o połowę mniej niż ty. Zresztą to i tak nie ma znaczenia.

- Posłuchaj, Jane. Taka podróż jest ryzykowna, a w twoim przypadku całkiem niepotrzebna. Przecież wiesz, że zaopiekuję się Codym, jakby był moim synem. Kocham tego dzieciaka. - Zmarszczył czoło, jakby zaskoczyły go własne słowa. Po chwili skinął głową. - Tak, kocham go. Będzie ze mną bezpieczny. Po trzech dniach, kiedy urządzenie się naładuje, odeślę go do ciebie.

- Nie zostanę tutaj - powtórzyła.

- A ja nie pozwolę ci ryzykować.

- Nie masz nic do gadania.

Wyrwała mu się tak nieoczekiwanie, że nie zdołał jej zatrzymać, i wbiegła prosto w krąg światła. Najpierw poczuła straszliwy ucisk, jakby była żółwiem, który dostał się pod koła ciężarówki, a potem dziwną lekkość. Upadła na podłogę albo - nie była tego pewna - podłoga upadła na nią.

Tuż obok wylądował z hukiem Zach; leżał na boku, z dłońmi przyciśniętymi do głowy i z wykrzywioną twarzą. Sekundę później spadł przenośnik - i światło zgasło.

Jane usiłowała się podnieść, ale nie dała rady; tak silnie zakręciło się jej w głowie, że osunęła się z powrotem na kolana. Miała wrażenie, jakby za dużo wypijała. Świat wirował jej przed oczami, nie mogła utrzymać równowagi. Cóż za przerażające uczucie!

Spojrzała na Zacha, który wciąż leżał na podłodze, tyle że nie na boku, lecz na plecach; oczy w dalszym ciągu miał zamknięte, dłońmi przyciskał skronie.

- Zach? - Kucnęła obok, przewyciężając słabość.

Zdawała sobie sprawę, że różnica w skutkach ubocznych odczuwanych przez nią i przez Zacha jest ogromna. - Trzymaj się, Zach. Dobrze? Bądź dzielny.

Uniósł powieki. W jego oczach dojrzała pustkę. Patrzył na nią jak na obcą osobę. Jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Po chwili ściągnął brwi; bardzo intensywnie nad czymś myślał.

- Znam cię - oznajmił wreszcie. Powiódł spojrzeniem po pokoju. Spozregłszy na podłodze przenośnik, chciał usiąść i go dosięgnąć. Ale po chwili znów utkwiał wzrok w Jane. Wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach. - Znam cię - powtórzył. - Znam twoją twarz, twój zapach, smak twoich ust. I wiem, że nigdzie na świecie nie ma drugiej takiej kobiety jak ty. Poczekaj, zaraz sobie skojarzę...

- Jestem Jane, Zach. Jane - rzekła, trochę zaskoczona tym, co usłyszała. Ale zaraz uzmysłowiła sobie, że biedak przecież ma prawo majaczyć. Był słaby, zdezorientowany; nie wiedział, gdzie jest ani co się z nim dzieje. - Zach, obudź się. Oprzytomniej. Jesteś mi potrzebny.

- Jane... - mruknął sennie, po czym zamknął oczy. Wcale mu się nie dziwiła. Ona też czuła się zmęczona, jak po bardzo długiej podróży. - Wracaj do łóżka, Jane.

Ujęła jego twarz pomiędzy swoje ręce i kilka razy uderzyła go lekko w policzek.

- Zach, błagam cię, jesteś mi potrzebny.

Otworzył oczy.

- Kochanie, jesteś nienasycona.

- Benjamin. Cody. Pamiętasz ich, Zach?

- Benja... - Wyraz otępienia znikł z jego twarzy. -

Mój syn.

Usiadł i potrząsnął głową tak, jakby chciał, żeby wszystko się w niej ułożyło, po czym chwycił wyciągniętą w swoją stronę dłoń i dźwignął się z podłogi. Przez moment wpatrywał się w rękę, którą ścisnął, potem - nie puszczając jej - przeniósł wzrok wyżej, ku oczom Jane.

- Jane, przepraszam. Ja...

- To nie twoja wina, Zach. Po prostu kiedy mijają się wrota czasu, coś dziwnego dzieje się z głową.

- Posłuchaj, Jane. Trafiliśmy w przeddzień mojej podróży do twojego świata. Jeśli oprócz mnie istnieje tu ten drugi Zach, wolałbym się na niego nie natknąć. Nie wiem, co się w takiej sytuacji może wydarzyć.

- Dobrze. Zastanów się, gdzie byłeś o... - Rozejrzawszy się po pokoju, spostrzegła zegar stojący nad kominkiem - o wpół do szóstej w wieczór poprzedzający ten... No, ten...

- Ten, w którym Ben zapadł w śpiączkę? - dokończył za nią Zach. - Byłem przy łóżku syna. Spędzałem tam wszystkie wieczory.

Ledwo to powiedział, oboje spojrzeli na łóżko, w którym spał mały blady chłopczyk, oraz na stojący obok łóżka fotel. Fotel był pusty.

- A jednak dzisiejszego wieczoru gdzieś wyszedłeś - szepnęła Jane.

Na chwiejnych nogach zbliżył się do łóżka i pochyliwszy się, pocałował syna w czoło. Benjamin spał jak suseł; nawet powieka mu nie drgnęła. Na widok jego bladej twarzyczki, piegów na nosie i rudych kręconych włosów łzy napływały Jane do oczu. Chłopcy byli tacy do siebie podobni.

Zach wyprostował się; zęby miał zaciśnięte, wzrok zamglony.

- Chodźmy, zanim moja wcześniejsza wersja się tu pojawi. Mogę się ciebie przytrzymać? - Wsparty na jej ramieniu ruszył do drzwi. - Skryjmy się w mojej... w twojej... - Westchnął zdesperowany. - W naszej sypialni. Nikt nam tam nie powinien przeszkadzać i będziemy mogli spokojnie ustalić dalszy plan działania.

Podtrzymując go w pasie, skierowała się w głąb korytarza.

Cody nie wychylał nosa ze stodoły. Uznał, że opuści ją dopiero wtedy, gdy będzie miał pewność, iż wszyscy domownicy już śpią. Trochę z nudów, a trochę dlatego, że nie miał nic innego do roboty, zaczął się zastanawiać, co może mu ułatwić zadanie, którego się podjął.

Po pierwsze: to, że wie znacznie więcej niż ludzie żyjący sto lat wcześniej. Nie żeby to była jego zasługa; po prostu żył w bardziej oświeconych czasach. Powinien więc móc przechytryć wszystkich, nie wyłączając Eliego Watersona i Wilhelma Bauscha. Na myśl o tym uśmiechnął się szeroko. On, dziesięcioletni szczeniak, mógłby wywieść w pole dwóch geniuszy!

Po drugie: to, że zna rozkład domu jak własną kieszeń. Odkąd wprowadził się tu z mamą, zbadał wszystkie kąty, komórki i zakamarki. Wiedział, jak dostać się do środka nawet wtedy, gdy drzwi były pozamykane na klucz. Z zawiązanymi oczami potrafił dotrzeć do pokoju Bena.

Po trzecie: to, że ma przy sobie latarkę.

A po czwarte: to, że nikt się go nie spodziewa.

Główny kłopot polegał jednak na tym, że lekarstwo należało podawać choremu co cztery godziny przez określoną liczbę dni. Jeżeli z jakiegoś powodu chory nie otrzyma kolejnej dawki, kurację powinno się rozpocząć od nowa. W tym wypadku to nie wchodziło w grę; miał wystarczającą ilość leku na jedną kurację. A zatem musi przenieść Benjamina w jakieś bezpieczne miejsce, żeby przez kilka dni mogli być razem. I musi to zrobić jeszcze tej nocy.

Przez wiele godzin rozważał wszystkie za i przeciw. Wreszcie po północy, uzbroiwszy się w odwagę, opuścił stodołę i dotarł do szosy prowadzącej do miasteczka.

Szosa znajdowała się w opłakanym stanie - jeśli ten skrawek ubitej ziemi, zbyt wąski, aby mogły się na nim minąć dwa samochody, można uznać za szosę. Nawierzchni nie pokrywał asfalt czy choćby żużel. Na poboczu nie stały żadne znaki drogowe. Chociaż nie - stał jeden: drewniany słup z przybitą deską, na której ktoś napisał ROCKWELL. Koniec deski został spiłowany, tak by powstała strzałka wskazująca kierunek. Cody przyśpieszył kroku. Pomyślał sobie, że jeśli zmruży oczy i nie będzie zwracał uwagi na szczegóły, to znikną różnice pomiędzy tymi dwoma światami, starym i nowym. Tak się jednak nie stało. Tu było jakoś inaczej. Nawet powietrze miało inny zapach.

Nagle gdzieś niedaleko rozległ się jakiś stukot, łoskot, zgrzyt. Cody na moment znieruchomiał, po czym dał nura w rosnące przy drodze krzaki. Przykucnąwszy tam, obserwował szosę, doskonale widoczną w blasku księżyca.

Hałas narastał. Wreszcie, po paru minutach, pojawił

się sprawca zamieszania: wielki kary koń z klapkami na oczach ciągnący dużą, chybotliwą bryczkę. Cody pokręcił z niedowierzaniem głową, patrząc na koła o drewnianych szprychach i metalowych obręczach. Ależ to skrzypiało! Na obszytej brązowym aksamitem ławce siedziała elegancka para. Kobieta miała na sobie suknię w paski oraz kapelusz, na widok którego Cody'emu zrobiło się wesoło. Równie wesoło zrobiło mu się na widok długich podwiniętych wąsów mężczyzny, tak mocno nawoskowanych, że lśniły w świetle księżyca, oraz melonika na jego głowie.

Cody z trudem pohamował śmiech. To niesamowite, naprawdę cofnął się o sto lat! Kto by pomyślał?

Ale teraz czeka go rzecz znacznie bardziej skomplikowana. Musi uratować Bena. Poza nim nikt inny nie może tego dokonać.

W przeciwieństwie do Zacha, właściwie nie odczuwał żadnych dolegliwości spowodowanych przejściem przez wrota czasu. Może lekki ból głowy, który po godzinie czy dwóch minął bez śladu.

Rwał się więc do działania. Kiedy tylko bryczka odaliła się od krzaków, za którymi się schował, wrócił na drogę i jeszcze szybszym krokiem skierował się w stronę domu. Chciał jak najprędzej dotrzeć do Bena. Dom zagrożony był w ciemnościach; jedynie w pokoju Bena paliła się lampa. Nie czyniąc najmniejszego szmeru, Cody obszedł budynek, rozejrzał się dokładnie wkoło, po czym schylił się, by podnieść klapę, za którą znajdowały się schody prowadzące do piwnicy. Mama zawsze zamykała klapę na kłódkę, ale widocznie sto lat temu nie obawiano

się złodziei. Kłapa głośno zaskrzypiała. Cody moment odczekał, następnie wszedł do piwnicy, wyjął z kieszeni latarkę i zatrzasnął kłapę.

Nie zamierzał tracić czasu na zwiedzanie. Zresztą nie było tu nic ciekawego do oglądania - ot, ciemne ponure wnętrza. W jego obecnym domu w piwnicy stała pralka, suszarka oraz mały zgrabny piecyk, który ogrzewał pomieszczenia na parterze i piętrze. Tu zaś stał ogromny żelazny piec pełen szpar, przez które widać było buchający wewnątrz ogień.

Oświetlając sobie drogę latarką, Cody wszedł na palcach po schodach. Od kuchni dzieliły go drzwi, które zamykane były na haczyk. Przynajmniej w jego czasach. Miał nadzieję, że tak samo zamykane były sto lat wcześniej, bo wtedy bez trudu sobie z nimi poradzi. Przećwiczyl to któregoś dnia, kiedy bawił się z kolegami w chowanego. Przystanąwszy przy drzwiach, przez moment nasłuchiwał. Z kieszeni dzinsów wydobył plastikową kartę biblioteczną, którą wsunął w szparę między drzwiami a framugą. Wolno ciągnął ją do góry, aż wyczuł opór. Wystarczyło jedno mocniejsze szarpnięcie, aby unieść haczyk. Po chwili drzwi były otwarte.

Nacisnął klamkę i wszedł do kuchni. Było ciemno jak w grobowcu. Całe szczęście, że znał rozkład domu. Zgasiwszy latarkę, schował ją z powrotem do kieszeni. Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, ruszył do jadalni, stamtąd przeszedł do salonu, a potem cicho, na palcach, zbliżył się do schodów. Nagle wydało mu się, że ktoś kraży w jednym z pokoi na górze. Zastygł bez ruchu i wyteżył słuch. Po chwili jednak uznał, że to wyobraźnia płata mu figla.

Wszedł po schodach i skręcił w stronę sypialni Bena. Wtem zamarł. Zza drzwi dobiegły go głosy, a sekundę później kroki. Niewiele się namyślając, Cody puścił się pędem i skrył w szafie ściennej.

Jane czuła ucisk w gardle. Stała bez słowa, wpatrując się w bladego chłopczyka o podkrążonych oczach. Benjamin spał, oddychając ciężko. Obok, na twardym drewnianym krześle, spała jakaś kobieta. Jane widziała tylko tył jej siwej głowy, pulchne ramiona i rękę ściskającą rączkę dziecka. Zastanawiała się, jak ma zareagować, kiedy kobieta obudzi się i zobaczy w pokoju nieznaną sobie osobę. Nie musiała się długo zastanawiać, bo nagle śpiąca obróciła się i zdziwiona wytrzeszczyła oczy.

- Kim pani jest? Jak się pani tu...

Jane uspokajającym gestem podniosła dłoń.

- Wszystko w porządku, pani Haversham. Jestem przyjaciółką Zachariaha. Nie wie pani, gdzie go mogę znaleźć?

Siwowłosa kobieta wstała i wygładziła sięgającą ziemi spódnice, która trochę się pogniotła.

- Nie mam pojęcia, dokąd poszedł.

Jane zmarszczyła czoło. Ani ona, ani Zach nie wiedzieli, czego się mogą spodziewać. Na myśl o tym, że mogłaby się natknąć się na drugiego Zacha, który jej nie znał, zakręciło się jej w głowie.

- A nie domyśla się pani? To bardzo ważne. W domu na pewno go nie ma?

- Gdyby był w domu, siedziałby przy łóżku syna - odparła staruszka; warga jej zadrżała. - Od paru dni się

stąd nie ruszał. Nic nie jadł, prawie w ogóle nie spał... Nie, w domu na pewno go nie ma. Zniknął bez śladu. Musiało przydarzyć mu się jakieś nieszczęście.

Nerwowo międliła w dłoniach fartuch.

Jane podeszła bliżej i delikatnie położyła rękę na jej ramieniu.

- Niech się pani tak nie martwi, pani Haversham. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Ale... chciałam panią o coś spytać. Szukam mojego syna, Cody'ego. Na moment straciłam go z oczu i...

- To pani syn? - spytała staruszka, wyraźnie już spokojniejsza. - Ten chłopiec, który wygląda jak starszy i zdrowszy brat bliźniak naszego Benjamina?

- Tak! - ucieszyła się Jane. - Jest tutaj?

- Obawiam się, że nie. To znaczy był, ale dużo wcześniej. Olaboga, czyżby nie wrócił do domu?

Jane zamknęła oczy, starając się powstrzymać łzy.

- Nie.

- O Boże, Boże. - Staruszka potrząsnęła głową. - Chłopiec był wyraźnie przejęty, że nie pozwoliliśmy mu zobaczyć się z Benem. Wybiegł z pokoju jak oparzony, ale nie wiem dokąd. Proszę, niech pani nie będzie taka smutna. Myślę, że lada moment wróci do domu. - Nagle ze zdziwieniem popatrzyła na strój Jane, džinsy i T-shirt. - Swoją drogą, gdzie jest wasz dom? Jeśli wolno spytać... Skany Anula43, przerobienie pona.

- Daleko stąd - odparła Jane.

Miała ochotę oprzeć głowę na ramieniu staruszki i wybuchnąć płaczem, lecz wiedziała, że musi być silna. Choć jej dziecko krążyło samotnie po obcym sobie świecie,

ona, jego matka, nie mogła wpaść w panikę ani pozwolić sobie na moment słabości. Musiała się skupić, zająć sprawami wymagającymi natychmiastowej uwagi.

Jeżeli w domu przebywa jednocześnie dwóch Zachariahów Boltonów i jeśli przypadkiem się spotkają...

- Proszę mi powiedzieć, kiedy pani zauważyła nieobecność Zacha?

Łzy nabiegły starszycie do oczu.

- Mniej więcej godzinę temu. Weszłam sprawdzić, czy Benjamin niczego nie potrzebuje i nagle zobaczyłam pusty fotel. Wiedziałam, że coś złego się stało. Pan Zachariah całymi dniami tu przesiadywał; odchodził tylko wtedy, gdy trzeba było wezwać doktora Bakera. - Wbiła w Jane bezradne spojrzenie. - Przeszukałam cały dom, wszystkie pokoje, ale nigdzie pana Zachariaha nie znalazłam. Nikt nie widział, kiedy wychodził. Błagam, jeśli pani wie, gdzie on może być...

- Tu jestem, pani Haversham.

W drzwiach sypialni pojawił się Zach. Jane gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie była pewna, na którego Zacha patrzy. Napotykając jej wzrok, skinął głową.

- Witaj, Jane.

Oddechnęła z ulgą. Poczowała, jak mięśnie jej wiotczeją.

- Pan Zachariah? Na miłość boską! - zawołała starszycie. - Umierałam ze strachu, że coś się panu przytrafiło!

- Najmocniej panią przepraszam, pani Haversham. Ale już wszystko dobrze. Jestem i teraz tu zostanę. Niech pani wraca spać. Na pewno przyda się pani odpoczynek.

Pani Haversham popatrzyła z z troskaniem na śpiące dziecko.

- Dobrze, pójdę. Ale jeśli będę potrzebna, proszę mnie zawołać.

- Oczywiście.

Zach uściskał staruszkę i odprowadził ją do drzwi, po czym wrócił do łóżka chorego syna i zamknął oczy.

Jane chciała podejść do niego, pogłodzić go po twarzy, poczuć wokół siebie jego ramiona, usłyszeć głos zapewniający ją, że Cody'emu nic nie jest, że już wkrótce go znajdą. Ale gdy tak stał przybity, z wzrokiem utkwionym w śpiącą bladą twarzyczkę, nie nadawał się na pocieszyciela. Raczej to jemu należało dodać otuchy.

- Co z Codym? - spytał, nie odrywając oczu od Bena.

- Był tu - odparła - ale gdzieś wybiegł. Zach, dokąd mógł pójść?

- Nie wiem.

Zrobił krok w stronę krzesła. Już miał zamiar usiąść, kiedy Jane chwyciła go za łokieć.

- Nie, Zach. Nie możesz siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak z Bena ulatuje życie. Nie pozwalam ci. Musimy odnaleźć Cody'ego.

- Mój syn umiera... - mruknął, uwalniając łokieć.

- A mój ma lekarstwo, które go uzdrowi.

. Potrzęsnał głową, jakby na moment stracił pamięć.

- Masz rację. - Westchnął. - Oczywiście, masz rację.

Jane zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

- Nic z tego nie pojmuję. Mieliśmy się cofnąć do dnia poprzedzającego twoje zniknięcie. Czyli powinieneś tu być. Drugi Zach powinien siedzieć przy synu. Prawda? Więc dlaczego go nie ma? Dlaczego... - Przeczesała rękami włosy. - Wszystko mi się płacze.

- Wiesz, Jane, wydaje mi się rzeczą fizycznie niemożliwą, aby człowiek mógł przebywać jednocześnie w dwóch miejscach. Innymi słowy, nie mógłbym być zarówno tu, jak i w sypialni na końcu korytarza.

- No dobrze, w takim razie gdzie... gdzie się podział drugi Zach?

Podszedł do okna. Odśloniwszy zasłonkę, przez chwilę się w coś wpatrywał.

- Nie wiem, Ale jedno wiem ponad wszelką wątpliwość: że jest to dzień poprzedzający moją podróż do twojego świata.

Stanąła obok niego i też wyjrzała na zewnątrz.

- Skąd masz tę pewność?

- Tamtego wieczoru szalała burza z piorunami. Widzisz stodołę? - Wskazał widoczny w oddali stary zniszczony budynek. - Uderzyła w niego błyskawica. Mniej więcej koło dziewiątej. Godzinę później zostały same zgliszcza.

Przygryzła wargi.

- No dobrze, czyli wiemy, jaki jest dzień. Wiemy także, że nasze przybycie spowodowało zniknięcie tutejszego Zacha.

- On nie wyparował, Jane. Mam wrażenie, że... złączyliśmy się w jedno. To dziwne, pamiętam każdy szczegół wędrówki do twojego świata, ale pamiętam również, jak godzinę temu trzymałem syna za rękę i modliłem się o cud.

Po plecach Jane przebiegł dreszcz.

- Ojciec?

Oboje odwrócili się od okna. Zach w dwóch susach znalazł się przy łóżku i zgarnął syna w ramiona.

- Przepraszam, syneczku. Obudziliśmy cię?
- Nie. Boli mnie głowa. Chyba to mnie obudziło.

Jane z przerażeniem zwróciła uwagę na chude rączki dziecka i jego przeraźliwą bladość.

- Zaraz przyniosę lekarstwo - powiedział Zach, delikatnie głaszcząc syna po policzku. - I wiesz co? Zmieszam je z gorącą czekoladą. Zobaczysz, jakie będzie pyszne.

Benjamin uśmiechnął się i oparł o poduszki.

- Kocham cię, ojcze.
- A ja ciebie, mój malutki. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

Nagle chłopiec skierował spojrzenie na Jane; najpierw zmrużył oczy, jakby nad czymś dumał, a potem otworzył je szeroko.

- Czy to ty? To ty nią jesteś?

Jane zerknęła pytająco na Zacha, ale on potrząsnął głową. Podobnie jak ona, nie miał pojęcia, o czym Ben mówi.

- Czy kim jestem, kochanie?
- Moją mamą! Tą, o którą prosiłem, kiedy widziałem spadające gwiazdy! Czułem, że moje marzenie się spełni. I się spełniło! W dodatku jesteś taka ładna... - Urwał. Jego chudym ciałkiem wstrząsnął atak kaszlu.

Jane nie wytrzymała. Kucnęła przy łóżku, podciągnęła chłopca do pozycji siedzącej i zaczęła pocierać mu plecy. Kiedy tylko atak kaszlu minął, Ben zarzucił ręce wokół jej szyi.

- Będę grzeczny, mamó. Przrzekam.

Jane przytuliła go do siebie i długo nie puszczała. Nie chciała, żeby takie małe, śmiertelnie chore dziecko oglą-

dało łzy, które strumieniem lały się jej po twarzy. Ale przed Zachem nie mogła ich ukryć. Zresztą, kiedy napotkała jego wzrok, on też miał oczy czerwone jak królik.

Dopiero po paru minutach zdołała wziąć się w garść. Wierzchem dłoni otarła policzki, po czym delikatnie położyła Bena z powrotem na łóżko.

- Możesz iść, ojciec - powiedział cicho, zamykając oczy. - Teraz już wiem, że nic mi nie będzie. Możesz więc iść i przynieść mi to lekarstwo z czekoladą.

Zach skinął na Jane, wskazując głową korytarz. Wstała z ociąganiem z łóżka i skierowała się do wyjścia. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że musi być jakiś sposób na to, aby uratować zarówno Cody'ego, jak i Benjamina. I zamierzała go znaleźć.

Zeszli na dół do kuchni. Zach postawił na piecu czajnik, po czym dorzucił do ognia dwie szczapki drewna. Przez chwilę stał nieruchomo, z głową nisko zwieszoną, wpatrzony w ścianę.

Jane podeszła do niego od tyłu, objęła go w pasie, przytknęła twarz do jego pleców.

- Zobaczysz, Zach, wszystko będzie dobrze. Twój synek wyzdrowieje. Obiecuję ci to.

Rozumiała jego rozpacz i łzy.

Odwrócił się przodem i otoczywszy ją ramieniem, przytulił mocno do siebie.

- Tak, on musi wyzdrowieć - szepnął. - Po prostu musi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cody odczekał, aż ucichnie odgłos kroków. Ktokolwiek był w pokoju Bena, właśnie zszedł na dół. Nareszcie mógł przystąpić do działania. Ostrożnie wyłonił się z ukrycia i sprawdziwszy, że nikogo nie ma na korytarzu, pobiegł do pokoju chorego chłopca. Wpadł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Benjamin usiadł na łóżku, mrugając oczami. Choć sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, na widok niespodziewanego gościa uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, Ben. - Cody podszedł do łóżka. Czuł się trochę niezręcznie; nie wiedział, jak się zachować ani co powiedzieć. - Jestem...

- Moim drugim życzeniem?

- Cody Fortune - dokończył Cody, wyciągając na powitanie rękę.

Ben popatrzył na nią smutno i pokręcił głową.

- Lepiej nie - rzekł. - Jestem chory, więc...

- Wiem. - Cody usiadł na stojącym obok drewnianym krześle. - Ja też chorowałem na kwinarię. Nie można drugi raz zarazić się tym samym.

- Serio?

- Tak.

- Naprawdę chorowałeś na to, co ja? I nic ci nie jest? Wyzdrowiałeś?

- No pewnie.

W oczach Bena odmalowało się zdziwienie.

- Mój tata również przechodził kwinarię. I też wyzdrowiał. Ale to się rzadko zdarza. Słyszałem, jak dorośli rozmawiali na ten temat.

- E tam, oni nic nie wiedzą. - Cody zerknął pośpiesznie na drzwi. - Istnieje lekarstwo, które może cię wyleczyć. Ale poza mną nikt tu o nim nie wie.

Ben zacisnął powieki.

- Oj, chciałbym, żeby to była prawda - szepnął. - Tak strasznie męczy mnie ta choroba.

- Ależ to jest prawda, Ben. - Z kieszeni džinsów Cody wydobyl niedużą plastikową buteleczkę. - Zobacz. W środku są kapsułki tryptoniny. Zdobyte specjalnie dla ciebie. Dałbym ci je wcześniej, ale taka starsza pani nie pozwoliła mi nawet podejść do łóżka.

- Bo nikomu nie wolno tu wchodzić, oczywiście poza lekarzami, moim tatą i panią Haversham. Od tygodni widuję samych dorosłych. - Ben utkwiał spojrzenie w pojemniku z lekami. - Moje trzecie życzenie - szepnął, po czym popatrzył ufnie na Cody'ego. - Naprawdę wyzdrowieję?

- Tak. Ale musisz jak najszybciej zacząć kurację. Jedna kapsułka co cztery godziny. Tylko nie wolno żadnej przegapić, bo wtedy cała kuracja pójdzie na marne.

Ben przygryzł wargę.

- Nie wiem, jak to zrobić, bo widzisz, ja dużo śpię. I boję się, że mogę przespać porę brania leku. Może lepiej uprzedzić kogoś z dorosłych...

- O nie! Oni na pewno mi nie uwierzą. Powiedzą, że kłamię. Hm, nie dam rady zaglądać do ciebie co cztery godziny. Poprzednim razem, kiedy chciałem wejść, zagrozili, że wezwą gliniarzy.

- Gliniarzy?

- No, tego tam... szeryfa. Wiesz co? Trochę się nad tym zastanawiałem i właściwie widzę tylko jedno wyjście.

- Jakie? Zrobię wszystko, żeby wydobrzeć!

- Musisz uciec z domu. - Cody uznał, że trzeba działać szybko, zanim ktoś przyjdzie na górę i wytarga go za uszy. - Teraz. Dziś. Znam miejsce, gdzie możemy się ukryć. Będę się tobą opiekował, pilnował, żebyś o wyznaczonej porze łykał lekarstwo.

Ben wytrzeszczył oczy, po czym wziął głęboki oddech i pokręcił niepewnie głową.

- No, sam nie wiem. Jak długo musiałbym się ukrywać?

- Dwa dni. Kapsułki trzeba zażywać dłużej, ale po dwóch dniach poczujesz się na tyle dobrze, że będą musieli nam uwierzyć. A nawet jeśli nie uwierzą, to dalej poradzisz już sobie sam.

- Tata będzie zrozpaczony, kiedy przyjdzie na górę i zobaczy, że mnie nie ma.

- Ale wyobraź sobie, jak się ucieszy, kiedy wrócisz silny i zdrowy.

Ben uśmiechnął się.

- Tak, to by było coś.

- Musimy się pośpieszyć - rzekł Cody. - Wymknąć się na dwór, zanim ktokolwiek tu zajrzy.

- Jestem strasznie słaby - zmartwił się młodszy chłopiec.

- Jeśli trzeba, wezmę cię na barana. No, wstawaj. Tylko ubierz się ciepło. Aha, koc też się przyda. - Mówiąc to, Cody wyjął z buteleczki lekarstwo. Buteleczkę schował z powrotem do kieszeni, a kapsułkę podał Benowi. - Lepiej od razu łyknij. Po prostu popij wodą.

Z dzbanka stojącego na stoliku nocnym nalał wody do szklanki. Ben posłusznie włożył lekarstwo do ust. Trzy razy próbował je popić, za trzecim razem aż się Zakrzusił, ale wreszcie mu się udało. Po chwili spuścił z łóżka nogi.

- Ubranie mam tam - powiedział, wskazując stojącą pod ścianą ogromną szafę.

Cody wyjął ze środka gruby wełniany sweter oraz spodnie. Podał je Benowi. Chory ubierał się powoli, niezdarnie; kiedy skończył, opadł na łóżko, oddychając ciężko.

- Ty rzeczywiście jesteś dętka - stwierdził Cody. Uklękawszy, nasunął Benowi skarpety, potem wciągnął mu na nogi parę dziwacznych, zapinanych na guziki butów. Wrócił do szafy po płaszcz. - No dobra. Jesteśmy gotowi.

- Weź jeszcze sweter dla siebie. Mam taki jeden, sporo za duży. Będzie na ciebie w sam raz.

Cody znalazł sweter, o którym Ben mówił, włożył go, po czym zwinął koc w rulon i chwycił go pod pachę.

- Idziemy?

- Tak.

Ledwo Ben zsunął się z łóżka, zakręciło mu się w głowie i o mało nie runął na podłogę. Cody stanął u boku młodszego kolegi i zarzucił sobie jego ramię wokół szyi.

- Nie martw się, Ben. Damy sobie radę. I wkrótce będziesz zdrowy jak ryba.

Otworzył drzwi i wyprowadził chorego z pokoju. Nie chciał iść schodami prowadzącymi do salonu; jeszcze się na kogoś natkną i co wtedy? Na szczęście znał rozkład domu i wiedział, że na końcu korytarza znajdują się wąskie schody prowadzące na podwórze.

Długo trwało, zanim dotarli na dół. Ale wreszcie się udało; powietrze było rześkie, noc gwiaździsta.

Benjamin wziął głęboki oddech.

- Boże, jak dawno nie byłem na dworze!

- I co? Podoba ci się?

- Tak. To gdzie jest ta twoja kryjówka, Cody?

- Kawalek dalej przy tej drodze stoi stodoła. W pobliżu nie ma żadnych innych zabudowań, więc nikt nam nie powinien przeszkadzać. A gdyby ktoś się nagle pojawił, to jest w niej mnóstwo różnych zakamarków, w których można się schować.

Ben wyteżył wzrok.

- Wątpię, czy... zdołam dojść tak daleko.

- Musisz, mały. Wiem, że może być ciężko, ale...

- Nie, poczekaj! Mam kuca. O tu, w tej szopie!

Cody obejrzał się zaskoczony. Faktycznie, zobaczył szopę. A przecież w 1997 roku w miejscu, na które Ben wskazywał, stał garaż, a nie szop. Podtrzymując chorego chłopca, przeszedł przez trawnik. Dwie minuty później zostawił Bena na stosie siana, a sam otworzył drzwi szopy.

Płowy kuc prychnął cicho na powitanie i potrząsnął grzywą. Cody poklepał zwierzę po szyi, po czym wyprowadził je na zewnątrz. Kuc podszedł prosto do Bena i trącił go pyskiem. Miał duże brązowe oczy, którymi

patrzył tak, jakby dokładnie wiedział, co się dzieje. Stał bez ruchu, czekając, aż Ben - z pomocą Cody'ego - go dosiądzie.

- Dobry konik - powiedział Cody, głaszcząc kuca po chrapach.

- Ma na imię Pete - wyjaśnił Ben.

- Zawsze chciałem mieć kuca.

- Ja też. Ale przez tę chorobę bardzo długo na nim nie jeździłem.

- To wreszcie znów masz okazję. - Cody zarzucił Benowi na plecy koc, którego końce związał mu pod brodą.

- W drogę! Wołaj, jeśli będziesz' chciał, żebym przystanął.

Trzymając konia za kantar, ruszył w stronę szosy i majaczącej w oddali stodoły. Boże, modlił się w duchu, spraw, abyśmy tylko nie natknęli się na żadnych ludzi czy bryczki, dopóki nie ukryje Bena.

Zach otworzył cicho drzwi. Jeśli Benjamin zasnął, nie chciał go budzić. Trochę to wszystko trwało - musiał rozpaść ogień, potem czekać, by mleko się nagrzało i czekolada roztopiła. W kuchni Jane przygotowanie gorącej czekolady zajmowało najwyżej dwie minuty, ale to były inne czasy. A w obecnych czasach Ben dobrze wiedział, że ojciec wróci na górę najwcześniej za kwadrans. Zach wszedł na palcach do sypialni syna i nagle zamarł - światło lampy naftowej padało na puste łóżko.

- Benjaminie! - zawołał, rozglądając się wkoło. Serce waliło mu młotem. - Synku, gdzie jesteś?

Do pokoju wpadła Jane. Usłyszał, jak wciaga gwałtownie powietrze.

- Zach? .

Popatrzył na nią, jakby szukał w jej oczach odpowiedzi, chociaż zdawał sobie sprawę, że podobnie jak on, ona też nie wie, gdzie się podział jego syn.

- Był za słaby, żeby o własnych siłach wstać z łóżka.

Postawił kubek na stoliku nocnym, po czym schylił się i zajrzał pod łóżko.

- Zach, szafa...

Odwrociwszy głowę, zobaczył, że drzwi szafy są uchylone. Chwycił lampę naftową i otworzył je szerzej.

- Na Boga! Nie ma płaszcza!

Narastał w nim coraz większy strach. Nagle poczuł, jak Jane zaciska rękę na jego ramieniu; jej dotyk miał dziwnie kojącą moc, jakby przekazywała mu swoją siłę i energię.

- Może znudziło mu się leżenie w łóżku - szepnęła. Jej głos miał takie same kojące działania, co ręka. - Może postanowił wyjść na dwór, pooddychać świeżym powietrzem.

- Jane, on ledwo trzymał się na nogach. Nie był w stanie zrobić samodzielnie trzech kroków.

- Sprawdzę pokoje na tym piętrze, a ty zejdz na dół i przeszukaj parter. Jeżeli go nie znajdziemy...

- Jeżeli go nie znajdziemy - przerwał jej Zach głosem tak ochrypłym, że ledwo można było zrozumieć poszczególne słowa - Ben umrze.

- Nie umrze. Wierz mi.

Chciał. Bardzo chciał jej wierzyć. Kiedy na niego patrzyła, kiedy go dotykała, wtedy strach go opuszczał. Ale kiedy był z dala od niej, kiedy krążył sam po parterze,

szukając swojego chorego syna, wtedy strach na nowo powracał. Przyszło mu do głowy, że Jane Fortune powinna być malutka, wielkości zapałki, żeby mógł ją wszędzie ze sobą zabierać, nosić wokół szyi niczym amulet. Kiedy z nim była, nabierał pewności siebie; gdy tylko się rozstawali, popadał w nastrój przygnębienia, w którym tkwił od miesięcy. Przeszukawszy pomieszczenia na parterze, wybiegł na zewnątrz. Okrzyknął dom, podwórze, potem zajrzał do pawilonu dla gości, na końcu skierował się do szopy.

Stał w otwartych drzwiach, przytrzymując je ręką, aby nie zatrzaskał ich wiatr, który z każdą minutą zdawał się przybierać na sile, i patrzył na pusty boks. Pete, kuc Bena, również znikł. Zach, całkiem zrezygnowany, powiodł wzrokiem po polach, po ciemnej pustej szosie i porośniętych lasami wzgórzach - Ben mógł być wszędzie. Po chwili puścił drzwi. Natychmiast zajął się nimi wiatr; jakby były zabawką, popychał je raz z prawej, raz z lewej, to je zatrzaśkiwał z hukiem, to otwierał, to znów zatrzaśkiwał.

- Nie poddawaj się, Zach. Znajdziemy Bena. Przyrzekam ci.

W głosie, który rozległ się nad jego uchem, usłyszał determinację, siłę i wiarę, że wszystko się dobrze zakończy. Tylko dzięki temu się nie załamał. Wprawdzie trudno mu było podzielać optymizm Jane, ale...

- Znikł koń Benjamin. Nic z tego nie rozumiem, Jane. Ben był za słaby, żeby chodzić. Za słaby, żeby jeździć. Boże kochany, a jeśli koń poniosł go do lasu? A jeśli Ben stracił przytomność i spadł? Może leży wśród chaszczy, obolały, przerażony, sam jak palec...

- Podejrzewam, że nie jest sam - oznajmiła, głaszcząc go po włosach. - Mam przeczucie, że jest z nim Cody.

Zach poderwał głowę i popatrzył jej w oczy. W jego sercu zaświtał promyk nadziei. Jeżeli chłopcy są razem...

- Dlaczego tak myślisz?

- Sam powiedziałaś, że o własnych siłach ledwo mógł ująć trzy kroki. Skoro tak, to nie wyobrażam sobie, aby zszedł po schodach, a potem jeszcze wdrapał się na koński grzbiet. A ty to sobie wyobrażasz?

Zadumał się. To, co mówiła Jane, brzmiało całkiem logicznie.

- Zastanów się - ciągnęła po chwili. - Kto inny pomógłby Benowi zejść na dół? Wiemy, że Cody podsłuchiwał naszą rozmowę. Dlatego postanowił skorzystać z twojego przenośnika. Bał się, że zrezygnujemy z próby ratowania Bena, że nie będziemy chcieli ingerować w przeszłość. Znam mojego syna, Zach. Ubzdurał sobie, że tylko on jeden może pomóc Benowi. Przed wyruszeniem zabrał z domu lekarstwo. Zamierza je dać Benowi. Może już dał mu pierwszą dawkę...

Uderzył ich zimny podmuch wiatru. Zach zadrżał, po czym wbił wzrok w czarne niebo.

- To tylko twoje domysły, Jane. Przecież nic nie wiesz na pewno...

- Nazwij to jak chcesz. Kobiecą intuicją. Matczynym przeczuciem. Ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewna, że chłopcy są razem i że Ben już łyknął pierwszą kapsułkę.

Zach zamknął oczy, czując, jak strach powoli go opu-

szcza. Wyobraził sobie Benjamin w jakimś spokojnym, ciepłym miejscu; chłopiec się nie boi, bo towarzyszy mu Cody Fortune, a pod wpływem lekarstwa, które dostał, powoli zaczyna zdrowieć.

Wiatr dał z coraz większą siłą.

- Ależ jest dziś zimno - mruknął Zach.

Nagle, słysząc dochodzące z domu głosy, otworzył oczy. Niemal w każdym oknie paliło się światło.

- Co się dzieje?

- Obudziłam panią Haversham i pokojówkę - wyjaśniła Jane. - One z kolei obudziły ogrodnika, który wyruszył do miasta po pomoc. W ciągu godziny zorganizujemy dwie ekipy poszukiwawcze. Nie martw się, Zach; znajdziemy chłopców. Pewnie siedzą gdzieś przyczajeni i nawet do głowy im nie przyszło, że ktoś się może de-nerwować ich nieobecnością.

Zach westchnął głęboko.

- Jesteś wspaniała. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Objęci, skierowali się do domu.

W oddali zagrzmiało. Targane wiatrem jedwabiste włosy Jane łaskotały Zacha po twarzy.

- Psiakość, nadciąga burza. Musimy się pospieszyć, Jane. To będzie prawdziwa nawałnica.

Wiedział, co mówi, bo z okna domu - zanim przeniósł się do świata Jane - obserwował, jak niebo raz po raz przecinają błyskawice. Na myśl o Benjaminie wystawionym na działanie tak potężnych sił przyrody zakręciło mu się w głowie. Jane zadrzała. Domyślił się, że ją też zżera niepokój. Ale udawała silną; robiła dobrą minę do złej gry.

- Szkoda, że nie wzięliśmy lampy.

Ben leżał na sianie, przykryty grubym kocem. Cody siedział obok. Był senny, ale nie miał odwagi się położyć. Bał się, że mógłby zasnąć i przegapić porę podania Benowi kolejnej kapsułki. Kapsułek w buteleczce starczało akurat na jedną kurację. Gdyby trzeba było zaczynać od nowa... Nie, wołał o tym nie myśleć. Po prostu nie może dopuścić do tego, aby zmorzył go sen.

- A po co nam jakaś stara lampa naftowa? - spytał, siląc się na wesołość. Wiedział, że Ben jest śmiertelnie przerażony i wcale mu się nie dziwił. - Mam coś znacznie lepszego. Zobacz. - Wydobył z kieszeni małą latareczkę i włączył ją.

- O rany! - zawołał Ben. - Co to?

- Latarka - wyjaśnił Cody, wręczając młodszemu koledze swój najcenniejszy skarb.

Ucieszył się, widząc, że Ben przestał nasłuchiwać grzmotów i dygotać ze strachu.

- Jak to działa?

- Na baterię, która siedzi w środku i jest źródłem energii. Pokażę ci ją, jak zrobi się trochę jaśniej.

- Serio?

- No pewnie. Nawet pozwolę ci samemu rozkręcić latarkę.

Po raz pierwszy od wyjścia z domu Ben uśmiechnął się od ucha do ucha. Wąski promyk światła z latarki rozświetlił jego szczerbatą buzię. Kuc, który stał obok, skubiąc siano, podniósł łeb i prychnął.

- Oho, zobacz! Pete się boi! - zawołał z rozbawieniem Ben.

Jeszcze przez chwilę obracał w dłoni latarkę, aż ją niechcący zgasił.

- Lepiej oszczędzajmy baterię - powiedział Cody. - Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Ben ułożył się z powrotem na sianie i przykrył kocem. Przyciskał latarkę do piersi, jakby to był kosztowny brylant.

- Śpij, mały. Sen dobrze ci zrobi.

Na zewnątrz strzelił piorun. Huk wstrząsnął stodołą. Ben odruchowo zacisnął rękę na ramieniu Cody'ego.

- Nie... nie odejdziesz? Nie zostawisz mnie?

- Oszalałeś? Nie mam zamiaru się nigdzie ruszać. Wiesz co? Zdradzę ci pewną tajemnicę. Całe życie marzyłem o tym, żeby mieć młodszego brata.

- Naprawdę? - Głos chorego chłopca brzmiał sennie.
- To śmieszne.

- Dlaczego?

- Bo ja całe życie marzyłem o starszym bracie. - Ben przekręcił się na bok. - Masz może scyzoryk?

- A co? - spytał Cody. Miał scyzoryk, ale wolał się nie przyznawać, domyślał się bowiem, o co Benowi chodzi.

- Niektóre dzieciaki przecinają sobie palce, potem pocierają je razem, żeby ich krew się wymieszała, i składają przysięgę. Od tej pory łączy ich braterstwo krwi.

- Myślałem, że to powiesz - przyznał Cody. Przygryzł wargi, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji. Uważał, że to zły pomysł, aby ktoś tak chory jak Ben ciął sobie palec brudnym starym scyzorykiem. - Tam, skąd ja pochodzę, niektórzy robią to samo. Ale znam też inny sposób.

- Jaki?
- A co? Chcesz mnie za swojego brata, Ben?
- Och, tak. To znaczy, jeśli ty tego też chcesz.
- Czy chcę? A kto ci przed chwilą powiedział, że całe życie marzył o tym, żeby mieć młodszego brata? - spytał Cody. I w ciemnej stodole zobaczył błysk zębów. - No dobra, słuchaj uważnie. Najpierw każdy pluje w swoją dłoń...

Obaj splunęli.

- Potem podajemy sobie grabule.

Przez ułamek sekundy szukali w mroku swoich rąk. Wreszcie je znaleźli.

- A na końcu składamy przysięgę. Ja, Cody Fortune, uroczycie przysięgam, że począwszy od dziś Benjamin Bolton jest moim młodszym bratem i zawsze będziemy trzymać się razem. - Cody wymyślił przysięgę na poczekaniu, ale wypowiedział ją z pełną powagą. - Teraz twoja kolej, Ben.

Ben usiadł.

- Ja, Benjamin Bolton, uroczycie przysięgam, że...
- Począwszy od dziś... - podpowiedział mu Cody.
- ...począwszy od dziś Cody Fortune jest moim...
moim starszym bratem i zawsze... będziemy trzymać się razem.

Cody miał wrażenie, że pod koniec przysięgi Ben tak bardzo się wzruszył, że ledwo mógł mówić. Sam oczywiście za nic w świecie by się do tego nie przyznał, ale składając przysięgę, też czuł ucisk w gardle.

- To wszystko - rzekł. - Od teraz łączy nas prawdziwie braterska więź.

- Serio?

- Słowo honoru. Złożyliśmy przysięgę.

Ben opadł z powrotem na swoje prowizoryczne łożo, nadal jednak nie puszczał ręki Cody'ego.

- I nie zostawisz mnie?

- No co ty! A przysięga? Bracia zawsze trzymają się razem. A teraz idź spać. Na pewno nigdzie nie odejdę.

- Dzięki, Cody.

Po paru minutach Cody usłyszał chrapliwy, choć równomierny oddech - domyślił się, że jego młodszy brat zasnął. Wsunął rękę do kieszeni i zacisnął ją wokół pojemnika z tryptoniną.

- Masz podzielać - szepnął. - Słyszysz? Masz Bena uzdrowić.

Przemoczeni do suchej nitki mężczyźni wrócili do domu Zacha, żeby napić się kawy i ogrzać przy piecu. Krople wody kapały im z kapeluszy i ciekły po płaszcach przeciwdeszczowych. Przez kilka godzin przeczesywali lasy i przydrożne rowy, sprawdzali ławki i parki w miasteczku, wszystko na nic. Nikt nie trafił na ślad chłopców. A potem rozszalała się burza. Powoli zaczęli schodzić się w miejsce zbiórki, mokrzy, posepni, lecz gotowi wyjść na deszcz i dalej prowadzić penetrację terenu.

Zach z uwagą wysłuchiwał kolejnych relacji. Sam też miał na sobie odzież nadającą się do wyżęcia. Podczas gdy pani Haversham dolewała kawy zziębniętym ludziom, Jane zaciągnęła Zacha do salonu i wskazała mu fotel przy rozpalonym kominku.

- Odpocznij chwilę - szepnęła, podając mu kubek

gorącego napoju. - I koniecznie włóż suchy płaszcz. Ale najpierw wypij, rozgrzejesz się.

- Nie mam czasu, Jane - odparł, nie patrząc jej w oczy. Spoglądał w płomienie, które syczały, jakby chciały powiedzieć mu coś ważnego.

- Na niewiele się przydasz Benjaminowi, jeśli padniesz z wyczerpania. Proszę cię, Zach, zrób sobie pięciominutową przerwę. Ogrzej się, wypij kawę. A potem znów zaczniemy szukać.

Oderwawszy wzrok od kominka, utkwiał go w jej twarzy.

- Jak ty to wytrzymujesz, Jane? Skąd czerpiesz siłę? Przecież wiem, że martwisz się o Cody'ego nie mniej niż ja o Bena. Powinnaś szlochać, rwać włosy z głowy...

- Później powyrywam. Kiedy ich odnajdziemy.

Przez moment przyglądał się jej w milczeniu.

- Nigdy w życiu nie spotkałem drugiej takiej kobiety jak ty, Jane. Wiem, że się powtarzam, ale chciałbym, abyś mi uwierzyła. Jesteś naprawdę wyjątkowa.

Opuściła głowę.

- A znałeś ich wiele, prawda?

- Dziesiątki.

Zabolały ją te „dziesiątki”, mimo że już wcześniej o nich wiedziała. To śmieszne, przemknęło jej przez myśl. Czyżby była zazdrosna?

- Dlaczego? - spytała.

- Co dlaczego? Dlaczego w ten sposób zaspakajam swoje potrzeby? To proste. Uważam, że fizyczne napięcie należy rozładować.

- A uczucie? Z żadną cię nic nie łączyło?

- Nie, nigdy. Aż do chwili, gdy...
- A... z twoją żoną? Matką Benamina?

Zorientowała się, że musiała trafić w jakiś czuły punkt, bo Zach szybko odwrócił spojrzenie.

- Kochałeś ją, prawda?

- Claudia... - Urwał. - Matka Bena nie była moją żoną.

W jej oczach najpierw pojawiło się zdziwienie, a potem rozczarowanie. Czyżby Zach był taki sam jak Greg? Wielka miłość, a z chwilą gdy kobieta zachodzi w ciążę, on...

- Miała męża - ciągnął cicho. - Bardzo starego, bardzo bogatego impotentą. Ja byłem młody i głupi; schlebiała mi jej atencja. Naiwnie wierzyłem, że jestem dla niej czymś więcej niż miłą rozrywką, sposobem na zabicie nudy.

- Czyli jednak ją kochałeś?

- Tak mi się wydawało. Ale jak mówię, byłem młody; miałem w głowie więcej informacji zdobytych z książek niż rozsądku czy mądrości życiowej. Nie dorobiłem się jeszcze pieniędzy ani pozycji społecznej. Claudii natomiast niczego nie brakowało. Traktowała mnie jak zabawkę. Kiedy okazało się, że jest w odmiennym stanie, wyjechała w odwiedziny do ciotki mieszkającej za granicą. Przynajmniej tak mówiono w miasteczku. Urodziła dziecko z dala od swojego kręgu znajomych. Nikt o niczym nie wiedział, nawet jej mąż. Dziecko dostarczono mi pod drzwi z listem, w którym Claudia napisała, że nie życzy sobie mieć ze mną żadnych kontaktów, a jeśli komukolwiek wspomnę, że to ona jest matką dziecka,

postara się mnie zrujnować. Wiedziałem, że nie jest to czcza pogroźka.

Jane słyszała gorycz w jego głosie, widziała ból i rozżalenie w oczach.

- Złamała ci serce, prawda, Zach?

Wzruszył ramionami.

- Dała mi bolesną, lecz cenną nauzkę. Niedawno owdowiała. Może życie w samotności, bez nikogo bliskiego, też ją czegoś nauczy.

- Stałeś się taki jak ona, Zach. Zamknąłeś serce przed prawdziwym uczuciem. Uznałeś, że wystarczą ci nic nie znaczące, przelotne romanse.

Zadumała się. A ona? Czy to, co ją z nim łączyło, też było romansem bez znaczenia? Miłą igraszka, jaką zafundowało sobie dwoje wolnych, dorosłych ludzi? Nie, na pewno nie. Ich związek cechowała nie tyle żądza fizyczna, co chaos psychiczny. Wspólne cierpienie. Nie mieli u kogo szukać ratunku czy pocieszenia, więc szukali u siebie.

- Ale w przeciwieństwie do ciebie, Jane, przynajmniej nie odciąłem się od świata.

- Tak, próbowałam się odciąć, wznieść wokół siebie mur - przyznała cicho. - Ale ty go zburzyłeś.

Odstawił kubek i wstał.

- Jane... - Zacisnął ręce na jej ramionach.

Nagle drzwi frontowe się otworzyły i do środka wpadł ociekający deszczem mężczyzna. Burza z minuty na minutę przybierała na sile. Ciężkie ołowiane chmury z nową energią kłębiły się na niebie.

- Widziałem coś! - krzyknął nowo przybyły, zsuwa-

jąc z głowy kaptur. - Takie dziwne światło w stodole starego Thomasa!

Zach zamarł bez ruchu.

- W stodole starego... - Obróciwszy się, wbił wzrok w zegar tykający głośno nad kominkiem. Było dokładnie osiem minut po dziewiątej. - O Boże! - szepnął. - Łada chwila w tę stodołę...

Nie dokończył. Oślepiający błysk przecięł nocne niebo. Zach skoczył do drzwi, potrącając przybysza, i wybiegł na zewnątrz. Lało jak z cebra. Jane rzuciła się za nim- Skierowała spojrzenie tam, gdzie patrzył Zach. Jakieś pięć kilometrów od domu stała stara nie używana stodoła; raptem na jej dachu pojawiły się małe języki ognia.

- Nie, tylko nie to... - szepnął Zach.

Spokój Jane prysł jak bańka mydlana. Maskę, którą przywdziała, rozpadła się na drobne kawałki. Przeraźliwy krzyk wyrwał się jej z piersi i targnął powietrzem. Padła na kolana, nie zważając na zimny wiatr, gwałtowny deszcz czy kałuże, i zaczęła szlochać.

- Cody! Boże, nie zabieraj mi dziecka!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy uświadomiła sobie, że stodoła widoczna w oddali jest tą samą starą stodołą, o której wcześniej mówił Zach, doznała szoku i poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach. Według słów Zacha, w ciągu dosłownie godziny budynek znikł z powierzchni ziemi. Wcześniej się tym nie przejęła, ot, jakaś stodoła spłonęła, ale teraz...

Niewykluczone, że w stodole są ich synowie, Cody i Ben. Może śpią na sianie. Może nie zdają sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Może...

Stała bezradnie w rześistym deszczu, patrząc, jak Zach chwyta wodze i wskakuje na grzbiet zmokniętego konia. Po chwili koń gnał galopem. Wymijając na wąskiej drodze nadjeżdżającą bryczkę, o mało nie zepchnął jej na pobocze. Kilka sekund później koń z jeźdźcem zniknęli w rozdzieranym błyskawicami mroku nocy.

Bryczka zatrzymała się przed domem. Ze środka wysiadła kobieta; najpierw popatrzyła w kierunku, w którym oddalił się Zach, po czym ruszyła w stronę schodów, na których stała Jane. Niewiele brakowało, aby stratował ją tłum podekscytowanych mężczyzn, którzy wybiegli z domu, zorientowawszy się, że Zach może potrzebować pomocy. Mężczyźni dosiedli koni. Wkrótce tętent galopujących kopyt zagłuszył odgłosy burzy.

- Co się dzieje? - spytała kobieta.

Widząc, że Jane jest nieobecna myślami, potrząsnęła ją za ramiona. Niewiele to dało. Im bardziej tętent koni cichł w oddali, tym bardziej wzmagало się wycie wiatru i nie kończące się grzmoty.

- Pytałam, co się dzieje. W całym miasteczku wrze. Ludzie powiadają, że dziecko zginęło...

Kobieta urwała. Zamknęła oczy i przygryzła wargi.

Jane oderwała wzrok od płonącej stodoły i przyjrzała się obcej. Spod kaptura granatowej peleryny zwisały mokre od deszczu blond loki. Kobieta, która wysiadła z bryczki, była piękna. Była też bardzo przejęta i wystraszona, ale swój strach próbowała ukryć.

- To ty jesteś... - szepnęła Jane. - To ty...

Kobieta wytrzeszczyła oczy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zaprotestowała. - Po prostu mieszkam niedaleko i przyjechałam zobaczyć, co się stało. - Przeniosła spojrzeniem z twarzy Jane na jej mokrą koszulkę i dżinsy. - A ciebie nie widziałam dotąd w naszym miasteczku. Skąd przybywasz? Kim jesteś?

Jane westchnęła cicho. Nic dziwnego, że Zach stracił dla Claudii głowę. Była piękna jak bogini; miała wspaniale zarysowane kości policzkowe, pełne usta, ogromne zielone oczy. Podziwiając jej urodę, Jane poczuła, jak narasta w niej niechęć i zazdrość. Miała za złe Claudii, że tak boleśnie doświadczyła Zacha i porzuciła własnego syna. A zazdrościła tego, że zawładnęła sercem tego wspaniałego mężczyzny. Że ją kochał. Że może w głębi duszy nadal kocha. Wcześniej starała się o tym nie my-

śleć, ale... tak, to by pasowało. Kochał ją, a ona go zraniła. Od tej pory on wystrzega się miłości. Dlaczego? Ponieważ wciąż nie może pogodzić się z jej odejściem.

Z jednej strony, korciło Jane, aby wygarnąć Claudii, co o niej sądzi. Z drugiej strony, rozumiała strach, który ją dławił. Strach matki o dziecko. Nawet jeśli nigdy nie tuliła syna do piersi, nigdy go nie pragnęła, może nigdy nie kochała, to jednak istniała między nimi jakaś więź biologiczna. I to spowodowało, że Jane wyciągnęła do niej rękę.

- Mój syn również zniknął - wyjaśniła. - Podejrzewamy, że chłopcy się tam ukryli. - Drugą ręką wskazała stodołę.

Kobieta zerknęła we wskazanym kierunku.

- Ależ stodoła się pali! - zawołała.

Jane z trudem powściągnęła szloch.

- Muszę się tam dostać - rzekła ochryple. - Do mojego syna. Proszę mi pożyczyć swoją bryczkę.

Claudia skinęła w milczeniu głową.

- Jadę z tobą.

Jane nie zaprotestowała.

Poganiał konia, chociaż wiedział, że zwierzę gna najszybciej jak może. Wiatr smagał go po twarzy, lodowate krople deszczu cięły po nosie i policzkach. Deszcz nie ustawał. Na drodze tworzyły się ogromne kałuże, ziemia rozmiękała, zamieniała się w błotnisty potok. Mimo to płomienie coraz śmieiej sobie poczynały. Zach próbował wymazać z pamięci obraz pogorzelniska, ale nie mógł. Tamtego dnia przez okno w sypialni syna patrzył, jak

ogień trawi budynek. Wszystko odbyło się niemal w okamgnieniu. Wiedział więc, jak niewiele ma czasu na dotarcie do chłopców i wyciągnięcie ich ze stodoły. Świadomość tego go porażała.

Wpatrywał się przed siebie; wzrok miał wbity w straszliwy słup ognia. Płomienie objęły już cały dach; część z nich pięła się w górę, jakby chciała dosięgnąć nieba, część schodziła coraz niżej, pożerając coraz większe kawałki ścian.

Z przerażeniem myślał o Benjaminie, który przypuszczalnie skrył się w środku. Może zasnął gdzieś na sianie i dopiero teraz, otworzywszy oczy, zobaczył ogień? A może wciąż nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa? Wkrótce będzie za późno. Znajdzie się w pułapce bez wyjścia. Wkrótce...

Nie!

Pochylając się do przodu, Zach spiął konia do jeszcze większego galopu. Z mokrej czarnej sierści emanował żar.

- Szybciej, Czorcie! Szybciej! Pokaż, co potrafisz.

Zwierzę posłusznie przyspieszyło. Błoto pryskało na wszystkie strony, brudząc jeźdźca i konia. Wreszcie zza kępy drzew wyłoniła się stodoła - wyglądała jak gigantyczna pochodnia rozświetlająca mrok nocy. Strugi deszczu lejące się z nieba nie tylko nie były w stanie ugasić ognia, ale nawet go zmniejszyć. Płonące szczątki fruwały w powietrzu. Przeżony koń stanął dęba. Zach wylądował w błocie. Na moment zgłupiał, szybko jednak poderwał się na nogi i pognął w stronę stodoły. Koń tymczasem odwrócił się i pognął w przeciwną stronę, byle dalej od płomieni.

Oślaniając ramieniem twarz, Zach zbliżał się do budynku. Płomienie tworzyły jednolity mur, przez który nie sposób się było przedostać. Żar parzył ciało, w uszach dudnił ogłuszający huk. Zach krążył wkoło, szukając wejścia. Przecież gdzieś jakieś musi być, powtarzał w myślach; musi. Wreszcie, choć oczy piekły go od dymu, dojrzał drzwi - przypominały płonąca obręcz, przez jaką skaczą zwierzęta w cyrku, tyle że ta obręcz była przekrzywiona i mocno zwichrowana. Niewiele się namyślając, dał nura. Po chwili toczył się po stęchłym sianie.

Smród spalonego drewna, tłącego się siana i unoszącego się dymu prawie uniemożliwiał oddychanie. Zanim uszedł trzy kroki, Zakrztusił się kaszlem. Zakrywając kurtką usta i nos, krzyknął na całe gardło:

- Chłopczy! Gdzie jesteście? Benjamin! Cody! Odezwijcie się!

Nic nie widział prócz gęstego dymu i błysku płomieni. Nic nie słyszał prócz ryku ognia. Miał wrażenie, że ogień jest żywą istotą, potworem, który nie podda się, dopóki wszystkiego nie zniszczy. Nagle kątem oka dostrzegł z boku jakiś ruch. I wtem powalił go na ziemię kuc Bena, który przemknął obok, śmiertelnie wystraszony. Padając, Zach rąbnął głową o belkę, a spanikowane zwierzę kopnęło go w goleń. Przynajmniej, pomyślał, pognało we właściwym kierunku. Przytrzymując się belki, Zach podciągnął się na nogi i ruszył w stronę, skąd wyłonił się Pete. Jego kaszel i krzyk zlewały się w jedno.

Po chwili potknął się o coś i znów runął jak długi. Ale tym, o co się potknął, było dziecięce ciało.

Kiedy bryczka zatrzymała się na rozmokłym terenie nieopodal stodoły, Jane jęknęła przerażona. Czym prędzej zeskoczyła na ziemię i ile sił w nogach rzuciła się przed siebie; wbiegłaby prosto w płomienie, gdyby czyjeś silne ręce w porę jej nie pochwyciły.

- Spokojnie, panienko. Nie wolno podchodzić za blisko ognia. Proszę wszystko zostawić mężczyznom.

Potrząsnęła gniewnie głową, usiłując się oswobodzić.

- Niech mnie pan puści! W środku jest mój syn! Cody! Cody!

Mężczyzna jednak trzymał ją mocno i - mimo ognia, deszczu oraz jej szarpaniny - nie zamierzał puścić. Wreszcie poddała się. Kolana się pod nią ugięły i zrozpaczona przysiadła w błocie; nie odrywając oczu od płomieni, zaniosła się głośnym szlochem.

Mężczyźni ustawili się ciągiem między stodołą a przepływającą w pobliżu rzeczką. Wiadra napełniano wodą, podawano na przód szeregu, wylewano wodę na ogień i tak w kółko. Jane nie wiedziała, skąd się wzięły wiadra i prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło.

- Patrzcie! - ktoś krzyknął. - To tędy Zach wszedł do środka! Trzeba porządnie polać to miejsce, żeby mógł wyjść.

Zach jest w środku? O Boże, wszyscy trzej są uwięzieni w tym piekle?

Claudia wciąż siedziała w bryczce. Może była w szoku, może paraliżował ją strach. W przeciwieństwie do Jane nie krzyczała, nie płakała. Po prostu siedziała nieruchomo, wpatrzona w szalejącą ścianę ognia.

Jane zerknęła na nią, po czym znów wbiła wzrok

w płonąca stodołę. Czuła się taka bezradna, wiedząc, że gdzieś tam jest jej dziecko, a ona nie może mu pomóc. Mężczyzna rozluźnił uścisk. Nawet tego nie zauważyła. Nasłuchiwała krzyku Cody'ego. Nic jednak nie słyszała.

Nagle poderwała się z ziemi i rzuciła w stronę stodoły. Ślizgała się po błocie, potykała, traciła równowagę, lecz biegła dalej. Kierowała się prosto w otwór, przez który wydobywały się kłęby czarnego dymu.

Ale zanim dobiegła na miejsce, w drzwiach pojawiła się mała, tak dobrze jej znana postać, która wypadła na zewnątrz, zostawiając za sobą tę pułapkę śmierci. Chude rączki zacisnęły się wokół talii Jane, brudna twarzyczka przytuliła się do jej brzucha.

- Cody! - Jane ponownie osunęła się na kolana i ponownie wybuchnęła szlochem. Obejmując syna, wylewała łzy radości i ulgi.

- Mamusiu! Tak strasznie się bałem.

Ścisnęła Cody'ego z całej siły; nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby go puścić. Po chwili jednak znów skierowała wzrok w czarny, wypalony otwór drzwiowy i czekała, wstrzymując oddech.

Każda sekunda wydawała się wiecznością. Ale wreszcie, z dzieckiem w ramionach, wyłonił się ze stodoły Zach. Twarz miał osmoloną, włosy nadpalone. Nie ruszając się z miejsca, Jane obserwowała go uważnie. Przystanął koło niej i podał jej rękę, a kiedy ją ujęła, podciągnął ją na nogi. I wskazał głową, by wraz z nim odeszła kawałek dalej, na bezpieczną odległość od ognia. Zatrzymał się dopiero przy drodze.

- Doktora! - krzyknął. - Niech ktoś znajdzie doktora Bakera!

- Tu jestem. - Starszy mężczyzna przecisnął się przez tłum i delikatnie wyjął Zachowi z ramion chore dziecko.

- Zaraz się nim zajmę. Nie denerwuj się, mój drogi. Benjamin żyje. Słyszysz? On żyje. A ty... tylko mi tu nie mdlej.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- To dobrze. - Lekarz przekazał chłopca komuś innemu. - Zanieś go do mojej bryczki, Sam. Tego drugiego też warto zbadać - dodał, patrząc na Cody'ego.

Wpatrując się w swojego nieprzytomnego przyjaciela, Cody z całej siły ścisnął Jane za rękę. Potem wbił oczy w Zacha.

- Ben wyzdrowieje - poinformował go z powagą. - Dałem mu już dwie kapsułki. Wkrótce będzie pora na trzecią. - Mówiąc to, wsunął rękę do kieszeni spodni. I nagle, śmiertelnie przerażony, wytrzeszczył oczy. - Lekarstwo! O Boże! Buteleczka musiała mi wypaść, kiedy...

- Zach, nie! - wrzasnęła Jane, ale było już za późno.

Zach pognał co tchu ku stodole; wpadł do środka przez otwór drzwiowy, który znów przypominał płonąca obręcz.

Lekarz zaklął pod nosem. Cody zaczął płakać. Stojący wokół mężczyźni podnieśli krzyk. Wszystko na nic, Zach, głuchy na otoczenie, znikł w płonącej kuli ognia.

- Mamusiu...

Jane potrząsnęła głową, tuląc do siebie syna.

- Kochanie, wróć do domu z panem doktorem, dobrze?

- Ale Zach...

- Bączku, twoja obecność nie jest tu potrzebna. Proszę cię, jedź z panem doktorem. Musisz się ogrzać i wysuszyć, bo inaczej się pochorujesz. A poza tym może Ben zacznie o ciebie pytać, kiedy się obudzi.

Cody przez kilka sekund wpatrywał się w strzelające płomienie. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Mamusiu, a jeżeli Zach zginie? Ja naprawdę nie chciałem, żeby wszystko się tak skomplikowało. Chciałem tylko pomóc Benowi... - Zrozpaczony, ponownie wtulił twarz w brzuch matki.

- Nie zginie. Przysięgam ci, że Zach nie zginie. A ten pożar... to nie jest twoja wina, kochanie. - Pochyliwszy się, pocałowała syna w czarne, okopcone czoło. - A teraz idź, proszę cię. Ogrzej się. I zaopiekuj się Benjaminem. Zach na pewno by tego chciał.

Pociągając nosem, Cody wyprostował się.

- No dobrze. Ale obiecaj mi, mamusiu, że nie pobiegniesz za nim do stodoły.

- Obiecuję.

Chłopiec skinął głową, po czym wsiadł do stojącej parę metrów dalej bryczki doktora Bakera. Przysiadł na samym brzeżku ławki, bo prawie całą zajmował Benjamin, i wziął swojego młodszego „brata” za rękę.

- Nic się nie martw, Ben. Wyzdrowiejesz.

Lekarz spojrział na Jane.

- Może pani być spokojna o syna - rzekł. - I proszę przywieźć Zacha, kiedy tylko wynurzy się z tej piekielnej otchłani. Dobrze?

- Tak, oczywiście.

- Jeśli nie pojawi się w domu do czasu, jak opatrzę chłopców i położę ich spać, wrócę tu. Choć wydaje mi się mało prawdopodobne, aby... - Urwał, po czym zmrużywszy oczy, nagle spytał: - Co to za lekarstwo, które wypadło pani synowi z kieszeni?

- Nie bardzo się orientuję, panie doktorze - skłamała.

- Wiem tylko, że to coś nowego... eksperymentalnego.

- Dziwne, że Zachariah mi o tym nie wspomniał - mruknął pod nosem lekarz.

Po chwili wsiadł do bryczki i szarpnął lekko za lejce.

Jane odwróciła się do strzelających na wszystkie strony płomieni. Mężczyźni znów stali w szeregu, podając sobie wiadra z wodą. Dwóch weszło do stodoły za Zachem.

- Zach, błagam cię, uważaj na siebie - szeptała Jane.

- Bardzo cię proszę, wyjdź cały i zdrow.

Nagle rozległ się potworny huk - zawalił się dach. Płonące deski spadały na ziemię, wzbijając fontanny iskier. Mężczyźni z wiadrami odskoczyli w tył. Jeden z nich chwycił Jane za łokieć i pociągnął ją za sobą. Patrząc, jak ściany osuwają się ku ziemi, Jane zauważyła trzy niewyraźne postaci tuż przy otworze drzwiowym. Po chwili rozplynęły się w ciemnościach.

Płomienie, które nie tak dawno temu usiłowały dosięgnąć nieba, schodziły coraz niżej. Nie zważając na żar, Jane rzuciła się tam, gdzie widziała - a raczej gdzie wydawało jej się, że widzi - sylwetki trzech wyłaniających się ze stodoły mężczyzn. Dwóch z nich, krzycząc z bólu, gasiło na sobie ubranie. Uporawszy się z ogniem, oddalili się chwiejnym krokiem. Trzeci wciąż leżał w błocie, do

połowy przywalony zgliszczami. Jane gołymi dłońmi zaczęła zrzucać mu z pieców spalone deski, kawałki belek. Nie przejmowała się tym, że parzy sobie ręce.

- Ratunku! Na pomoc!

Dopiero wtedy inni rzucili się z pomocą. Chwycili leżące bez ruchu ciało i przenieśli je w stronę drogi. Położyli Zacha na ziemi, z dala od tłącego się pogorzelniska. Jeden z mężczyzn pochylił się nad nim.

A potem wyprostował się i spoglądając na resztę, wolno pokręcił głową.

- Nic z tego. Nie żyje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie! - krzyknęła Jane, przeciskając się między mężczyzn, którzy otaczali leżące na drodze ciało. Ociekające wodą włosy lepiły się jej do twarzy, koszulkę miała moką, tenisówki - podobnie jak dżinsy - czarne od błota. Wiedziała, że większość tutejszych mieszkańców potrząsa ją jako wariatkę, ale zupełnie się tym nie przejmowała. - Odsuńcie się! Przepuście mnie!

- Przykro mi, proszę pani. Wszyscy lubiliśmy Zachariaha, ale teraz już nikt mu nie pomoże. Umarł.

Deszcz spływał z twarzy Zachy, zmywając z niej sadzę i błoto, gromadził się we wgłębieniach przy jego zamkniętych oczach, tworząc maleńkie kałuże. Jane padła na kolana. Przytknęła palce do szyi nieprzytomnego mężczyzny, ale nie wyczuła tętna. Przyłożyła policzek do jego ust, lecz nie wyczuła oddechu. Niewiele się zastanawiając, jedną ręką odchyliła mu głowę do tyłu, drugą odciągnęła w dół brodę. Potem zatkała Zachowi nos, przycisnęła usta do jego ust i zaczęła pompować mu powietrze do płuc.

- Na Boga, kobieto, co pani czyni! Nie powinna pani tak całować umarłego!

- On nie żyje, proszę pani. Trzeba pogodzić się z losem.

Jane na moment podniosła głowę, po czym znów przywarła ustami do ust Zacha. Powtarzała to raz po raz. W pewnej chwili ktoś ścisnął jej ramię, jakby chciał ją odciągnąć od ciała.

- Nie ruszajcie jej! - rozkazał władczo kobiecy głos.

Jane wiedziała, że należy do właścicielki bryczki. Do matki małego Benjamina. Rozpacz, jaka z niego przebiła, nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości: kobieta nadal kochała Zacha.

- Nie widzicie, że ona próbuje mu pomóc? - ciągnął głos.

Jane na nikogo z otaczających ją ludzi nie zwracała uwagi. Oparła dłonie na piersi Zacha. Licząc w myślach do trzech, zaczęła uciskać mu rytmicznie klatkę piersiową. Potem znów przytknęła usta do jego ust. Oddech, oddech, ucisk, ucisk.

- Niech ktoś ściągnie ją z niego! - krzyknął jakiś mężczyzna. - To nienaturalne, co ona wyprawia!

Czyjeś ręce ponownie chwyciły ją za ramiona i zaczęły odciągać. I znów rozległ się ten sam kobiecy głos, co przedtem. Głos kobiety, którą Zach kiedyś kochał.

- Zabieraj łapy albo ci je odstrzelę!

Obejrzawszy się zaskoczona, Jane zobaczyła piękną, kruchą istotę, która stała na tle ognia, w pelerynie z kapturem ociekającym deszczem, i trzymała w dłoni malutki pistolet.

- Odsuńcie się od niej! Natychmiast!

Mrucząc pod nosem i kręcąc głowami, mężczyźni wykonali polecenie.

- Zwariowała baba! - powiedział jeden.

- Obie zwariowały - dodał drugi.

Jane nie traciła czasu. Pochyliwszy się nad Zachem, kontynuowała akcję ratunkową. Raz po raz uciskała mu klatkę piersiową, aż w końcu rąk nie czuła ze zmęczenia.

- Zach, proszę cię - szeptała. - Proszę cię. Do jasnej cholery, jesteś nam potrzebny.

Wreszcie poczuła, że serce zaczyna mu bić. Położyła głowę na jego brzuchu; łzy ulgi pociekły jej po twarzy.

Zach wciągnął w płuca powietrze, raz, drugi, potem zakasłał. Wymacawszy głowę Jane, wsunął palce w jej włosy.

Grupka mężczyzn stała bez ruchu, zszokowana. Po chwili ktoś się przeżegnał, ktoś zaklął pod nosem, ale większość jedynie wybałuszała oczy.

- Jane...

Podniosła głowę i popatrzyła Zachowi w twarz. Oblizał wargi; usiłował przełknąć ślinę, coś powiedzieć. Przynęła się bliżej, przytknęła dłonie do jego policzków i najczulej jak mogła, pocałowała go w usta. Kiedy cofnęła głowę, poczuł na wargach słony smak łez.

- Mam - wycharczał. - Znalazłem.

Zamknęła oczy. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Wiedziałam, że ci się uda - rzekła.

- Odwieźmy go do domu - powiedział jeden z mężczyzn, wrywając wszystkich ze stanu odrętwienia, w jaki popadli na widok zmarłego, który nagle ożył.

Jane wstała, żeby mieli do Zacha lepsze dojście.

- Dajcie go do bryczki - poleciła Claudia.

Mężczyźni posłuchali, jakby byli przyzwyczajeni do spełniania jej rozkazów.

Nie czekając na zaproszenie, Jane również wsiadła, a za nią Claudia. Po chwili bryczka ruszyła z miejsca. Podskakując na błotnistej drodze, oddalała się od pogorzelniska. Krople deszczu monotonnie uderzały o dach, a koła rozpryskiwały wodę w kałużach.

Jane trzymała Zacha za rękę, zastanawiając się, jak mogła dopuścić do sytuacji, przed którą tyle lat się wzbraniała. Dopiero gdy był tak bliski śmierci, a ona usiłowała tchnąć w niego życie, zrozumiała prawdę: że ponownie zakochała się w mężczyźnie, który w końcu ją porzuci. W mężczyźnie, który miał do kobiet taki sam stosunek jak do jedzenia -jadł, póki był głodny, a po zaspokojeniu apetytu odchodził od stołu. W mężczyźnie, który kochał tylko raz w życiu. Zerknęła spod okna na Claudię. Dlaczego opuściła gardę? Dlaczego pozwoliła, aby czarujący uwodziciel z przeszłości podbił jej serce?

Przecież wiedziała, że kiedy ją opuści, rana długo będzie się goić.

Dotyk - miękki, delikatny. Nie, nie śniło mu się. Czyjaś dłoń gładziła go czule po głowie i twarzy. Ruchy były powolne, prawie hipnotyczne. Ostrożnie wciągnął powietrze; niemal spodziewał się poczuć w nozdrzach cierpki zapach dymu, zamiast tego poczuł najcudowniejszy zapach na świecie.

Zapach Jane Fortune.

Co? Jane? Czy Jane by go tak głąskała?

Uniósł powieki na szerokość paru milimetrów. Tak, aby mógł patrzeć, lecz by ona nie zorientowała się, że on nie śpi. To, co ujrzał, zdumiało go. Leżał na łożku,

Jane zaś siedziała obok w fotelu. Ale wyglądała jakoś inaczej niż zwykle. Sądząc, że nikt jej nie widzi, nie przywdziała maski. Zobaczył osobę niezwykle szczodłą, wrażliwą, z której oczu wycierał lęk i tęsknota. Nigdy dotąd tak się przed nim nie obnażyła. Zawsze skrzętnie ukrywała swoje prawdziwe oblicze.

Dobroć, czułość, troskliwość. Pragnienie bliskości. I straszliwą samotność. To wszystko wyczytał z jej spojrzenia.

Przewrócił się na bok i instynktownie wyciągnął do niej rękę. Jane zeszywniała, cofnęła się jak ślimak do swej skorupy. Natychmiast przywdziała z powrotem maskę. Szkoda, pomyślał; przez chwilę bowiem spoglądała na niego tak, jakby...

Nie. To niemożliwe. Może miał jakieś zwydy.

- Jane - szepnął.

Dyskretnie, tak by tego nie zauważył, usiłowała wytrzeć łzy. Uśmiechnął się. Czyli jednak nic mu się nie przywidziało.

- Za późno, Jane. - Głos miał ochrypły. - Widziałem, jak płaczesz.

- Wcale nie płakałam.

- Nie płakałaś. I nie głaskałaś mnie po głowie?

- Oczywiście, że nie. Masz majaki. - Wstała z fotela i sięgnawszy po dzbanek, nalała z niego wody do szklanki. - Napij się.

- Dzięki.

Przytknął szklankę do ust. Pijąc widział, że Jane go obserwuje. Oczy miała utkwione w jego rytmicznie poruszającej się grdyce. Kiedy skończył, odstawił szklankę

na stolik nocny i oblizał wargi. Jane, speszona, szybko odwróciła wzrok i oblała się rumieńcem.

. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Zerknął na okno i zdziwił się, że szyba jest sucha.

- Która godzina? - spytał.

- Nie wiem. Ale na pewno sporo po północy. Przez kilka godzin byłeś nieprzytomny.

- Aż tak długo spałem?

Skinęła z uśmiechem głową.

- A jak się czują chłopcy?

- Cody dobrze. Jest zmęczony, ale nic poza tym. Wstawiłam mu łóżko do pokoju Benjamin. Nie chciał się rozstać ze swoim podopiecznym.

- Masz naprawdę niezwykłego syna - powiedział Zach, po czym marszcząc czoło, spytał: - A Benjamin? Co z nim?

- Na razie bez zmian - odparła. - Dałam mu kolejną dawkę tryptoniny, ale jeszcze za wcześnie na poprawę. Przypuszczam, że jutro poczuje się już lepiej.

Zach uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko się dobrze ułoży. Zobaczysz.

Miała trochę powątpiewającą minę, jego natomiast rozpierała radość. Widział przyszłość w różowych barwach. Panna Jane Fortune chyba... może... przypuszczalnie darzy go uczuciem, Benjamin zaś wkrótce wyzdrowieje. Czego więcej można chcieć od życia? Ze szczęścia zakreśliło mu się w głowie.

- A gdzie są wszyscy?

- W domach. Śpią.

- No jasne, śpią - powtórzył. - Wszyscy poza tobą.

Ty jedna czuwasz przy moim łóżku, jak młoda, troskliwa żona, która niepokoi się o zdrowie swojego męża.

- Nie bądź śmieszny, Bolton.

- Nie bądź uparta, Jane. I przynajmniej nie kłam. Czy to takie trudne? Przyznać, że ci się podobam? Przecież to widzę. I wiem, że mnie pragniesz. Równie mocno jak ja ciebie. Ciągłe wracasz myślami do tego, co było... i zastanawiasz się, czy gdybyśmy znów...

- W przeciwieństwie do niektórych niższych form życia - rzekła, przerywając mu w pół zdania - kieruję się rozumem, a nie instynktem czy żądzą.

Usiadł na łóżku, uśmiechając się szeroko.

- Nazywasz to żądzą, tak? Innymi słowy, pożadasz mnie?

- Idź do diabła, Zach.

Odwrociła się na pięcie. Zanim jednak zdążyła odejść, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Nie miała wyboru, musiała przysiąść na brzegu łóżka.

Przez moment bez słowa wpatrywał się w jej niebieskie oczy; nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak uporczywie próbuje ukryć swoje emocje.

- Nienawidzisz mnie, Jane? - spytał cicho.

- Ależ skąd.

Wprawdzie zaprzeczyła, ale gdyby sądzić po jej spojrzeniu i tonie głosu, można by odnieść przeciwne wrażenie. Nagle Zach podniósł rękę do ust i zaczął kasłać. Kasłał tak długo, że aż posiniał. Wreszcie, zmęczony, opadł na poduszkę. Był zlany potem, a płuca bolały go tak, jakby lada chwila miały pęknąć.

Jane natychmiast rzuciła się z pomocą. Mokrą szmat-

ką pocierała mu czoło i kark, odgarniała włosy z oczu, powtarzała cicho:

- Spokojnie, Zach. Spokojnie.

Dwie minuty temu patrzyła na niego, jakby chciała udusić go własnymi rękami, a teraz - jakby znów jej na nim zależało. Spojrzenie miała zatroskane, dotyk łagodny jak u najczulszej kochanki.

- Nie rozumiem cię - szepnął.

- I dobrze. Nie musisz. - Wilgotną szmatką przetarła mu czoło. - Jak się czujesz?

Zamknawszy oczy, skinął głową na znak, że dobrze.

- Nie wierzę! Najpierw zrobiłeś dwa skoki przez stulecia, a potem prawie umarłeś w płomieniach. Jak myślisz, ile jeszcze twoje ciało zdoła znieść?

Przyciągawszy ją do siebie, pocałował ją lekko w usta. Nie pozostała mu dłużna.

- Wsuń się do mnie do łóżka, Jane. - Objął ją czule.
- I zaraz się przekonamy.

Odkoczyła gwałtownie, a on - ponieważ ją obejmował - niemal zwałił się na podłogę. Oczy błyszczały jej furia.

- Niech cię szlag trafi, panie Bolton!

- Co? Dlaczego? - spytał zmieszany. O co jej chodzi?

- Nie interesują mnie przelotne znajomości! To, co między nami zaszło... - zwinęła wilgotną szmatkę i cisnęła mu ją w twarz - to było coś więcej niż seks. Przynajmniej dla mnie. I bardzo wiele znaczyło. Niestety! Złamałam dane sobie przyrzeczenie. I źle na tym wyszłam.

Potrząsnął głową.

- Dla mnie to też wiele znaczyło, przysięgam. Ale dlaczego uważasz, że źle na tym wyszłaś?

Zamknęła oczy.

- Bo źle i już! - Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

Zach leżał oszołomiony, zastanawiając się, w którym momencie popełnił błąd. Dlaczego była taka smutna i nieszczęśliwa? Czy nie wiedziała, co do niej czuje? Żadna inna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia, żadnej innej aż tak bardzo nie pragnął, żadnej aż tak nie cenił. Nawet Claudii.

Ale nic dziwnego. Jane Fortune była kimś wyjątkowym.

Kiedy tak leżał, usiłując rozgryźć własne uczucia, nagle coś go tknęło. Czyżby się znów zakochał?

Całkiem możliwe.

Postanowił podejść do zagadnienia w sposób naukowy, czyli dokładnie i bez emocji przeanalizować swój stan psychiczny. Najpierw jednak chciał porozmawiać z Jane. Nie zasługiwał na to, żeby się na niego gniewała. Nic złego przecież nie zrobił. Tak, musi z nią porozmawiać. Poprosi ją, aby usiadła i na spokojnie wyjaśniła mu, czym się jej naraził. Wstał z łóżka, przytrzymał się fotela, żeby nie stracić równowagi, bo jeszcze trochę kręciło mu się w głowie, i skierował się do drzwi.

Może... może zgodziłaby się z nim zostać, nie wracać do swojego świata? Może...

Jane zamknęła za sobą drzwi i niemal zderzyła się z Claudią. Matka Benjamina, ubrana w długą suknię z koronkowymi zdobieniami i kołnierzykiem pod szyją,

stanowiła wzór elegancji. W porównaniu z nią Jane, potargana, w brudnych dżinsach i zwykłej bawełnianej koszulce, czuła się jak flejtuch.

Claudia zmierzyła ją uważnie wzrokiem, potem popatrzyła na drzwi do pokoju Zacha i znów przeniosła spojrzenie na Jane.

- No i co? - spytała, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie chodzi jej o zdrowie pacjenta. - W jakim stanie go znajdujesz?

- Myślę, Claudio, że ty lepiej się na tym znasz.

Claudia uniosła brwi, jakby zaskoczona słowami Jane.

- Dziwna z ciebie kobieta - powiedziała. - Szczera w wypowiedziach, oryginalna w zachowaniu. A jeśli chodzi o sposób ubierania się...

- Masz zastrzeżenia do mojego stroju?

- Ależ skąd. Wprawdzie ja bym się tak nikomu nie pokazała na oczy, ale...

Jane zacisnęła zęby.

- Och, nie bądź zła. Chyba możemy być przyjaciółkami? - ciągnęła Claudia. - Mogłabym ci wyświadczyć cenną przysługę...

- Czyżby? Jakaż to cenną przysługę, Claudio? Doradziłabyś mi, abym wciągała brzuch, bo pięćdziesięciocentymetrowa talia bardziej podoba się mężczyznom? Może, ale mnie to nie interesuje.

Matka Benjamina pokręciła ze zdumieniem głową.

- Nie, raczej chciałam cię ostrzec. Żeby zaoszczędzić ci bólu. Nie zakochuj się w Zachu, Jane. Jeśli myślisz, że uda ci się zdobyć jego serce, przeżyjesz gorzkie rozczarowanie. Zach nigdy się mnie nie wyrzeknie.

- Nie mam zamiaru go o to prosić.

- Nigdy nie pokocha żadnej kobiety tak, jak kocha mnie. Wiesz dlaczego? Bo jestem matką jego syna.

- I postanowiłaś to wykorzystać, prawda, Claudio? Bo wiesz, że na nic innego nie możesz liczyć.

Claudia milczała.

- Co, Claudio? Odwracasz wzrok? Prawda boli? Swoją drogą, nie uważasz, że jesteś zbyt wielką optymistką? Myślisz, że zdołasz odzyskać Zacha? Że możesz go porzucić, złamać mu serce, zapomnieć o własnym dziecku, a potem nagle zastukać do jego drzwi, żądając, aby przyjął cię z powrotem, bo zostałaś sama?

- Tak! Tak właśnie myślę i tego właśnie chcę! - Zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do uszu. - Dokładnie tego chcę! Teraz, gdy mój mąż nie żyje, muszę zatroszczyć się o swój los. Potrzebuję mężczyzny, który da mi dom, pieniądze, opiekę, towarzystwo. Nie pozwolę, aby ktoś taki jak ty udaremnił mi plany.

Jane wolno pokręciła głową.

- W porządku - szepnęła. - Jeśli Zach jest tak głupi, aby po raz drugi nabrać się na twoje wdzięki, to zasługuje na ciebie. Ale jakoś nie wierzę, że uda ci się go omotać. - Wskazała ręką drzwi. - Proszę bardzo, Claudio. Zostawiam was samych.

Oddaliła się pośpiesznie korytarzem do pokoju, który Zach jej przydzielił. Po drodze zajrzała do sypialni Benjamina, żeby sprawdzić, jak się chłopcy czują. Obaj spali, ale trochę zaniepokoił ją świszczący oddech Bena. Dlaczego po trzech dawkach tryptoniny stan chorego dziecka jeszcze nie zaczął się polepszać?

No cóż, może rano będzie lepiej. Ledwo wyszła z powrotem na korytarz, kiedy usłyszała, jak otwierają się drzwi do pokoju Zacha. Po chwili dobiegł ją odgłos kroków oraz trzask zamykanych drzwi. Poczowała bolesny ucisk w sercu.

Z wysoko uniesioną głową udała się do swojego pokoju. Drzwi zostawiła uchylone, chociaż - jak przekonywała samą siebie - wcale nie po to, aby widzieć, kiedy Claudia opuści sypialnię Zacha. I czy w ogóle ją opuści.

Wkrótce pożałowała swojego wścibstwa. Bo kiedy umyła się i przebrała w pożyczoną koszulę nocną, okazało się, że Claudia jeszcze nie wyszła. Przez resztę nocy Jane ciskała się po łóżku. Nie mogła zasnąć; stale nasłuchiwała. Wreszcie nastał ranek. Drzwi do sypialni Zacha nadal były zamknięte. Psiakość, zamiast dręczyć się i smuć, mogła spędzić noc tam, gdzie spędziła ją Claudia. W ramionach Zachariaha.

Miała ochotę wydłubać tej jędzy oczy.

Trajkotała jak nakręcona. Tłumaczyła się, podając wszystkie możliwe powody, dlaczego z nim zerwała, dlaczego podrzuciła mu dziecko i dlaczego wróciła do męża. Oczywiście, w ogóle go to nie interesowało. Marzył o jednym: żeby pobiec za Jane i odbyć z nią poważną rozmowę, zrozumieć, co nią kieruje i czym ją uraził.

Ale Claudia uparła się; oznajmiła, że nie wyjdzie, dopóki jej nie wysłucha. Nie miał siły, żeby się z nią kłócić. Więc siedział i słuchał - jej wykrętów, kłamstw i prośbin. Na koniec zdumiała go, składając mu propozycję: otóż teraz, gdy jej mąż nie żyje, ona chętnie z Zachem

zamieszka; rola jego żony i matki Benjamina całkiem jej odpowiada.

Popatrzył jej prosto w oczy; nawet chwili się nie wahał.

- Nie.

- Co nie?

- Moja odpowiedź brzmi: nie. Chyba prościej nie można tego wyrazić. Ani ja, ani Benjamin nie chcemy cię w naszym życiu. Kiedy nie miałem pieniędzy ani pozycji, uważałaś, że jestem dla ciebie nieodpowiednią partią, natomiast kiedy dorobiłem się jednego i drugiego, a ty zostałaś wdową bez majątku, zmieniłaś zdanie. Nagle darzysz mnie uczuciem, a Benowi pragniesz matkować. Kogo ty oszukujesz, Claudio? Przecież od miesięcy wiedziałaś, że twój syn umiera. Mogłaś przyjść, posiedzieć z nim, ale nie. Pojawiasz się dopiero teraz, kiedy został mu dzień lub dwa życia, i oferujesz, że z nami zamieszkaś. Otóż wiedz, że nas to nie interesuje. Wyjdź stąd, proszę.

Ziewnąwszy, zamknął oczy i wyciągnął się na łożku.

- Chodzi o nią, prawda? - spytała Claudia. - O tę dziwną kobietę, którą tu sobie sprowadziłaś? Przyznaj się. Kochasz ją, prawda?

- Nie bądź śmieszna - odparł cicho.

- Kochasz. Widzę to w twoich oczach, kiedy na nią patrzysz. A także w jej oczach, kiedy na ciebie patrzy. Zwłaszcza gdy sądzi, że nikt jej nie obserwuje. A także po sposobie, w jaki cię dotyka i po słowach, jakie ci szepcze. Wiesz, że głos się jej wtedy zmienia?

Leżał z wzrokiem utkwionym w sufit.

- Cóż to za frapujące spostrzeżenia - mruknął i zamknął oczy.

Nie zamierzał spać, ale zasnął. Z głupim uśmiechem na twarzy i lekkością w duszy. Kiedy obudził się, ze zdumieniem spostrzegł, że Claudia kręci się po pokoju. Chodziła tam i z powrotem, co chwila wyglądając przez okno, jakby czekała na świt.

- Na miłość boską, kobieto! Co ty tu jeszcze robisz?
- Nic. Już wychodzę - rzekła.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz, a potem całkiem niespodziewanie - czym zupełnie go zaskoczyła - posłała mu całusa.

- Pa, kochanie. Ja też cię Kocham.

Ponieważ zostawiła drzwi szeroko otwarte, Zach wstał z łóżka, żeby je przytknąć. Położył rękę na klamkę i w tym momencie zamarł. Albowiem parę metrów dalej, w drzwiach pokoju gościnnego, zobaczył Jane. Ból, jaki wyzierał z jej oczu, poraził go.

Otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale ona pierwsza się odezwała:

- Cieszę się, że jesteś na nogach. Benjamin dostał następną dawkę leku. Ty, jak widzę, dobrze się już czujesz, więc najwyższa pora, żebym ja z Codym wróciła... do domu.

- Ale...
- Za dziesięć minut spotkajmy się w twojej pracowni, dobrze?

Miał wrażenie, że tymi słowami wbiła mu nóż w serce.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nim zdążył dobiec - zamknęła mu drzwi przed nosem. Nie zważając na to, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Stała przy oknie, zwrócona do niego plecami. Przynajmniej, pomyślał, nie przekreśliła klucza w zamku. Ale zdawał sobie sprawę, że to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Nie możesz wracać, Jane. Jeszcze nie teraz. - Po raz pierwszy w życiu ucieszył się, że ładowanie przenośnika trwa trzy dni. - Musisz uzbroić się w cierpliwość, bo nie wiemy...

Zobaczył, że jej ramiona lekko drżą, a potem usłyszał jej oddech, nierówny, urywany. Podszedł bliżej.

- Proszę, zostaw mnie samą - szepnęła.

Nie posłuchał jej. Podszedł jeszcze bliżej i położył rękę na jej ramieniu, próbując obrócić ją twarzą do siebie. Nie drgnęła. Delikatnym, choć zdecydowanym ruchem pociągnął ją mocniej za ramię. Tym razem udało się. Choć spodziewał się, że Jane może płakać, zamurował go widok jej zaczerwienionych oczu i mokrych od łez policzków.

- Ty płaczesz - stwierdził po chwili. - Nie mogę w to uwierzyć...

- Prosiłam, żebyś zostawił mnie samą.

- Nie mogę.

Jak urzeczony wpatrywał się w jej piękną twarz i lśniące oczy. Boże najdroższy, czyżby był ślepy? Czyżby Claudia miała rację? Wprost nie mieściło mu się w głowie, że Jane płacze z jego powodu. Z powodu tego całusa, który Claudia mu posłała. Nie, to niemożliwe.

- Czy chodzi o Cody'ego? - spytał. - O twój strach o syna? A może tęsknisz za swoim światem?

Przyłożył dłoń do jej policzka. Jane, niemal wbrew swojej woli, zacisnęła powieki. I wtedy zrozumiał.

- O Boże! - szepnął, cofając się o krok. - Płaczesz z powodu Claudii, prawda? Prawda?

Otworzyła oczy, ale szybko odwróciła wzrok. Zach ponownie postąpił krok do tyłu, zupełnie jakby odepchnęła go od siebie. Na myśl, że Jane może go kochać, poczuł radość, ale - co tu ukrywać - także i lęk.

Przez chwilę milczała, potem wolno pokręciła głową.

- A jeśli tak, to co? - spytała. - Jakie to ma znaczenie? Żadne, skoro przeraża cię sama myśl o miłości. - Przygryzła wargi. - Nie bój się, Zach. Owszem, uległam twojemu urokowi, dałam się zaciągnąć do łóżka, a nawet zaczęłam się łudzić, że może... - Odgarnęła włosy z czoła. - Ale nie martw się. Nie zostanę tutaj. Zaraz obudzę Cody'ego i znikniemy.

- Ale... ale... - Nie potrafił znaleźć słów, by zaprotestować. Nawet nie był pewien, co chce powiedzieć.

- Widzisz? Nie próbujesz mnie zatrzymać.

- Psiakość, Jane! Dlaczego jesteś na mnie zła?

- Jestem zła na samą siebie - odparła cicho, sięgając po świeżo uprane dzinsy i bluzkę wiszące na oparciu krzesła. - Chociaż nie powinnam być zła. Powinnam się

cieszyć twoim szczęściem, gratulować ci, że wszystko się tak dobrze skończyło. Rodzinka wreszcie w komplecie. Mamusia, tatuś i syn. Jak w bajce.

- Oszalałaś? Tylko dlatego, że Claudia spędziła noc w moim pokoju, myślisz, że zamierzam się z nią...

- Och, nie udawaj. Co innego przygodna znajomość, a co innego, gdy chodzi o kobietę, którą kochasz.

Zmierzył ją od stóp do głów.

- Masz rację - rzekł. - Sytuacja jest całkiem inna, gdy chodzi o kobietę, którą Kocham.

- I oboje wiemy, że kochasz tylko tę jedną.

- Tak. Ale dopiero niedawno to sobie uświadomiłem.

Wciągnęła głośno powietrze, po czym odwróciła się do niego plecami. Zach pokręcił głową. Nie mógł w to uwierzyć. A zatem Jane naprawdę na nim zależy!

- Życzę wam jak najlepiej - powiedziała. - Mam nadzieję, że...

- Jane, moja najdroższa Jane... - Stał przed nią, lekko uniósł jej brodę i patrząc w jej załzawione oczy, ciągnął: - Zobaczysz, znajdziemy rozwiązanie. Ty i ja. Jeszcze nie wiem, jakie, ale przyrzekam ci, że znajdziemy. Najpierw jednak musisz mi uwierzyć, że nic...

- Mamo! Zach! Szybko! - Cody stał w drzwiach ubrany w koszulę nocną. Oczy miał szeroko otwarte, policzki rozpłomienione.

Zach zastygł bez ruchu.

- Co... - zaczął.

- Szybko! Chodzi o Bena!

Zach tkwił w miejscu, jakby zamienił się w kamień.

- Nie, tylko nie to - szeptał. - Błagam, nie teraz...

Jane rzuciła się do drzwi, nagle jednak zorientowała się, że Zach nie biegnie za nią. Złość, która w niej wrzała, ulotniła się. Zrobiło się jej żal biedaka. Wiedziała, co Zach czuje. I chociaż była pewna, że spędził noc w ramionach innej kobiety, nie miało to teraz znaczenia.

- Przestań, słyszysz?! - Ponieważ nie zareagował, potrząsnęła go za ramiona. - Przestań! Ocknij się! Twój syn cię potrzebuje.

Zdziwiła go jej siła, prężność, wola walki. Skinął głową, że dobrze, już idzie. Jane wolała nie ryzykować. Na wszelki wypadek wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Bał się. Nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy wejdzie do pokoju syna. Miał świadomość, że gdyby nie ciepła, drżąca dłoń, która tak mocno się go uczepliła, nie zdołałby uczynić kroku. Ona sprawiła, że ruszył się z miejsca, że przeszedł na koniec korytarza, że minął próg i podszedł do łóżka Bena. Z trudem zmusił się, aby spojrzeć na jego małe ciało. Ale kiedy spojrział, zalała go fala radości. Benjamin wcale nie umarł. Spał jak suseł. Snem głębokim i spokojnym, jakim dawno nie zdarzyło mu się spać. Jego chuda klatka piersiowa miarowo unosiła się i opadała.

Wzdychając z ulgą, Zach pochylił się i ścisnął Bena za rękę, po czym zamknął oczy i usiadł obok na krześle. Próbuąc zdławić łzy, całował tę rączkę raz po raz.

- Cody... - Jane zwróciła się do syna. - Nawet nie wiesz, jak nas wystraszyłeś. Co ci strzeliło do głowy, żeby...

- Nie mogę go obudzić, mamusiu.

Jedno zdanie, pięć słów - a Zach poczuł się tak, jakby

dostał pięć kul prosto w serce. Utkwił wzrok w twarzy Jane. W jej oczach malowało się przerażenie.

- Nie rozumiem - szepnęła. - A lekarstwo...

- Bierze je regularnie co cztery godziny - oznajmił Cody. - Nie przegapiłem ani jednej dawki. Powinien zdrowieć, a nie...

- Benjamin! - Zach chwycił syna za ramiona. - Benjaminie, obudź się. Synku, obudź się.

Nic, żadnej reakcji. Jak przez mgłę do Zacha docierały różne odgłosy: kroki Cody'ego, który przeszedł na drugą stronę łóżka, kroki Jane krążącej po pokoju i potrząsającej buteleczką. W pewnym momencie otworzyła ją i wyjęła ze środka jedną kapsułkę.

- Cody - powiedziała nagle. - Zamknij drzwi.

Chłopiec zdziwił się, ale posłusznie wykonał polecenie.

- Dzisiaj jest ten dzień, kiedy Ben zapada w śpiączkę, mamusiu. Ale myślałem, że tryptonina... - Urwał.

Jane odstawiła buteleczkę na stół. Ujęła kapsułkę w palce obu rąk i ostrożnie zaczęła ją otwierać. Kiedy udało jej się rozdzielić połówki, sprawdziła ich zawartość i pokręciła smutno głową.

- Są puste, Zach - oznajmiła. - Zabraliśmy z sobą lek, który nie istnieje. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku on jeszcze nie został wynaleziony.

Zach poczuł, jak ogarnia go zimna trwoga.

- Boże, Jane, chyba miałaś rację. - Przeniósł spojrzenie na Cody'ego. - Co ja najlepszego zrobiłem? A jeżeli, tak jak się tego obawiałaś, mój powrót tutaj zmienił bieg wydarzeń? Co będzie, jeśli lek na kwinię nigdy nie zostanie wynaleziony? - Położywszy na łóżku rękę

Bena, wstał z krzesła i podszedł do Cody'ego. Strach przepełniał jego serce. - Jak się czujesz, chłopcze? Nic ci nie dolega? Nie masz gorączki?

Przytknął dłoń do czoła chłopca. Jane, która dopiero teraz zorientowała się, o co Zachowi chodzi, wydała z siebie żałosny jęk.

- Trochę jestem zmęczony - odparł Cody. - To wszystko. Ale co z Benem? Dlaczego nie chce się obudzić?

- A gardło cię nie boli?

- Boli. Od tego dymu, co się wczoraj nawdychałem.

Ponad głową Cody'ego Zach napotkał wzrok Jane. Oboje modlili się, aby to faktycznie była kwestia dymu, a nie czegoś znacznie groźniejszego.

Jane objęła syna i, jak gdyby nigdy nic, pogładziła go po czole. Podobnie jak Zach wyczuła, że mały ma podwyższoną temperaturę. Z jej oczu wyzierało przerażenie i rozpacz.

- Musimy wracać, Zach. - Osunęła się na kolana i z całej siły przytuliła do siebie Cody'ego. - Musimy. A ty, jeśli chcesz uratować swojego syna, musisz wrócić z nami. I zabrać z sobą Bena.

- A jeżeli stało się to, czego się obawiałaś? Że zmieniłem bieg wydarzeń i moi szacowni koledzy nie dokonają swojego odkrycia? Co będzie, jeżeli wrócimy do twojego świata, a tam okaże się, że ten cudowny lek nie istnieje?

Oczy zaszły jej łzami. Ale wiedziała, że nie może się poddać.

- Istnieje. Zostanie wynaleziony. Bausch i Waterson wynajdą go, ponieważ będą przekonani, że Ben umarł,

a ty, ich przyjaciel i genialny naukowiec, oszalałeś z rozpaczy. Twoja rozpacz to jedyna rzecz, która pcha ich do działania.

Szklistym wzrokiem popatrzył na chorego syna.

- Zapadł w śpiączkę - rzekł. - Wkrótce faktycznie umrze.

- Musisz sprawić, aby Waterson z Bauschem uwierzyli, że Ben już nie żyje - powiedziała.

Poderwał gwałtownie głowę.

- To jedyny sposób, Zach. Musisz ich przekonać, że Benjamin zmarł. Niech zobaczą, jak strasznie cierpisz. A potem musisz zniknąć. Na zawsze. Wszystko ma odbyć się dokładnie tak, jak to jest opisane w tych książkach, które czytałam o tobie. Rozumiesz?

Zamyślił się.

- Tak. Masz rację. To się może udać.

- Nigdy nie będziesz mógł tu wrócić, Zach. Będziesz musiał na zawsze porzucić swoją pracę, swoje tutejsze życie, swoich przyjaciół. No i Claudię.

Zmieszany, zmarszczył czoło. Claudię? Po chwili przypomniał sobie: Jane uważała, że chciwa, samolubna Claudia jest największą miłością jego życia. Czyżby naprawdę miała go za tak wielkiego durnia?

- Myślisz, że dla własnego szczęścia poświęcę życie syna? - spytał. - Nawet gdybym rzeczywiście...

- Musimy działać bardzo ostrożnie - przerwała mu. - Dokładnie zaplanować każdy krok.

Popatrzyła z niepokojem na nieruchomą sylwetkę Benjamina, potem przeniosła wzrok na Cody'ego, który

znów stał przy krawędzi łóżka, gładził po głowie nieprzytomnego chłopca i coś do niego szeptał.

- I musimy się spieszyć - dodała.

Wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi, akurat gdy do pokoju Benjamin zmiierzali doktor Baker z panią Haversham. Słyszała, jak Zach przekręca klucz w zamku. Wcześniej ukryła Cody'ego w pracowni Zacha; kazała mu tam czekać i nikomu nie pokazywać się na oczy.

Stan Bena pogarszał się z minuty na minutę; nie mieli chwili do stracenia.

Biorąc głęboki oddech, popatrzyła w oczy lekarza oraz starej gospodyni Zacha.

- Niestety... - odezwała się. - Benjamin umarł.

Pani Haversham przygryzła wargi, żeby się nie rozpłakać, i szybko się przeżegnała.

- Przynajmniej słodkie maleństwo już nie cierpi - szepnęła. - Niech odpoczywa w spokoju.

- A Zach? - spytał doktor Baker. - Jak się trzyma? Jane spuściła oczy.

- Nie najlepiej. Zamknął się z synem. Mówi, że nikomu nie pozwoli go zabrać.

- Ojej! - jęknęła pulchna gospodyni.

Mimo wyrzutów sumienia, że okłamuje tych miłych ludzi, Jane brnęła dalej, wiedząc, że tylko w ten sposób uratuje życie chłopca.

- Myślę, że powinniśmy zostawić go na razie samego. Żeby mógł dojść do siebie, pogodzić się ze śmiercią syna.

- Słusznie - poparł ją lekarz. - Zejdźmy na dół. Niech Zachariah pobędzie z Benem.

- Nie wiedzą państwo, gdzie jest Claudia? - spytała Jane. - Powinniśmy ją powiadomić...

Pani Haversham pociągnęła nosem.

- Spotkałam ją z samego rana, zanim ktokolwiek jeszcze był na nogach. Powiedziała, że wyrusza w podróż do Europy i prosiła, żeby pożegnać wszystkich w jej imieniu. Jakiś przystojny młody człowiek przyjechał po nią eleganckim powozem.

Jane oniemiała z wrażenia.

- Ale... przecież wiedziała, że...

Czyżby piękna Claudia złapała lepszą partię? Nie mieściło się Jane w głowie, jak kobieta może myśleć o przyjemnościach, kiedy jej syn leży umierający. Ale najwyraźniej w sferze zainteresowań Claudii znajdował się wyłącznie ojciec Benjamina, a nie sam Benjamin. Biedny Zach - będzie wdychał za ukochaną, nie zdając sobie sprawy, ile miał szczęścia, że od niego odeszła.

Jane wzięła pod jedno ramię doktora, pod drugie siwowłosą gospodynię, i poprowadziła ich schodami na dół, wiedząc, że Zach potrzebuje czasu, aby przygotować się do dalszej drogi. Na piętrze, poza Zachem i chłopcami - nie było nikogo. Do obowiązków Jane należało zajęcie uwagi reszty obecnych w domu osób. Zaparzyła więc herbatę i zaczęła zmywać naczynia, robiąc w kuchni mnóstwo hałasu. Godzinę później zjawił się Eli Waterson i Wilhelm Bausch, po których doktor Baker wysłał ogrodnika. Wszyscy uznali, że pora zajrzeć ponownie na górę. Liczyli na to, że dwóm przyjaciółom Zacha uda się przemówić mu do rozsądku. Jane modliła się w duchu, aby Zach ze wszystkim zdążył się uporać.

Lekarz zastukał cicho do drzwi sypialni.

- Zach, otwórz. To ja, Aaron Baker. Otwórz drzwi.

Oczywiście odpowiedziała mu cisza.

- Są tu ze mną twoi przyjaciele, Eli i Wilhelm. Chcą z tobą porozmawiać.

- Otwórz, Zach. Pozwól nam wejść - poprosił Waterson.

Lekarz nacisnął klamkę - okazało się, że drzwi są otwarte. Pchnął je, wszedł do sypialni Bena i stanął jak wryty. Pani Haversham, która weszła za nim, krzyknęła ze zdumienia. Łóżko bowiem było puste, kołdra odrzucona na bok, prześcieradło pomięte. Wiatr poruszał zasłonką w uchylonym oknie. Baker odciągnął ją na bok. Oczom zebranych ukazał się sznur zaczepiony pod parapetem.

- Na Boga! - przeraził się lekarz. Wychylił się przez okno i rozejrzał wkoło, ale Zacha oczywiście nigdzie nie było widać.

- Zabrał z sobą Benjamina! - zawołała gospodyni.

- Zobaczcie. - Jane wskazała ręką poduszkę. - To chyba list.

Eli Waterson chwycił złożoną kartkę papieru, rozprostował ją i przeczytał.

- Biedny Zachariah - powiedział, kręcąc smutno głową. - Z rozpaczy postradał zmysły. Píše, że zabiera chłopca do lasu, aby nikt mu go nie odebrał.

- Boże, zlituj się nad nim. - Pani Haversham usiadła na łóżku, załamując ręce. - Nieszczęśnik zwariował.

- To się zdarza - oświadczył Wilhelm Bausch. - Ludzie czasem wariują po stracie kogoś bliskiego. Ale pier-

wszy raz słyszę, żeby rozpacz odebrała rozum komuś tak inteligentnemu jak Zach Bolton.

- Panowie - wtrąciła Jane. - Chyba należy zorganizować akcję poszukiwawczą? Może uda się odnaleźć Zacha? Namówić go, aby wrócił do domu, pochował syna?

- Tak, oczywiście. Zaraz się tym zajmę - rzeki doktor Baker.

- I niech pan da pani Haversham proszek nasenny czy coś na uspokojenie. - Jane zniżyła głos do szeptu.

- Jest bardzo zdenerwowana.

- Naturalnie. A gdzie pani syn? - zaniepokoił się lekarz.

- Śpi. Nie chciałam mówić mu o śmierci Bena, ale chyba nie mam wyjścia... Posiedzę chwilę z panią Haversham, dopóki proszek nie zadziała, a potem obudzę syna i zabiorę go do domu.

- Tak chyba będzie najlepiej - przyznał lekarz. Podszedł do łóżka i ujął gospodynię za łokieć. - Bardzo proszę, niech pani pójdzie ze mną.

Jane zacisnęła kciuki. Oby się udało, oby się udało, powtarzała w myślach.

- Eli i ja też zejdziemy na dół - oznajmił Bausch i skierował się w stronę schodów. - Może jeszcze nie jest za późno. Może jeszcze zdołamy Zachowi pomóc. W każdym razie im szybciej rozpoczniemy poszukiwania, tym lepiej.

Zach trzymał w ramionach owinięte w koc, nieruchome ciało syna. Małe, chude i lekkie, zupełnie jakby składało się z samej skóry i kości, o przeraźliwie bladej twa-

rzy i sinych plamach wokół oczu. Cody siedział obok na krześle; nic nie robił, nic nie mówił, ale widać było, że z całej siły usiłuje powstrzymać łzy. Był bardzo dzielny; mimo że miał dopiero dziesięć lat, próbował zachowywać się jak dorosły i prawdę mówiąc, wychodziło mu to znacznie lepiej niż trzydziestopięcioletniemu Zachowi.

Słyszając głośnie pukanie, Zach poderwał głowę. Nie odezwał się, uniósł natomiast rękę, nakazując Cody'emu ciszę. Niepotrzebnie. Chłopiec znał zasady postępowania. Po chwili rozległy się dwa kolejne puknięcia. Dopiero wtedy Zach skinął na Cody'ego, aby ten otworzył drzwi.

Jane weszła do pracowni. Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. No cóż, pomyślał Zach, okłamywanie niewinnych ludzi musiało ją sporo kosztować. Może kto inny zniósłby to lepiej, ale ceniącej prawdomówność Jane kłamstwo zawsze przychodziło z trudem.

Obserwował ją uważnie. Była nie tylko prawdomówna, ale i niesamowicie silna. Nigdy wcześniej nie podejrzewał, że w osobie tak kruchej i delikatnej mogą tkwić takie pokłady siły. Jak to nigdy nic nie wiadomo, pomyślał.

- W porządku - oznajmiła cicho.

- Jesteśmy sami?

- Doktor Baker ruszył do miasta, żeby zorganizować ekipę poszukiwawczą. Bausch i Waterson wyszli razem z nim. Pani Haversham śpi. Prosiłam, żeby dał jej jakiś środek na uspokojenie.

- Dobrze. Bierzmy się do roboty, zanim ktoś się pojawi.

Czym prędzej przeszli korytarzem do sypialni Benjamina - Zach tułąc do piersi Bena, Jane obejmując Cody'ego - i zamknęli za sobą drzwi.

Zach nie tracił czasu. Ostrożnie położył Bena na łóżku, po czym wyjął z kieszeni czarny przedmiot i wycelował go w środek pokoju.

- Gotowi?

Jane skinęła głową.

- My tak, ale czy ty jesteś gotów, Zach? Zostawiasz tu wszystko...

Nie odpowiadając na jej pytanie, wcisnął przycisk. Natychmiast na środku pokoju rozbłysnął znajomy punkcik światła. Zach wolno pokręcił tarczą. Światelko stopniowo powiększało się, osiągając rozmiary dużej świetlistej kuli. Znajdujące się w niej mleczone opary przez chwilę wirowały, przybierając różne kształty, po czym zaczęły zanikać. Wreszcie powierzchnia kuli stała się gładka, lśniąca jak lustro; patrząc w nie, ujrzeli ten sam pokój, w którym teraz byli, tyle że przeniesiony o sto lat w przyszłość.

- Znów się pochorujesz, Zach.

- Ale mój syn wydobrzeje.

Schowawszy przenośnik z powrotem do kieszeni, podniósł z łóżka Bena. Drugą rękę wyciągnął do Jane.

Stali zbici w gromadkę, Zach z Benem w ramionach, Jane z Codym. Parę sekund później przekroczyli świetliste wrota. O ile za pierwszym razem Zach czuł się tak, jakby huknął głową w słupek, za drugim - jakby zderzył się z murem, to teraz za trzecim - jakby przejechał po nim rozpędzony pociąg.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kręciło się jej w głowie. Walcząc z mdłościami, dźwignęła się na nogi. I czym prędzej chwyciła się łóżka, by ponownie nie wylądować na podłodze. Rozejrzała się po pokoju. Tak, to pokój Cody'ego, nie Benjamina. Stoi w nim łóżko jej syna, biurko, komputer, obok leży stos jego książek.

Obejrawszy się, zobaczyła, jak Cody, lekko oszołomiony skokiem w przyszłość, podnosi się z podłogi. A potem odnalazła wzrokiem Zacha, który leżał nieruchomo, przyciskając do siebie Benjamina. Chory chłopiec nie dawał oznak życia. Jane podeszła do nich na chwiejnych nogach.

- Zach, jak się czujesz? - spytała, kucnąwszy obok wyciągniętego na podłodze mężczyzny.

Zamrugął oczami, kiedy przyłożyła rękę do jego twarzy, i poruszył ustami, ale nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Delikatnie wyjęła mu z objęć Benjamina. Słyszała ciężki, powolny oddech chorego chłopca, kiedy kładła go na łóżku.

- Mamusiu, Ben powinien być w szpitalu.

Skinęła głową.

- Masz rację, bączku - powiedziała do syna. - A ty? Jak się czujesz?

- Nieźle, chociaż muszę przyznać, że te podróże w czasie są strasznie męczące. - Kiedy zmarszczywszy czoło, popatrzył na matkę, nagle wydał jej się znacznie starszy, niż był w istocie. - Ale ty nie wyglądasz najlepiej.

Machnęła lekceważąco ręką.

- A gardło? Wciąż cię boli?

Odchylił głowę i przesunął palcami po szyi.

- Dziwne - mruknął.

- Co, kochanie? - Nerwy miała napięte do ostatnich granic, gdy czekała na odpowiedź.

- Przeszło. Drapanie przeszło.

- Przeszło - powtórzyła, zaciskając powieki.

Modliła się, aby to oznaczało jedno: że jej syn jest zdrowy. Przyłożyła dłoń do jego czoła, do policzka. Minutę temu miał podwyższoną temperaturę; teraz po gorączce nie było śladu.

- Mamusiu, musimy się pospieszyć. Chcesz, żebym wezwał pogotowie?

- Co? A, tak. Zadzwoń.

Cody wybiegł z pokoju; słyszała odgłos jego kroków na schodach, gdy pędził do jedyne go aparatu telefonicznego, jaki mieli w domu. Ona sama pochyliła się nad Benjaminem, delikatnym ruchem odgarniając mu z twarzy włosy.

- Trzymaj się, malutki. Zaopiekujemy się tobą i wkrótce będziesz zdrow jak ryba. Zobaczysz.

- Jane?

Odwróciła się. Zach siedział na podłodze z zamkniętymi oczami, z ręką przytkniętą do czoła. Podeszła do niego i kucnęła obok.

- Wszystko w porządku, Zach. Dotarliśmy bezpiecznie na miejsce. Cody wezwał karetkę.

Otworzył oczy.

- Co z Benem?

- Bez zmian. Ale na pewno nie gorzej.

Przysunął rękę do jej twarzy.

- A ty? Jak się czujesz?

- Dobrze - odparła.

Skłamała. Odkąd pojawił się w jej życiu, starała się stłumić w sobie uczucie do niego. Wiedziała, że ich związek skazany jest na niepowodzenie. Że prędzej czy później Zach będzie chciał wrócić do swojego świata. Oczywiście teraz to już nie wchodzi w grę. Musi zostać tu, choć serce zostawił tam. Oddał je kobiecie, która na to nie zasługiwała.

Jane westchnęła. Boże, dlaczego musiała się w nim zakochać?

- To dlaczego masz łzy w oczach? - spytał, wycierając palcem jej policzek.

Zignorowała pytanie.

- Zaraz przyjedzie po Bena karetka. Ty też powinieś się udać do szpitala, Zach.

- Dobrze. Z Benem.

Skinęła głową; doskonale rozumiała jego strach o dziecko.

- A jeżeli znów stracisz pamięć? Tak jak zeszłym razem?

- Wtedy będę polegał na tobie. Bo... bo będziesz przy mnie, prawda, Jane?

Miała wrażenie, jakby przenikał ją na wskroś.

- Oczywiście, że tak.

- To dobrze. - Uśmiechnął się blado. - Jeśli stracę pamięć, ty mnie zastąpisz. Wierzę, że sobie poradzisz.

- Na pewno - szepnęła. - Miła, poczciwa, spolegliwa Jane Fortune.

Zach zmarszczył czoło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Nic a nic.

Kiedy przybyła karetka - wyjący biały automobil z migającym światłem na dachu - Jane, która przestała już odczuwać zawroty głowy, oznajmiła, że dotrze do szpitala własnym środkiem lokomocji. Zach natomiast, który chciał być blisko syna, wsiadł do hałaśliwego pojazdu i przez całą drogę odpowiadał na pytania człowieka w białym fartuchu.

- Czy chłopiec jest uczulony na jakieś leki?

- Chyba nie. Nie wiem. Właściwie nigdy nie brał żadnych leków. Bo widzi pan... - dodał szybko, spostrzegłszy, że młody sanitariusz przygląda mu się jakoś dziwnie - mieszkaliśmy z dala od cywilizacji. W... w prymitywnej hinduskiej wiosce.

Liczył na to, że pod koniec dwudziestego wieku wciąż istnieją prymitywne hinduskie wioski, do których nie dotarła cywilizacja.

- Rozumiem. Ale miał robione szczepienia ochronne?

- No nie - przyznał Zach i zmrużył oczy, gdy sanitariusz wbił w przedramię Bena igłę z odchodzącą od niej długą plastikową rurką. - Co to?

- Zwykła kroplówka. Sole, glukoza. W szpitalu podadzą to, co uznają za stosowne.

Zach przyjrzał się urządzeniu składającemu się z wypełnionej płynem torebki, przewodu zakończonego igłą i kroplomierza.

- Genialne.

- A dlaczego pan sądzi, że to kwinaria?

Jeśli kiedykolwiek potrzebował Jane przy swoim boku, to właśnie teraz. Chociaż nie. Była mu stale potrzebna. Ilekroć oddalała się na moment, już za nią tęsknił.

- Bo w wiosce, w której mieszkaliśmy, wybuchła epidemia - wyjaśnił Zach.

- Psiakość. Myślałem, że tę chorobę dawno pokonano.

- To znaczy, że... że jest na nią lekarstwo?

Sanitariusz popatrzył na Zacha, jakby spadł z księżyca.

- Człowieku! Ta pańska wioska musiała być na straszonym zadupiu! Lekarstwo na kwinarię istnieje od niemal stu lat. A my w Rockwell mamy szczególny powód do dumy. Widzi pan, pod koniec ubiegłego wieku nasi dwaj uczeni...

Kontynuował monolog, a jednocześnie cały czas troskliwie zajmował się chorym dzieckiem. Siedząc w pędzącej na sygnale karetkce, Zach słuchał opowieści o genialnym naukowcu, Zachariah Boltonie, który oszalał z rozpaczy po śmierci syna, oraz jego dwóch współpracownikach, którzy - wstrząśnięci tragedią, jaka spotkała ich przyjaciela - połączyli siły, aby wynaleźć lekarstwo na kwinarię.

Nie zdołał powstrzymać łez, jakie popłynęły mu z oczu, gdy zorientował się, że wersja sanitariusza pokrywa się z wersją opowiedzianą mu parę dni temu przez Jane. Były dokładnie takie same!

- Udało się, Jane - szepnął. - Udało się.

Sanitariusz znów popatrzył na niego dziwnie, po czym delikatnie poklepał Zacha po ramieniu.

- Jeśli syn wytrzyma jeszcze parę minut, to w szpitalu na pewno go uratują. Proszę być dobrej myśli.

Jane wypić łyk kawy z automatu, skrzywiła się z niesmakiem, po czym odstawiła kubek na fornirowany stół stojący obok fornirowego krzesła, na którym siedziała. Cody spał na sąsiednim krześle, a Zach wciąż krążył po pokoju. Dotarła do szpitala akurat w chwili, gdy oddziałowa stanowczym tonem tłumaczyła Zachowi, że nie może asystować lekarzowi, gdy ten będzie zajmował się Benjaminem. Oczywiście Zach próbował się z nią kłócić. Nie miał zwyczaju poddawać się bez walki. Chcąc nie chcąc, Jane wtrąciła się do rozmowy; wyjaśniła Zachowi, jakie panują w szpitalach zwyczaje, po czym zaprowadziła go do poczekalni. Nie usiadł. Nerwowym krokiem krążył od ściany do ściany.

Wreszcie Jane nie mogła tego dłużej zdzierżyć. Wstała i wzięła go za rękę. Wiele by dała, aby usunąć z jego twarzy wyraz strachu i niepokoju.

- Usiądź, Zach. Jesteś zmęczony, osłabiony, a to twoje chodzenie tam i z powrotem naprawdę Benowi nie pomoże.

Zatrzymał się, ale nie usiadł. Stał, wlepiając w nią oczy.

- A jeśli Ben umrze? Co wtedy, Jane? A jeśli...

- Nie umrze. Nie po tym wszystkim, co dla niego zrobiłeś. Zobaczysz, Zach. Niedługo kryzys minie.

- Ale to już tak długo trwa. Ponad dwie godziny. - Odwrócił się w stronę podwójnych szklanych drzwi wzmocnionych metalową siatką. - Muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

- Zach...

Wyszarpnął rękę. Zanim jednak doszedł do drzwi, pojawił się w nich doktor Mulligan. Jane podbiegła do, Zacha i objęła go w pasie; widziała, że ze zdenerwowania ledwo trzyma się na nogach.

- Co z moim synem? - spytał ochryłym głosem.

- Jego stan jest już stabilny.

- To znaczy, że dobrze się czuje?

- Jeszcze nie. Nadal znajduje się w śpiączce, ale dodaliśmy mu do kroplówki tryptoninę. Mamy nadzieję, że kiedy lek zacznie działać, syn odzyska przytomność.

- Macie nadzieję?

- Panie... - Lekarz zerknął do karty, po czym ponownie spojrzął na Zacha. - Panie Bolton, na razie niczego nie możemy być pewni. Jeśli organizm pańskiego syna wytrzyma do chwili, gdy lek zacznie działać, wtedy wszystko będzie dobrze. Ale czy wytrzyma, tego nie wiem. Tak czy owak, powinien się pan przygotować, że może być źle.

Zach objął Jane za ramię, jakby się bał, że zaraz może zemdleć. Przez długi czas milczał, starając się zapanować nad emocjami.

- Proszę, niech pan mówi dalej...

- Jeżeli chłopiec przeżyje, istnieje ryzyko, że będzie miał uszkodzony mózg. Trafił do nas z bardzo wysoką gorączką. Nie wiemy, jaki to mogło mieć na niego wpływ.

Odpowiedź uzyskamy dopiero wtedy, kiedy pacjent się obudzi. Może nic mu nie będzie. Z drugiej strony, nie można wykluczyć upośledzenia umysłowego lub uszkodzenia zdolności motorycznych.

- Rozumiem.

- Do rana wszystko powinno się wyjaśnić.

Zach pokiwał smętnie głową.

- Czy mogę do niego zajrzeć? - spytał, kiedy lekarz ruszył do wyjścia.

- Oczywiście. Ale tylko na chwilę.

Zach skierował się w stronę korytarza, jedną ręką wciąż obejmując Jane.

- Wyłącznie rodzina może odwiedzać chorych - powiedział cicho lekarz.

Zach nawet nie przystanął.

- Ta pani należy do rodziny.

- Jedź do domu, Jane. Potrzebujesz odpoczynku.

Nie podzielała jego zdania. Weszła do białej sali pełnej buczących i migoczących urządzeń. Zbliżywszy się do krzesła Zacha, delikatnie wyjęła mu z dłoni rączkę Bena i zacisnęła ją w swojej ręce.

- Właśnie wracam z domu - powiedziała, nie spuszczać wzroku z twarzy jego syna. - Przywiozłam ci ubranie na zmianę i coś do jedzenia.

Pachniała świeżo. Czysto i świeżo. Zauważył, że się przebrała, ale gotów był się założyć, że nie zmrużyła oka. Tak, znając Jane, podejrzewał, że wpadła do domu i zaraz z niego wypadła. Po chwili położyła rączkę Bena na przeciwścianie i otworzyła niedużą torebkę, która wisiała na

jej ramieniu. Ze środka wyjęła plastikowy pojemnik i owinięta w folię łyżkę.

- Trzymaj. To jogurt. Dobrze ci zrobi. Przyniosłam też kruche ciasteczka i...

- Gdzie Cody? Mam nadzieję, że biedne dziecko nie śpi na tym twardym krześle w poczekalni?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Jedna z pielęgniarek zlitowała się nad nami i powiedziała, że mogę go położyć w sąsiedniej sali na pustym łóżku. Oby tylko nie wystawiła mi później rachunku.

Zdawał sobie sprawę, że z tym rachunkiem to żart, ale myśl o pieniądzach coraz bardziej go przerażała. Sto lat temu uchodził za człowieka majątnego, teraz zaś nie miał nic. Jeżeli tylko Ben wyzdrowieje...

- Ojczy?

Serce podskoczyło mu do gardła. Wypuściwszy z ręki jogurt, powoli skierował spojrzenie na łóżko, ale Benjamin nie patrzył na niego - patrzył z zafascynowaniem na Jane, zupełnie jakby widział anioła. Jane odgarnęła Benowi włosy z oczu, po czym schyliła się i pocałowała go w czoło. Następnie odsunęła się od łóżka, robiąc Zachowi miejsce.

- Benjamin - szepnął, niemal dławiąc się łzami. Wziął w ramiona chude ciało syna i przytulił do siebie. - Obudziłeś się. Dzięki Bogu, syneczku. Dzięki Bogu. - Wcisnął twarz w rude loki i zamknął oczy, aby ukryć łzy.

- Zadziałało lekarstwo Cody'ego - oznajmił Ben. - Obiecał mi, że wyzdrowieję, i... - Chłopiec odsunął się od piersi ojca i popatrzył mu w twarz. - Czy to prawda, ojczy? Czy naprawdę będę zdrow?

- Tak, kochanie. - Zach przygładził ręką burzę radych loków.

- Bo wiesz, ojcze, zobaczyłem przez okno trzy spadające gwiazdy i szybko pomyślałem trzy życzenia. To było jedno z nich: żebym wyzdrowiał.

Oddychając ciężko, opadł z powrotem na łóżko. Wciąż łatwo się męczył, ale jego policzki powoli nabierały zdrowych rumieńców. A oczy znów błyszcząły.

- Trzy życzenia, powiadasz? - spytał Zach.

- Tak. Pierwsze: żebym był zdrowy. I to się spełniło. Drugie: żebym miał starszego brata. I pojawił się Cody, który przyrzekł, że nigdy mnie nie...

Chłopiec uniósł głowę i rozejrzał się po sali. Zach również. Nawet nie zauważył, kiedy Jane wymknęła się na korytarz. Widocznie chciała mu dać okazję, by nacieszył się synem.

- ...nie opuści - dokończył Ben.

- I nie opuścił, syneczku. Po prostu śpi w sąsiednim pokoju.

- Aha. Nie jesteśmy w domu, prawda?

- Nie, kochanie. Jesteśmy w szpitalu. Od domu dzieli nas bardzo daleka droga.

Zmrużywszy oczy, Benjamin popatrzył na zawieszoną u sufitu lampę.

- Pewnie wróciliśmy z Codym tam, gdzie on mieszka, prawda?

Skąd on to wie, zdziwił się Zach.

- A trzecie życzenie, Ben? Jakiekolwiek ono jest, postaram się je spełnić.

Kiedy chłopiec uśmiechnął się szeroko, Zach był pe-

wien, że za moment usłyszysz prośbę o pieska czy nową zabawkę.

Pomylił się.

- Jak już powiedziałem, drugie życzenie dotyczyło starszego brata. Całe życie o nim marzyłem. I został nim Cody.

- A więc jesteście braćmi, tak?

- Tak. Złożyliśmy przysięgę. Zdrowie i brat. To były moje pierwsze dwa życzenia i oba się spełniły. A trzecie... trzecie chyba też się spełniło.

- Opowiedz mi o nim - poprosił cicho Zach.

- Prosiłem o mamę - szepnął Benjamin. Zamknął oczy; na jego buzię wypełzł rozmarzony uśmiech. - O prawdziwą mamę, która z nami zamieszka i która zawsze będzie mnie kochała. - Uniósł powieki i popatrzył na ojca. - Wiem, że ty też od dawna jej szukasz, ale jakoś do tej pory nie miałeś szczęścia. Teraz możesz wreszcie przestać szukać, bo ja już ją znalazłem.

- Znalazłeś, powiadasz?

Benjamin skinął głową. Nagle spojrzął w stronę drzwi. Na widok Jane oczy mu rozbłyły. W tym momencie Zach nie miał żadnych wątpliwości, kto jest tą wybraną przez syna kobietą. Po chwili koło Jane przecisnął się Cody. Wszedł do pokoju i usiadł w nogach łóżka. Chłopcy zaczęli rozmawiać, całkiem zapominając o obecności dorosłych. Jane wzięła Zacha za łokieć i wyprowadziła na korytarz.

- Powinieneś się cieszyć, a masz taką zatroskaną minę. Dlaczego, Zach?

Milczał.

- Czym się tak zamartwiasz?

- Tysiącem różnych rzeczy - odparł. - Ale najważniejsze jest to, że mój syn będzie zdrowy. Reszta się nie liczy. Mogę mieszkać pod gołym niebem i...

- O to chodzi? - przerwała mu. - Zastanawiasz się, gdzie zamieszkacie, kiedy Bena wypiszą ze szpitala? Przecież wiesz, że możesz zostać u mnie. Tak długo, jak tylko...

- No właśnie, jak długo? - Odwrócił się. - Przecież komuś takiemu jak ja niełatwo będzie znaleźć pracę w twoim świecie. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Ależ, Zach, jesteś genialnym naukowcem.

- Nie, Jane. Byłem genialnym naukowcem. Teraz zaś, otoczony współczesną techniką, jestem zwyczajnym głupcem. - Westchnąwszy ciężko, zaczął przemierzać korytarz. - Zatoczyłem koło. Znalazłem się w punkcie wyjścia. Nie mam pieniędzy, nie mam pozycji społecznej, nie mam nic, co mógłbym zaofiarować kobiecie...

- Co mógłbyś zaofiarować kobiecie? - powtórzyła z przerażeniem Jane. - Słuchaj, wiem, że tęsknisz za Claudią, ale chyba nie zamierzasz...

- Co ma Claudia do tego? - warknął, natychmiast żałując ostrego tonu. - Po prostu usiłuję ci powiedzieć, że jestem całkiem nieprzystosowany do życia w takim wysoko rozwiniętym świecie. Że trudno będzie mi utrzymać siebie i dziecko, nie mówiąc już o rodzinie.

- Nie gadaj bzdur! - Obróciła go, by patrzył jej prosto w twarz. - Potrafisz przemieszczać się w czasie! Żaden inny naukowiec tego nie potrafi, mimo naszych

współczesnych dokonań i wysoko rozwiniętej techniki. Wciąż jesteś geniuszem, Zach. I na pewno znajdziesz jakiś sposób, aby w dzisiejszym świecie zrobić użytek ze swojej niezwykłej inteligencji.

Skinął głową.

- Może...

- Pomogę ci.

Wiedział, że nie są to słowa rzucone na wiatr.

- Dlaczego, Jane? Dlaczego jesteś dla mnie taka dobra?

- Bo wiele razem przeszliśmy. Uważam cię za... przyjaciela. I jestem przekonana, że będąc na moim miejscu, ty też byś mi pomógł.

Miał ochotę powiedzieć: oddałbym za ciebie życie. Ale nie mógł; nie teraz - zwłaszcza nie teraz. Wiele ich łączyło, lecz i wiele dzieliło - choćby pozycja społeczna i majątek. Nie, lepiej niech Jane myśli, że on wciąż wzdycha do przebiegłej, samolubnej Claudii.

Oczywiście wolałby wyznać jej prawdę. Że zrobił coś, o co nigdy w życiu się nie podejrzewał - zakochał się. Wolałby poprosić ją o rękę, błagać, żeby zgodziła się zostać jego żoną. Bo obydwaj ją kochali. I on, i Benjamin.

Niestety. Mówiła wprawdzie, że nie zależy jej na pieniądzach, że stara się żyć z tego, co sama zarobi, lecz to nie zmieniało faktu, że jest bogata. A on nie chciał być na utrzymaniu żony.

Tak, marzył o tym, aby wyprowadzić Jane z błędu. Aby wyjaśnić jej, że to ją kocha, a nie Claudię. Ale zacisnął zęby i nie powiedział nic.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Boże, dlaczego mężczyźni są tacy głupi? Kiedy Greg od niej odszedł, postanowiła, że nie będzie miała z nimi więcej do czynienia. Wszystko było dobrze, dopóki nie poznała Zacha. A teraz... Dlaczego są tacy ślepi? Dlaczego wszystko trzeba im tłumaczyć? Oczywiście miała swoją dumę, ale...

Zdawała sobie sprawę, że kiedy Zach w końcu ją porzuci, złamie nie tylko jej serce. Także Cody'ego. Albowiem Cody pokochał Zacha jak ojca, małego Bena zaś obdarzył prawdziwie braterską miłością. Tak, Cody przeżyje szok, kiedy ci dwaj znikną z jego życia. Podobnie zresztą jak Benjamin. Synek Zacha świata poza Codym nie widział; do niej, Jane, też się bardzo przywiązał. A ona do niego. Kochała tego brzdąca o marchewkowych lokach, zielonych ślepiach i szelmowskim uśmiechu. Wypisany ze szpitala tydzień temu, zdążył zająć trwałe miejsce w jej sercu. Czasem, patrząc na jego roześmiane oczy, czuła się tak, jakby był jej rodzonym synem. Nie, nie pozwoli Benowi odejść. Będzie o niego walczyła.

Psiakość! Złościł ją Zach. Od kilku dni chodził mrokotny i zamyślony; pewnie cierpiał z powodu rozstania z tą wredną małą egoistką. A kiedy nie snuł się smętnie po domu i nie wzdychał za utraconą miłością, wtedy za-

stanawiał się, co mógłby robić i w jaki sposób zarabiać na życie. Wiedziała, że gdy tylko znajdzie jakieś w miarę sensowne źródło utrzymania, spakuje manatki, a wtedy ona więcej go już nie zobaczy. Dlatego nie chciała się przyznać, co odkryła w starym sejfie na strychu. Bała się. Miała nadzieję, że może z czasem ten głupiec uświadomi sobie, że tu jest jego miejsce. Z nią. I może w końcu ją pokocha.

Lecz minął tydzień, a Zach wciąż nie przejrzał na oczy. Uznała, że czas zmienić taktykę.

Nie mogła przecież w nieskończoność ukrywać przed nim prawdy. Po namyśle doszła do wniosku, że skoro dotąd nic się nie zmieniło w ich wzajemnych relacjach, postawi wszystko na jedną kartę. Powie mu nie tylko o swym odkryciu, ale również o tym, co do niego czuje.

Tak, dziś wieczorem odbędzie z nim rozmowę. Miała tego dość. Nie mogła już patrzeć, jak wzdycha za inną, a jej nawet nie zauważa. Starczy, basta!

Mieszkanie z nią pod jednym dachem doprowadzało go do szału. Miał wrażenie, że Jane specjalnie go dręczy, że robi, co może, aby jak najczęściej przebywać tam gdzie on. Ledwo nad sobą panował. Na miłość boską, czy ona musi stale nosić tak opięte spodnie? I rozpuszczać włosy? Czy nie może choć raz włożyć czegoś brzydkiego, workowatego? Dlaczego tak cudownie pachnie? Czy musi tak ślicznie śpiewać pod prysznicem? I dlaczego tak troskliwie zajmuje się Benem? Dlaczego?

Pragnął jej całym sobą. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Kiedyś wydawało mu się, że wie, co to miłość,

ale z każdym mijającym dniem coraz wyraźniej widział, że uczucie, jakim darzył Claudię, nie mogło się równać z uczuciem, jakim darzy Jane. Ale oczywiście nie mówił o tym Jane. Duma mu na to nie pozwalała. Niczego bowiem nie mógł jej zaofiarować. Codziennie ogarniała go coraz większa frustracja. Usiłował znaleźć dla siebie miejsce w tym nowym świecie, jakoś się wpasować, zacząć zarabiać. Jednakże bez powodzenia.

Ale nie poddawał się i nie tracił nadziei. Wiedział, że prędzej czy później coś wymyśli i zdobędzie serce Jane.

- Zachariah?

Odwrócił się i zobaczył Jane w drzwiach pracowni. Zaskoczył go wyraz bólu malujący się na jej twarzy. Bólu, który on jej przysparzał. Ależ był idiotą! Dlaczego kazał jej cierpieć? Dlaczego udawał, że nie odwzajemnia jej uczuć? I w tym momencie zmienił zdanie. Nie będzie dłużej czekał. Do diabła z dumą! Do diabła z pieniędzmi, czy raczej ich brakiem. Później się tym zajmie. Owszem, możliwość zarobkowania jest ważna, ale ważniejsza jest Jane.

Z powagą w oczach napotkała jego wzrok. Wystraszył się, że czymś ją musiał rozgniewać. Ale zasłużył sobie na jej gniew. Powinien był wcześniej rozwiązać jej wątpliwości.

- Musimy porozmawiać - rzekła.

- Owszem, musimy.

- Ale nie tu. Może na dole, dobrze? Nie chcę obudzić chłopców.

Bez dalszych wyjaśnień wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Wstał od stołu, przy którym pisał swój dziennik. Jane

namawiała go, aby spróbował opisać życie najszlachetniejszego mieszkańca Rockwell, czyli samego siebie - oczywiście zmieniając nieco zakończenie. Twierdziła, że książka powinna się dobrze sprzedawać. Może, ale to był długi proces, on zaś był niecierpliwy. Uważał, że musi zdobyć pieniądze, zanim może wyznać Jane miłość. Jednakże nie mógł dłużej czekać. Musiał zaryzykować. Albo go zaakceptuje takim, jakim jest, albo...

Zszedł na dół, nastawiając się na najgorsze.

Stała sztywno wyprostowana, spięta, powtarzając sobie w duchu, że nie będzie się nad nim litować ani współczuć mu z powodu rozstania z ukochaną.

- Napijesz się kawy? - spytała, kiedy usiadł na kanapie.
- Nie, dziękuję.
- W takim razie przejdę do sedna.
- Jane, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym

pierwszy coś powiedzieć.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Ty, Zach?
- Tak.

- Hm... wstrzymaj się, jeśli możesz. Widzisz, od paru godzin układam sobie tekst w głowie i jeśli go teraz nie powiem, to nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam.

Chodziła po salonie tam i z powrotem, nieświadoma tego, jak zmysłowo porusza biodrami.

- No dobrze, skoro nalegasz... Jestem bardzo ciekaw, co może być tak ważnego, żebyś przez kilka godzin musiała się przygotowywać.

W jej oczach płonęła wściekłość.

- Niech cię szlag trafi, Zach! Jesteś chyba najbardziej upartym i nierozgarniętym durniem, jakiego kiedykolwiek znałam!

Poderwał się z kanapy i chwyciwszy ją za ramiona, ponownie obrócił twarzą do siebie.

- Wiem, że cię rozzłościłem. Przepraszam.

- Rozzłościłeś? Zach, to coś więcej niż złość. Mam ochotę krzyczeć, wyć, uderzać cię raz po raz. Odkąd tu wróciliśmy, zachowujesz się tak, jakby wisiała nad tobą ciemna chmura. Już mam dość patrzenia, jak wdychasz za tą pyszałkowatą, wypacykowaną, egoistyczną suką!

Zmarszczył czoło. Miał świadomość, że prawdziwy atak dopiero nastąpi.

- Przepraszam cię, Jane. Za to, że wprowadziłem cię w błąd. Że pozwoliłem ci myśleć, że wdycham za Claudią. Postąpiłem jak kretyn.

- No właśnie! Jak kretyn do potęgi! Kiedy ty wreszcie przejrysz na oczy, Zach? Kiedy zrozumiesz, jaka ona naprawdę jest? To znaczy, jaka była. Dwa razy porzuciła własne dziecko. Nie raz, ale dwa razy! W dodatku za drugim razem wiedziała, że Benjamin umiera. Nie pojmuję, jak facet tak inteligentny jak ty może kochać kogoś takiego jak ona?

- Nie kocham jej. - Wzruszył ramionami. - I chyba nigdy nie kochałem.

- Mam tego po dziurki w nosie! Czekałam i czekałam, aż się obudzisz, ale już dłużej nie mogę. Nie chcę, żebyś mnie... nas... opuścił. Taka Claudia nawet nie dorasta mi do pięt! I czas najwyższy, żebyś to sobie wreszcie uświadomił.

- Ależ ja to wiem.

- I nie mam zamiaru... Co powiedziałaś? - Urwawszy, wciągnęła głęboko powietrze.

- Wiem, że Claudia nie dorasta ci do pięt. Po prostu nie można was porównywać. Przewyższasz ją pod każdym względem, Jane. A ja wcale za nią nie wzdycham. Właściwie odkąd tu trafiłem, ani razu o niej nie pomyślałem.

- Nie?

- Nie.

- To dlaczego... chodzisz taki...

- Struty? Przygnębiony? To nie ma nic wspólnego z Claudią. Przysięgam. - Popatrzył jej prosto w oczy, by zobaczyła, że nie kłamie. Nie chciał, aby jeszcze kiedykolwiek wątpiła w jego szczerość. - Muszę ci coś powiedzieć, Jane. Tamtej nocy, którą Claudia spędziła w moim pokoju... do niczego nie doszło. Ona chciała wskrzesić nasz związek, ale mnie to zupełnie nie interesowało.

- Naprawdę, Zach?

Uśmiechnął się.

- Dlaczego się dziwisz? Nie jestem aż tak naiwny, jak ci się wydaje. Dobrze wiem, dlaczego Claudia sobie o mnie przypomniła: bo dorobiłem się majątku i pozycji. I dlatego, że jej bogaty mąż zostawił większość pieniędzy swojemu bratankowi. Masz rację, Jane. Claudia to bezduszna egoistka. Serce ma z kamienia, o ile w ogóle je posiada.

- Ale nie rozumiem. Od tygodnia jesteś taki przygnębiony...

- Bo martwię się czym innym. Sprawami finansowymi. Nie chcę być dla ciebie ciężarem.

- Ciężarem? - Obruszyła się. - Nie bądź śmieszny.

- Przeszkadza mi świadomość, że niczego nie mogę ci zaofiarować w zamian.

- W zamian?

- Ale postanowiłem schować dumę do kieszeni, bo dłużej już nie mogę wytrzymać, i powiedzieć ci, co naprawdę do ciebie czuję.

- Powiedz...

Na jego ustach błąkał się nieśmiały uśmiech.

- Kocham cię do szaleństwa, Jane. Uwielbiam Cuddy'ego. I chciałbym, żebyśmy zawsze byli razem.

Otworzyła usta, ale była tak oszołomiona, że nie potrafiła wydobyć głosu.

- Wiem, że teraz jestem nędzarzem - ciągnął Zach - ale wkrótce to się zmieni. Bądź co bądź, mam rozum i mięśnie. Znajdę sposób na utrzymanie rodziny. Jeśli będzie trzeba, mogę kopać rowy...

- Przepraszam - szepnęła. - Boże, przepraszam...

Serce mu zamarło; przez moment bał się, że Jane chce go odtrącić.

- Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć, ale...

- Co, Jane? Tylko nie mów, że nic do mnie nie czujesz. Bo wiem, że czujesz. Widzę to w twoich oczach, słyszę w twoim... - Urwał. Zamiast przekonywać ją słowami, że powinni być razem, postanowił przekonać czynem. Wziął ją w ramiona i zaczął całować. - Tylko nie mów, że nic do mnie nie czujesz - powtórzył, kiedy ode-rwał usta od jej warg.

- Nie miałam takiego zamiaru - odparła lekko zdyszana i delikatnie uwolniła się z jego objęć. - Ale jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. - Podeszła do stolika i podniosła plik pożółkłych ze starości kartek. - Proszę - rzekła, wręczając je Zachowi. - Należą do ciebie.

- Ale...

- Znalazłam je w sejfie ha strychu. Wkrótce po tym, jak zamieszkałam w tym domu. Sejfem zainteresowałam się, bo to antyk. Wezwałam ślusarza. W środku były te papiery. Upchnęłam je gdzieś i całkiem o nich zapomniałam. Przypomniałam sobie dopiero wtedy, kiedy przybyłeś tu z Benem na stałe.

Rzucił okiem na papiery i skinał głową. Owszem, należały do niego. Akcje, obligacje, bony, tego typu rzeczy. Wszystkie co najmniej stuletnie.

- Nie przejmuj się, Jane. Są stare i bezwartościowe.

- Mylisz się, Zach. One pewnie warte są dziś fortunę.

- Wbiła oczy w podłogę.

- Co takiego?

- Większość banków, których nazwy tu figurują, nadal istnieje. Spora część firm, których akcje nabyłeś, to dziś ogromne korporacje przynoszące milionowe zyski. Wierz mi, Zach. Znam się na tych sprawach. Od procentów, jakie narosły w ciągu stu lat, zakreśli ci się w głowie.

Wreszcie, powoli, prawda zaczęła do niego docierać. Plik papierów, które trzymał w dłoniach, rozwiązywał mu wszystkie problemy, z jakimi od tylu dni się borykał.

- Na miłość boską, Jane, dlaczego mi nic o tym wcześniej nie wspomniałaś?

Przygryzłszy wargi, podniosła oczy.

- Bo nie chciałam, żebyś wyjechał.

- Nie rozumiem...

- Nie chciałam cię stracić, Zach. Miałam nadzieję, że mieszkając tu, może w końcu poczujesz... to co ja.

- To co ty? - spytał, uświadamiając sobie, że właściwie nie wie, co Jane do niego czuje.

Czekał z niecierpliwością na jej odpowiedź.

- Bałam się, że kiedy dowiesz się o pieniądzach, zabierzesz Bena i gdzieś wyjedziecie. A ja jego też kocham.

- Też?

- Tak - szepnęła. - Też.

Potrząsnął głową, nie dowierzając własnemu szczęściu.

- Myślałem, że oszaleję z rozpaczy, Jane. Tak bardzo cię pragnę, tak bardzo potrzebuję, tak bardzo kocham. Ale uważałem, że nie mogę cię prosić, dopóki nie mam ci nic do zaoferowania...

- Ależ, Zach, ja niczego nie chcę prócz ciebie. Nie zdajesz sobie sprawy, że... - Nagle urwała. - Że o co nie możesz mnie prosić?

- O rękę. O to, żebyś została moją żoną. Żebyś dla Bena była matką, której nigdy nie miał, i żebym ja był ojcem dla Cody'ego. Żebyś pozwoliła mi się kochać do końca życia. Czy pozwolisz, Jane? Czy mnie poślubisz?

Wargi jej zadrżały, oczy wezbrały łzami.

- Powiedz „tak”! - krzyknęły nagle dwa głosy.

Obejrząwszy się za siebie, zobaczyli dwie drobne figurki obserwujące ich ze szczytu schodów. Po chwili Ben

z Codym zeszedli na dół, trzymając się za ręce. Dwie głowy z burzą rudych loków, dwie pary dużych zielonych oczu, dwie piegowate buzie. Dwa zdrowe, silne urwisy, jeden trochę większy od drugiego. Dwaj bracia. Szczęząc zęby w uśmiechu, równie niecierpliwie jak Zach czekali na jej odpowiedź.

- Och, tak, tak.

Wydając dzikie okrzyki radości, chłopcy podbiegli do nich.

- O rany, mam tatę! - zawołał Cody. Rzucił się Zachowi w ramiona i uściskał go z całej siły. - Prawdziwego tatę.

Zach poczuł dławienie w gardle, a kiedy ujrzał, jak Benjamin obejmuje za szyję Jane, o mało nie rozplakał się ze wzruszenia.

- Jane - szepnął nieśmiało młodszy chłopczyk. - Czy mogę do ciebie mówić „mamusiu”?

- Bardzo bym się z tego cieszyła - odparła Jane.

Łzy popłynęły jej strumieniem po twarzy. Ponad głowami Bena i Cody'ego napotkała oczy Zacha, które też były zamglone. Po chwili oboje postawili dzieci na podłodze i padli sobie w objęcia.

- Czy już ci mówiłem, że cię kocham? - spytał Zach, usiłując przekrzyczeć wrzaski uradowanych chłopców.

- Tak. Ale śmiało możesz to powtórzyć.

EPILOG

- No widzisz, Sterling! - W oczach Kate migotały wesołe iskielki. - A nie mówiłam, że w tym starym domu Jane znajdzie szczęście? Nie mówiłam?

- Owszem, mówiłaś. Ale myślałam, że chodzi ci o specyficzną atmosferę małego miasteczka. I o sklepik z antykami. Nie liczyłaś przecież na to, że spotka jakiegoś szalonego wynalazcę z ubiegłego wieku.

- Nie bądź taki pewien.

- Nie żartuj, Kate. Nie mogłaś przewidzieć, że tak się wszystko zakończy.

- Pamiętaj, mój drogi, że przez jakiś czas sama mieszkalam w tym domu.

Sterling otworzył szeroko oczy.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałaś o tych wrotach?

Kate wzruszyła ramionami, ignorując pytanie swojego zaufanego przyjaciela.

- Sterling, kochanie, martwię się o Natalie. Mam przecucie, że ona mnie bardzo potrzebuje. - Na moment zamilkła. - Sprawdźmy, co u niej słyhać, dobrze?

- Oj, Kate, Kate... - Sterling pokręcił zrezygowany głową i zaczął przemierzać pokój. - Cały pomysł polegał na tym, żeby trzymać cię z dala od rodziny. A ty ciągle chcesz się wcielać w rolę dobrej wróżki, odwiedzać wnu-

ki i obdzielać je radością. To absurd, moja droga! Zrozum, że próbuję ocalić ci życie!

- Ale ja się tak świetnie bawię, udając martwą! - Puściła do Sterlinga oko. - Poza tym wreszcie mogę się bezkarnie do wszystkiego wtrącać. Wiesz, jakie to cudowne uczucie? Chodź, kochany, usiądź tu koło mnie i poczyńmy plany. Naprawdę uważam, że śliczna Natalie, sumienna, odpowiedzialna Natalie już dostatecznie długo wiedzie samotny tryb życia.

- Może powinienem wysłać anonim ostrzegający ją przed trąbą powietrzną, która zmierza w jej kierunku?

- Och, broń Boże! Niespodzianki są takie miłe!

- Zdziwiasz mnie, Kate.

- To dobrze, Sterling. Mam nadzieję, że nigdy nie przestanę.